

P. Szestakow



TRZY DNI



W DAGE-  
ZANIE





Muszą wnieść pierwszy do pracowni. W dzień zapewne bywało tu bardzo jasno, cała ściana oraz całe dachy były przeszkliwione, teraz jednak tylko wązka świeca doświetlała z trzech pomocniczych przedmiotów — małe okienko z naciągniętym i zagruszonym białym materiałem oraz fotel, w którym swobodnie, odchyłony na oparcie, siedział Kaligula. Marzył. Na podłogę przy jego nogach leżała strzelba. Tulejka, solidna, z inkrustacją. Strzał z bezpośredniej bliskości smałał woskowy materiał, posmarowany brzojgi oszrona, którym przesłała kula, przesłiznęła krew. Oczy Kaligula były półotwarte i nieruchome.

Cena zł 22,—

Patrol Szumaków z Bostowa nad Demona jest salomonem popularnych powieści kryminalnych, z których dwa (Labirynt i Łódź przestępców) były już wydane w Polsce. Niektóre jego przygody w stylu klasycznej sagi kryminalnej stworzył już wspomniany detektyw — Natch.

ISKRY

Paweł Szestakow

# Trzy dni w Dagezanie

Przełożyła

Irena Piotrowska

ISKRY WARSZAWA 1974

Tytuł oryginału rosyjskiego TRI DNIA W DAGEZANIE

*Młoda Gwardia 1971 r.*

Okładkę projektował

MIECZYŚLAW KOWALCZYK

Redaktor

HELENA BRON

Redaktor techniczny

WALDEMAR ROSPIERSKI

Korektor

JOLANTA ROSOSIŃSKA

Państwowe Wydawnictwo „ISKRY”. Warszawa

1974 Wydanie I.

Nakład 100 000 + 275 egz.

Ark, wyd. 9,2. Ark, druk. 13,5.

Papier druk, mat, kl.VII. 65 g, 70 X IDO.

Druk ukończono w listopadzie 1974 r.

Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch”

Łódź, ul. Armii Czerwonej 28.

Zam. nr 1010/74. W-108

Cena zł 22,—

## 1. BURZA

— Kto to jest ten Kaługin? — Mazin oparł rękę na drzwiczkach samochodu. — Zapewniałeś mnie przecież, że w tym osiedlu nie ma żywego ducha...

Pół metra od koła „Wołgi” opadała, stromo szaroróżowa ściana granitu, w dole kipiała przedzierając się wśród głazów uwieczona w wąwozie ciemnozielona rzeczka.

Przed nimi wprost ze skał wyrastały jodły. Ich soczyście zielone wierzchołki przeplatały się na tle słonecznego, prawie fioletowego nieba z lodowymi szczytami, skrzącymi się tysiącem blasków. Ale drogę ku dolinie przegradzała czarna chmura zasnutą szarą mgiełką.

— Doprawdy? Musiałem zapomnieć, stary — powiedział ze skrucą Sosnowski.

— No to przypomnij sobie resztę, póki nie jest za późno!

Borys Michajłowicz spojrział w lusterko na czarną chmurę.

— Raczej za późno. Odwrót zamknięty. A Kaługin to całkiem przyzwoity facet. Moskwianin, artysta-malarz. Ma forsę i w dodatku szeroki gest. Dlatego zawsze jest otoczony ludźmi.

- Pieką się szaszłyki, trunki leją się strumieniami?
- Nie będę przeczył temu, co się nie da ukryć. Szaszłyki robi, że palce lizać. Przyrządza je według własnego przepisu. Moczy mięso w winie.
- Borys! Ile potrzeba czasu, żeby się stąd wydostać piechotą?
- Nie dziwacz, stary. Miejsca tu starczy dla wszystkich. Nie chcesz cywilizacji — stawiaj namiot i prowadź wojnę z komarami, ile dusza zapagnie. Możesz skoczyć za przełęcz.
- Sosnowski skinął w stronę lodowego pasma. — A jak ochłoniesz, zbrzydnie ci majestatyczna samotność, to wracaj do towarzystwa inteligencji twórczej. A propos, Maryna Kaugina świetnie jeździ konno.

Mazin spotkał Borysa przypadkiem na ulicy. Od tamtych czasów, gdy pracowali razem w wydziale kryminalnym, minęło dziesięć lat. Sosnowski zrobił doktorat; utył, co chwilę ocierał chusteczką krople potu spływające po opalonym karku za kołnierz nylonowej koszuli.

- W taki piekielny upał jedynym ratunkiem są góry. Nie zazdroszczę ci — smażyć się latem w mieście!
- Za trzy dni rozpoczynam urlop.
- Urlop? Słuchaj, Igor, machnij się ze mną! Rajski zakątek, pierwotna przyroda. Małeńkie miasteczko u podnóża gór. Kiedyś prowadzono tam wyrąb lasu, teraz jest rezerwat. Robotników przenieśli do sąsiedniego wąwozu. Sprzedawali swoje domki za bezcen. Kupiłem jeden za dwieście (pomyśl tylko — za dwieście rubli), włożyłem jeszcze sto pięćdziesiąt i teraz wszyscy mi „zazdrozczą. Wprawdzie do najbliższego

sklepu mam dziewięć kilometrów drogi, ale za to jakie odludzie!

Właśnie to odludzie skusiło Mazina, a tymczasem okazało się mrzonką.

„Wołga” jechała serpentyną w dół, oddalając się od nadciągającej chmury. Igor Nikołajewicz wysunął rękę przez okno i ręka zawisła nad przepaścią. Na przeciwległym zboczu można było odczytać słowa, które zachowały się z czasów wojny. „Przełęcz — nasze. Faszysta nie przeszedł!” Na dole, obok drewnianego mostu stał młody człowiek w spłowiałej wiatrówce i wygniecionych dżinsach. Spaloną słońcem twarz okalała rudawa bródka. Była to twarz, którą przywykliśmy nazywać współczesną — pociągła, o regularnych rysach. Prosty nos przekreślała ciężka oprawa okularów.

— Halo! — kiwnął do niego Sosnowski. — Jak tam most?

Młodzieniec podszedł niespiesznym krokiem.

— Na dużym gazie przeleciecie.

Woda z hukiem uderzała w drewniane pale, jeden już wyraźnie przechylił się na bok. Pomost nad nim był wybrzuszony. Borys patrzył na to i skrzywił się, nie miał jednak wyboru. Wóz przejechał po uginających się deskach. Pod jego ciężarem pał przekrzywił się jeszcze bardziej, ale wytrzymał. Sosnowski otarł pot z czoła i rzekł nie bez satysfakcji:

— Nie zazdroszczę temu, kto będzie jechał po nas. A ty dokąd? — zwrócił się do młodego człowieka. — Jeśli do Dagezanu, to wsiadaj, podwieziemy cię.

Zagadnięty spojrział na coraz czarniejsze niebo.

— Dziękuję, chętnie. Chyba się już dostatecznie wymoczyłem.

— Na wczasach? — spytał Sosnowski włączając silnik.

— Tak.

— Sam?

Znów lakoniczne „tak”. Młodzieniec wypowiedział do-  
tychczas bardzo niewiele słów, ale jego głos poruszył w Ma-  
zynie jakieś wspomnienia.

— Mieszkasz w namiocie? — nie przestawał wypytywać  
go Borys Michajłowicz.

— Nocuję u Kaługina.

Od dalszej indagacji uchroniła go dziewczyna. Szła drogą  
lekkim krokiem osoby nawykłej do wędrowania po górach.

— Halina Konstantynowna? Prosimy!

Sosnowski otworzył szeroko drzwi samochodu.

Dziewczyna zawahała się.

Czy to warto? Zaledwie dwa kilometry...

— Nie może pani zrobić przykrości trzem samotnym  
mężczyznom — rzekł z powagą Borys Michajłowicz i dziew-  
czyna usiadła obok młodzieńca w wiatrówce.

— Pani w sprawach osobistych zapewne? — Sosnowski  
dodał gazu. — Szkoły w Dagezanie nie ma, zresztą teraz  
wakacje.

— Jakież sprawy osobiste może mieć nauczycielka! Chcę  
odwiedzić naszego strażnika. Podobno znalazł samolot strą-  
cony w czasie wojny.

— Samolot? — zainteresował się młody człowiek. —  
Nad Czerwoną Rzeczką?

— Nie wiem.

— Dlaczego to panią interesuje?

— Dlaczego? Przecież to nasz samolot, radziecki. Prze-  
niesiemy szczątki poległych do wsi, napiszemy do krewnych.



— Nie wiem, czy ktokolwiek zdoła ich zidentyfikować — rzekł z powątpiewaniem Sosnowski.

— Jeśli nie, to zrobimy Grób Nieznanego Lotnika.

Dagezan ukazał się za kolejnym zakrętem. Wąwóz był tu znacznie szerszy, pionowe zbocza przeszły w łagodne pochyłości, gęsto zarośnięte leszczyną. Niżej, pod szarymi, pociemniałymi dachami, przycupnęły domki otoczone zielenią małych sadów i warzywników.

— Mam szczęście, Matwiej jest w domu — powiedziała nauczycielka wskazując na stojącego za niskimi sztachetami mężczyznę w wojskowej bluzie bez pasa. Osłoniwszy dłonią oczy przypatrywał się „Wółdze”. — On przecież większość czasu spędza w górach...

— Ja też mam interes do Filipienki — powiedział brodaty młodzieniec i wysiadł za Haliną, a Mazin znów uważnie przysłuchiwał się jego głosowi. Tym razem wydał mu się nie tylko znajomy, ale i zatroskany.

Poszli oboje ścieżką przez podmokłą łąkę, na której gdzieniegdzie ułożono szerokie kładki z desek. Halina obejrzała się i pomachała im ręką.

— Miejscowa? — zapytał Mazin.

— Jest nauczycielką w szkole z internatem w Mieszkanie. Uczy się tam cała okoliczna dzieciarnia. No i poza tym wielka z niej społeczniczka. Stale zabiegana. Bardzo miła dziewczyna.

Osiedle rzeczywiście świeciło pustkami, w oknach nie było ram, płoty wykrzywione, w ogródkach rozkrzewiły się chwasty.

— Ty też masz taką rudę?

— Mój dom nie olśniewa luksusem, ale jest zawsze otwarty dla ludzi czystego serca.

— Uważaj wobec tego, że trafił ci się właściwy człowiek. I z radości nie przejeżdż tego osła — powiedział Mazin.

Przed nimi drogą, która już przeszła w ulicę, jechał na osle mężczyzna odziany w czarną marynarkę i wojskowe spodnie wpuszczone w brązowe skarpety domowej roboty. Sosnowski nacisnął klakson, lecz osioł nawet uchem nie zastrzygł, melancholijnie przebierając silnymi nogami. Natomiast mężczyzna obejrzał się i uniósł nad głową wystrzępiony słomiany kapelusz.

— Moje uszanowanie czcigodnym podróżnikom.

— Czołem, Demianycz! Dużo miodu nazbierałeś?

— Słońca nie brak pszczołkom, Borysie Michajłowiczu.

Demianycz miał drobną pocziwą twarz.

— Przywiozłem ci buty gumowe.

— Serdeczne dzięki. W tutejszych warunkach bez nich ani się ruszyć.

Demianycz stuknął osła pięścią w kark, żeby ustąpił z drogi. „Wołga” z trudem wyminęła upartego konkurenta, który patrzył na nią z obrzydzeniem.

— Zabawny staruszek. Pasiecznik z Trigorska. Opiekuje się kołchozowymi ulami. I on też jest swoistym produktem przyrody — zioła warzy, do zwierząt odnosi się z szacunkiem. Powiada: „Nawet pszczoła ma duszę, tylko jej tajemnica jest przed nami skryta...” A oto i pałac Kaługina.

Dom artysty różnił się ogromnie od reszty miejscowych budynków. Składał się prawie z dwóch pięter — na dole, w półsuterenie, mieścił się garaż wyłożony kostropatym, czerwonym kamieniem, główna część mieszkalna na piętrze była wykonana z drewna, nad nią zaś znajdowała się mansarda przeznaczona na pracownię. Czuło się, że dom ten budował koneser, który wiedział, czego chce.

— Prawie wszystko zrobił własnymi rękami. Szatan na robotę.

— Ale jest na co popatrzeć — przyznał Mazin.

Rzeczka brała tu ostry zakręt i dom stał na półwyspie, w otoczeniu majestatycznych świerków.

— Niestety mój pałac jest znacznie skromniejszy.

W kilka minut później rozprostowywali zdrętwiałe nogi przed niedużym, ale solidnym, świeżo wyremontowanym domkiem, który pachniał lasem. W pokoju stały dwa rozkładane łóżka, szafa oraz stolik nocny. Mazin wyjrzał przez okno. Śnieżne szczyty zawlokły się chmurami.

— Zdarzają się tam i koziorożce — Borys powiódł ręką wzdłuż szczytów górskich.

— Można otrzymać pozwolenie na odstrzał?

— Otrzymać można. Trudniej ustrzelić. W mięso zaopatrzyć się u Filipienki. Jeleniny zawsze ma pod dostatkiem. Aha, Igor, nie chwal się tu swoją specjalnością. Powiedz, że jesteś inżynierem albo lekarzem pediatrą, bo inaczej będziemy siedzieć o głodzie.

— I to mówi prawnik!

Igor pokiwał głową i zarzuciwszy na ramię włochaty ręcznik, poszedł umyć się w rzece. Niebo pociemniało, zerwał się wiatr. Mazin rozebrał się do pasa i wstrząsnął się zanurzony w lodowatej wodzie.

— Chłodno?

Pytanie to zadał chudy starszy mężczyzna w dużym berecie, z twarzą pokrytą grubymi, jakby rzeźbionymi w drzewie zmarszczkami. Wspierał się na masywnej sękatej lasce.

— A chłodno.

Nieznajomy przeskoczył z kamienia na kamień.

— Tu nie Soczi. A tam — podniósł wysoko laskę — tundra. Kamienie, śnieg, lód. Stamtąd właśnie przychodzi pogoda

pogarszająca nasze samopoczucie. Pozwoli pan jednakże, że się przedstawię, jestem Kuszniariew Aleksiej Fomicz, ongiś architekt. — Przeskoczył na najbliższy głaz. — Na pewno będziemy się widywali. U Michała Michałyczka Kaługina.

— Nie znam pana Kaługina.

— To nieważne, bez znaczenia. Przyroda was zetknie i zaznajomi. Już dzisiaj, sądząc po tym, że burza nas nie ominie.

Oddalił się przeskakując z kamienia na kamień.

— Igor! Gdzie się podziewasz? — zawołał Sosnowski.

Mazin wrócił do domu, nacierając rękami mokre ramiona.

— Spotkałem architekta. Co to za facet?

— Kuszniariew? Stały gość Kaługina. Przyjaciel młodoci.

Czarno-granatowa chmura przywalała wawóz. Po jej ciężkim, wzdętym od wody brzuchu pełzały szare strzępy, ale deszcz jeszcze nie padał, tylko pojedyncze krople stukały o dach, wdzierając się tym dźwiękiem w szum wzburzonej rzeki.

Nagle w otwartych drzwiach ukazał się młodzieniec z czarną dawno nie strzyżoną fryzurą.

— O haczykach oczywiście pan zapomniał? — zapytał zwracając się do Sosnowskiego bez słowa powitania.

— Przywiozłem.

— Zawodowa prokuratorska pamięć?

— Nigdy nie byłem prokuratorem, Walery.

— Wszystko jedno. „A że bogactwa ma i sławę, do Londynu go wiozą na sprawę”.

— Cóż to za styl przemawiania cytatami?

— Możliwe, nie ten styl, możliwe...

Sosnowski wyjaśnił:

— To syn artysty Kaługina.

— Domyśliłem się — odpowiedział Mazin.

— Domyślił się pan? Pan też jest prokuratorem?

— Igor Nikołajewicz jest lekarzem.

— Bardzo mi przykro. Czy nie mógłby pan przeszczepić mi serca? Nudne jest życie ciągle z tym samym sercem. Szczególnie dla artysty. Nie jestem bowiem synem artysty, jak mnie przedstawił pański nietaktowny przyjaciel, lecz sam jestem artystą.

— Zapoznanym?

— Podziwiam pańską domyślność, doktorze. Co jeszcze pan o mnie powie?

— Zbyt duża drażliwość. Brak uznania bynajmniej nie oznacza braku talentu.

— Niech pan spróbuje przekonać o tym mego rodzica! Zresztą, nie potrzeba. Jesteśmy dziwnie zaprojektowani, doktorze. Wszystko widzimy inaczej. Co pan widzi przez to okno? Góry? Drzewa? Chmury? A ja widzę krzyk mojej duszy, pomieszany z wichrem, rozbijający się o skały.

— Jak się miewa Michał Michajłowicz? — przerwał mu Sosnowski.

— Pytanie chyba czysto retoryczne. Pan przecież nie obraża sobie ojca inaczej niż w pełni humoru, spędzającego czas, że tak powiem, przy wesołym trzasku ognia i brzęku szkła. A tymczasem ostatnio chodzi zamyślony, co jest nie-normalne w przypadku człowieka cieszącego się takim uznaniem. Chciał się z panem zobaczyć. Niech pan wpadnie, pocieszy go! I pan również, doktorze... Proszę nie zapomnieć o skalpeliu. Obiecał mi pan nowe serce.

Zachwiał się wychodząc.

— Młody gniewny? — spytał Igor Nikołajewicz.

— Domowego chowu. Pacykuje niesamowite bzdurstwa i uważa to za objawienia artystyczne. Pozer, zgrywający się pajac.

— Widzę, że nie cieszy się twoimi względami.

— Za to ojciec go psuje. Maryna jest drugą żoną Kaługi-na. Matka Walerego umarła. A Michał Michajłowicz jest człowiekiem miękkim, wrażliwym, nie potrafi złoić chłopakowi skóry. Ręka mu odmawia posłuszeństwa. Taka pobłażliwość chłopcu tylko na złe wychodzi. Wspomnisz moje słowa, Walery jeszcze odstawi numer! Ale co nam do tego, bo wiesz, jak to bywa, kowal zawinił...

— No właśnie. A co do mnie, chętnie bym odpoczął.

Wyciągnął się, na łóżku i od razu poczuł zmęczenie — pięćset kilometrów w samochodzie i poza tym rok ciężkiej pracy dawały znać o sobie. Za to teraz miał w perspektywie cały miesiąc wolny od codziennych kłopotów i obowiązków. Ani jednego przestępcy, chyba ten strażnik-kłusownik, zresztą co to za przestępstwo... Taak... trudną jednak pracę sobie wybrałem. Syzyfową. Statystyka notuje spadek przestępczości, ale w gabinecie służbowym jeszcze się tego nie odczuwa. Przychodzi czasem wzruszający list: „Igorze Nikołajewiczu, pan jest mi droższy niż ojciec rodzony, gdyby nie pan, zginąłbym, zmarnował na wieki moje młode życie, pan mnie uratował, zawrócił ze złej drogi...” Tak, były takie listy. Ale nie zdążysz, człowieku, doczytać do końca — telefon. Jedź na miejsce wypadku! Co innego Borys! Już bez mała profesor. Styka się z młodymi przyzwoitymi ludźmi. Kupił ten rajski domek. Pięknie tu — czyste powietrze, cisza, spokój...

Popatrzył na górski stok po drugiej stronie rzeki. Strzępy chmur czepiały się jodeł. „Krzyk duszy... Pozer... Kowal zawinił...” W oknie, niby w kadrze filmowym, ukazała się

kobieta na koniu, przemknęła nisko pochylona, chowając twarz przed deszczem. Zасыpiając, Mazin przypomniał sobie nieskładne strofy kapitana Lebiadkina:

*Mignęła jak gwiazda na koniu  
W pięknych amazonek sztafecie.  
I uśmiechnęła się do mnie,  
Ar-rystokratyczne dziecię.*

Przebudził się w ciemnościach... Ryk wzburzonej rzeki mieszał się z jednostajnym szumem ulewy. Łóżko Sosnowskiego było puste.

„Dokąd go poniosło? I która to godzina?”

Po omacku odszukał na stole pudełko zapalek. Przy nierównym, drgającym płomyku znalazł na półce lampę naftową i zapalił ją drugą zapalką. Było mu zimno i nieprzyjemnie, chętnie założyłby ciepłe skarpety i sweter, wypił kieliszek wódki.

W nieustający huk wody wdarło się nagłe skrzypnięcie desek. Mazin pomyślał, że to wraca Borys, ten ktoś jednak dreptał chwilę na ganku i nie otworzył drzwi, lecz zapukał.

— Proszę wejść.

Ukazała się nieznaną postać w modnej zagranicznej kurtce z błyskawicznym zamkiem. Po lśniącej tkaninie spływały strugi wody.

— Zobaczyłem światło i pozwoliłem sobie skorzystać z zaproszenia...

— Ach, to wy, Demianyczu? Nie poznałem pana w tej kurtce.

— Wstąpiłem po buty, jeśli pan pozwoli. Daj Boże zdrowie Borysowi Michajłowiczowi. A kurtkę przywiózł mi pan Kaługin. Ciepła jest, leciutka, chociaż nie na moje lata.

— Teraz młodzi i starzy jednakowo się ubierają. Proszę

siadać. Borys wyskoczył dokądś, gdy spałem. Napije się pan?

— Jestem niepijący. Pan do nas w odwiedziny?

— A tak, Borys mnie zwabił w te strony, cuda opowiadał.

— Strony rzeczywiście ciekawe, pod wieloma względami jeszcze pierwotne. Mało gdzie można spotkać taką przyrodę, chociaż lasy porządnie przetrzebili. A pan, przepraszam bardzo, też jak Borys Michajłowicz w sądownictwie pracuje?

— Nie, w służbie zdrowia — odpowiedział niechętnie Mazin. „Ten Borys zawsze coś wymyśli!” — Jak tam pańskie pszczoły?

— Starają się, jak mogą. Cała produkcja pszczoła służy człowiekowi. Ile ona środków leczniczych przysparza gospodarce narodowej.

Mówił to wszystko apatycznie, bez; entuzjazmu. Widać było, że nie znajduje w Mazinie wrażliwego słuchacza i nieobecność Sosnowskiego zaczyna go męczyć.

— Borys Michajłowicz pewnie poszedł do Kaługina? No, to nieprędko wróci. Z naszym artystą rozmawia się ciekawie. Dużo w życiu widział, w stolicy przestaje z wybitnymi ludźmi.

— A uciekł do zapadłego kąta.

— Kąta? — zdziwił się pasiecznik. — Przecież to posiadłość z wszelkimi wygodami! Nasze państwo wypłaca twórcom duże pieniądze...

Nie dokończył usłyszawszy kroki. Wszedł Sosnowski ocierając twarz chusteczką.

— Długo czekałeś, Igorze? A i Demianycz jest tutaj. Wstąpiłeś po buty?



— Tak, Borysie Michajłowiczu. — Pasiecznik zerwał się z krzesła.

— Zaraz wypakuję. Siadajże! — Borys zwrócił się do Mazina. — Zdrzemnąłeś się, a ja pomyślałem — czego ten Kaługin mógł chcieć ode mnie? I postanowiłem wpaść do niego.

— No i co?

— Trochę niefortunny moment. Akurat odbywał rozmowę z Walerym. Widocznie skończyła się ojcowska cierpliwość. Wyglądali obaj dość ponuro. Ostudziłem rozgorzałe namiętności. Ale Kaługin nie miał już do mnie głowy, zresztą weszła jego żona. Stopniowo zaczęła się ogólna rozmowa, choć nieco sztucznie podtrzymywana.

Sosnowski wyciągnął z plecaka buty.

— Masz, Demianycz. Przymierz!

— I tak widzę, że w sam raz. Ile jestem winien, Borysie Michajłowiczu?

— Drobiazg. Przy okazji poczęstujesz mnie miodem.

— Pięknie dziękuję. — Pasiecznik wyszedł pospiesznie.

— Cudak — zauważył Sosnowski. — Mógł przecież włożyć buty. Deszcz leje jak z cebra. A my jesteśmy prosieni na pieczęstym z niedźwiedzia.

Za oknem błysnęło, rozległ się potężny grzmot. Odbił się echem w górach i powrócił zagłuszając szum deszczu.

— Poddaję się — machnął ręką Mazin. — Pod wpływem żywiołu znikło moje uprzedzenie do tutejszego towarzystwa.

Willa artysty świeciła w potokach deszczu niby statek zaskoczony przez sztorm na burzliwym morzu. Znów zajaśniała błyskawica, wyrrywając z ciemności kontury domu, znów nad wawozem zadudnił grzmot, jeszcze silniejszy i bardziej

przeciągły. Potem ciemność stała się zupełnie czarna i willi nie było już widać.

— U Kaługina jest elektryczność?

— Podłączył się do linii przedsiębiorstwa leśnego. Czeka... Światło zgasło. Pewnie zerwało przewody albo podmyło słup.

Mazin oświetlał drogę latarką. W trójkątnym strumieniu światła sypały się gęste krople nie ustając ani na chwilę.

Otworzyła im Maryna Kaługina w grubym swetrze, z lich-tarzem w ręku. Wyglądała na zmartwioną.

— Na domiar złego jeszcze wyłączyli światło. Wypadnie nam siedzieć w romantycznym półmroku. Nie macie panowie nic przeciwko temu? No, to proszę bardzo.

Na wieszaku wisiało sporo okryć, między innymi dwie kurtki podobne do tej, jaką miał na sobie Demianycz. Mazin powiesił swój ortalion i poszedł za żoną malarza. Była to zupełnie młoda kobieta.

Świece potęgowały jeszcze niezwykle urok tego dużego pokoju. Pośrodku znajdował się szeroki okrągły stół, a raczej pień dębowy nakryty blatem z grubych, zaledwie obciosanych desek. Pod ścianą vis à vis drzwi stał kominek z brył granitowych. Smolne polana paliły się jasnym płomieniem, dzięki czemu pokój wydawał się szczególnie ciepły i przytulny. Oświetlało go dziesięć świec oprawionych w wykonane przez samą naturę świeczniki — korzenie i gałęzie, z lekka tylko dotknięte ręką mistrza. Kaługin z konsekwencją artysty nadał temu wnętrzu prosty, myśliwski charakter.

Wokół stołu i nieco dalej siedzieli ludzie, których Mazin zdążył już poznać. Przy kominku, wyciągnawszy nogi w stronę ognia, usadowił się Kuszniariew. Walery otwierał butelkę gruzińskiego wina. Zamiast korkociągu posługiwał

się dużym myśliwskim nożem. Trochę na uboczu siedziała nauczycielka oraz brodaty młodzieniec turysta z tygodnikiem „Junost” w ręku. Między nimi a stołem leżała rozpostarta skóra niedźwiedzia. Na brzeżku krzesła, wsparłszy zaciśnięte dłonie na kolanach, przysiadł Filipienko. Był to mężczyzna trzydziestoparoletni, muskularny, zniszczona bluza wojskowa, ściągnięta nowym oficerskim pasem, gładko opinała silny tors. Blask świec uwypuklał niektóre fragmenty jego twarzy o gęstych brwiach i dużym nosie, inne pozostawiając w cieniu. Pod oczami zwracały uwagę ciemne worki, szczególnie rażące przy ogólnym krzepkim wyglądzie. Zatrzymawszy przez sekundę wzrok na ostatnim gościu, pasieczniku Demianyczu, Mazin uświadomił sobie, że brak tu jeszcze jednej osoby — pana domu. Maryna, która przez ten czas zdążyła już ze dwa razy przejść tam i z powrotem przez pokój i przypalić od świecy papierosa, bezwiednie odpowiedziała na jego myśli:

— Michał Michajłowicz był zdania, że jest za mało światła, i poszedł do pracowni po lampę, która zepsuła się pół roku temu. Teraz marudzi tam niepotrzebnie, a my czekamy.

— Gospodarz ma zawsze rację — rzekł pojednawczo Sosnowski.

— Walery, może byś poszedł po ojca?

Chłopak spojrział na Marynę w dziwny sposób i nie odpowiedział.

— Proszę cię, Walery.

— Nie warto.

Mazin nie rozumiał, co oznaczają te słowa — nie warto prosić czy też iść na górę.

— Może ja skoczę po Michała Michajłowicza — zaproponował pasiecznik.

— Jeśli pan tak uprzejmy...  
— Idę do siebie — oświadczył Walery i wyszedł drugimi drzwiami.

Mazin przysiadł się do nauczycielki.

— Jak pani poszukiwania?  
— Samolot leży w miejscu trudno dostępnym, ale Oleg zamierza wspiąć się po skale.

— Czy to konieczne ryzyko? — spytał Mazin dowiedziawszy się na koniec, jak brzmi imię młodzieńca w okularach. Nic mu ono nie mówiło.

— Konieczne — odparł lakonicznie Oleg.

Nieobecność Demianycza przedłużała się. Maryna, kręcąc w szczyptych palcach papierosa, Spoglądała to na schody, gdzie powinien był lada chwila ukazać się Kaługin, to na drzwi, którymi wyszedł Walery. Wreszcie podeszła do tych drzwi i zniknęła za nimi. Niemal równocześnie wrócił Demianycz. Nie uśmiechał się, jak zazwyczaj.

— Michał Michajłowicz zaniemógł. Gdzie Maryna Wiktorowna?

— Trzeba ją zawiadomić — powiedział Sosnowski.

— Chwileczkę, pan jest lekarzem, Igorze Nikołajewiczu? Może pan zechce..,

Mazin rzucił Borysowi niedobre spojrzenie, po czym wszyscy trzej opuścili pokój. Schody ciągnęły się wzdłuż kamiennej ściany. Pasiecznik zatrzymał się na podeście przed drzwiami.

— Co się stało, Demianycz?

— Michał Michajłowicz nie żyje. Zabrzmiało to złowieszczo i nieprawdopodobnie.

— Umarł?

— Widocznie nabijał strzelbę i spowodował wystrzał. Mazin wszedł pierwszy do pracowni. W dzień zapewne

bywało tu bardzo jasno, cała ściana oraz część dachu były przeszklone, teraz jednak tylko wątna świeczka dobywała z mroku poszczególne przedmioty — szerokie sztalugi z naciągniętym i zagruntowanym blejtrmem oraz fotel, w którym swobodnie, odchyłony na oparcie siedział Kaługin. Martwy. Na podłodze przy jego nogach leżała strzelba. Tulska, solidna, z inkrustacją. Strzał z bezpośredniej bliskości osmalił welwetowy materiał, poszarpane brzegi otworu, którym przeszła kula, przesiąkły krwią. Oczy Kaługina były półotwarte i nieruchome. Na gładko ogolonej, szerokiej twarzy, bardzo rosyjskiej w typie, zastygł nieoczekiwany ból. Sosnowski nachylił się.

— Nieprawdopodobne, aby przypadkowy strzał nastąpił z obu luf równocześnie.

— O czym pan myśli? — spytał pasiecznik.

— Samobójstwo?... — Borys palcami zmierzył odległość od muszki do spustów, potem długość ręki artysty i pokręcił głową. — Nie mógłby dosięgnąć spustów. Zdarza się, że ktoś pomaga sobie nogami, ale Kaługin jest w butach i nie widzę laski...

Drzwi za nimi otworzyły się z trzaskiem i Mazin ledwie, zdążył podtrzymać Marynę. Skamieniała, nie wydawszy nawet okrzyku.

— Niech , pani będzie mężna, Maryno, błagam panią! — zwrócił się do niej Sosnowski. — Musi pani nam pomóc. Milicja dotrze tu nieprędko i morderca może wykorzystać ten czas...

— Morderca? Wykorzystać? Kto to zrobił?

— Tego nie wiemy. Ale zabójca jest w pobliżu. Może nawet tu, w domu. Kiedy nastąpił strzał?

— Nie słyszałam strzału.

— A ty, Demianycz?  
— Ja też nie słyszałem.  
— Dziwna rzecz — Borys Michajłowicz zmarszczył brwi. — Maryno, proszę, niech pani zbierze wszystkie siły. Czy nie pamięta pani, kiedy Michał Michajłowicz udał się do pracowni?

— Od razu, gdy zgasło światło.  
— Kto jeszcze mógł tam pójść w tym czasie?  
— Nie wiem. Nikt. Każdy. Mąż nie lubi świec. Uważa, że kopcą. — Wciąż jeszcze używała czasu terażniejszego mówiąc o zmarłym. — Dlatego powiedział do mnie: „Nie zapalaj świec, pójdeń oprawić lampę”. Czekaliśmy około kwadransa. Wreszcie nie wypadało mi dłużej trzymać gości po ciemku, więc zapaliłam świece. W ciągu tych piętnastu minut każdy mógł wejść na górę. Ale ja w to nie wierzę. Dlaczego? Po co?

— Otóż właśnie. Czy Michał Michajłowicz przechowywał w pracowni jakieś kosztowności?

— Żadnych. Tylko szkice.  
— Strzelba zawsze tu była?  
— Wisiała nad tapczanem.  
— Przyjmijmy, że została stamtąd zdjęta. — Sosnowski spojrział pytająco na Mazina i Demianycza.

Milczeli obaj.

— Ależ nikt nie strzelał — powtórzyła Maryna.  
— To wymaga wyjaśnienia. Obawiam się, że wypadnie nam wśród gości szukać mordercy. Jedynie ktoś, kogo Michał Michajłowicz dobrze znał, mógł swobodnie wejść do pracowni, zdjąć strzelbę i zmierzyć do niego z bliska, nie budząc podejrzeń. Teraz zaś jest pewny, że Kaługin nie wymieni jego nazwiska. Maryno, proszę nam pomóc pozbawić go tej pewności.

— W jaki sposób — spytała nie rozumiejąc.  
— Musi pani zejść na dół i powiedzieć, że pani mąż żyje, jest tylko nieprzytomny.  
— To niemożliwe. Ja nie potrafię. Niech pan to zrobi.  
— P a n i to musi powiedzieć. A my będziemy śledzić reakcje gości.

— Dobrze, postaram się.

Mazin wspólnie z Borysem podnieśli zwłoki artysty z fotela i ułożyli na tapczanie. Maryna przyglądała się temu ścisnąc palcami skronie.

— Chodźmy, Maryno.

Sosnowski wziął ją pod ramię. Demianycz zabrał świecę.

— Co się tam stało? — pierwszy zapytał Kuznariew, gdy zeszli na dół.

— Straszny... straszny wypadek... Mąż nabijał strzelbę...

— Rana nie jest śmiertelna. Igor Nikołajewicz udzielił pierwszej pomocy. Teraz spróbujemy połączyć się ze szpitalem — wyjaśnił Sosnowski.

Mazin bacznie obserwował zebranych, ale nie spostrzegł niczego, co mogłoby dać powód do podejrzeń. Wszyscy zachowywali się spokojnie. Nie było nawet wyraźnych oznak ulgi, co też nie powinno, dziwić, słyszeli bowiem tylko o nieszczęśliwym wypadku, a nie każdy nieszczęśliwy wypadek grozi śmiercią. Na ogół reakcja była normalna. Nikt nie usiłował ukryć strachu ani zmieszania. Przy świecach zresztą mogło coś ujść jego uwagi.

— Proponuję, by każdy z państwa udał się teraz do swego pokoju, tak będzie najlepiej — powiedział Borys Michajłowicz i dodał zwracając się do Mazina: — A my pójdziemy zatelefonować.

Mazin skinął głową.

— Masz klucz od poczty, Matwieju?

Strażnik wyciągnął pęk kluczy i zdjął jeden.

Urząd pocztowy w osiedlu przestał właściwie istnieć od czasu, gdy rozwiązano przedsiębiorstwo leśne, ale żona Filipienki pełniła funkcję doręczycielki oraz telefonistki spędzając w dawnym lokalu pocztowym po dwie lub trzy godziny dziennie. Domek znajdował się niedaleko, Sosnowski z Mazinem dotarli tam w ciągu paru minut, jednakże wszelkie próby połączenia się z rejonem spełzły na niczym.

— Pewnie linia uszkodzona.

— Nic dziwnego w taką pogodę — zauważył Mazin melancholijnie. Zupełnie inaczej wyobrażał sobie tak długo oczekiwany urlop. Deszcz z niesłabnącą furią zalewał wąwóz. Igor Nikołajewicz przyglądał się zlepione włosy. — Za to będziesz miał co opowiadać studentom. Mała kryminalistyczna rozgrzewka solidnego naukowca... A propos, świetnie zabrałeś się do roboty.

— Znalazłeś sobie porę do żartów!

— Dlaczego? — Mazin z lekka pchnął zwisającą z sufitu lampę w drucianej siatce. Po ciasnym dawno nie bielonym pokoiku zaczęły miotać się cienie. — Szczypta humoru bardzo się przyda. Zwłaszcza gdy zostaniesz sam na sam z nieboszczykiem. Spodziewasz się przecież, że przyjdą go zamordować po raz drugi!

— Sądzisz, że to niefortunny pomysł?

— Wprost przeciwnie. Stracisz przez noc kilka kilogramów. Przy twojej skłonności do tycia to duży zysk.

— Myślałem, że ty tam pójdziesz?

— Ja?!

— Oczywiście. Zabójca na pewno nie będzie mnie spuszczał z oka. A ty możesz działać nie zwracając na siebie uwagi.

Mazin westchnął.



— Myślałem, że zainteresuje cię ta niezwykła sprawa, Igorze.

— Co w niej widzisz niezwykłego?

— Chociażby to, że nikt nie słyszał strzału.

— Strzał nastąpił równocześnie z grzmiotem. Dodaj deszcz, huk rzeki, plus jeszcze kamienne mury — i wszystko ci się dopasuje. Prosty rachunek!

— Jak można obliczyć, kiedy rozlegnie się grzmot?

— Burza trwała co najmniej pół godziny.

— Ale mógł nie uderzyć akurat wtedy, gdy morderca mierzył do Kaługina. Wyobrażasz sobie, że przez kilka minut trzymał go na muszce czekając na grzmot?

— Skądże. Twoje przypuszczenie, że zabójca był bliskim znajomym swej ofiary, jest bardzo słuszne. Bez przeszkód zdjął strzelbę ze ściany i podniósł ją, gdy zajaśniała błyskawica. Wyprzedza ona grzmot o kilka sekund. Jej blask pozwala nawet przewidzieć siłę grzmotu.

— Tak... Łajdak z zimną krwią. Niełatwy będziemy mieli orzech...

— Życzę powodzenia.

— Dajże spokój. Przecież to twój obowiązek. Nie wiemy, kiedy przyjedzie milicja. Nie wolno nam niczego zaniedbać. Rozważyłem wszystko. Sytuacja układa się dla nas korzystnie. Dzięki mojemu pomysłowi zostałeś jako zwykły lekarz wyeliminowany z kręgu podejrzeń mordercy. Podzielimy więc funkcje — ja będę laził z lupą, odwracając jego uwagę, a ty się zajmiesz właściwą robotą. Oczywiście, ja też nie ograniczę się tylko do lupy.

— Chyba trochę przeholowałaś oznajmiając, że Kaługin żyje. Nie mamy do czynienia z głupcem. Strzelał z bliska i to z dubeltówki, a ty chcesz mu wmówić, że spudłował.

— Nie zgadzam się z tobą. Zbrodnia to nie zadanie

szachowe. Wszystkiego nie sposób przewidzieć. On nie jest robotem! Musiał przecież liczyć się z tym, że Kaługin może powziąć jakieś podejrzenie, że ktoś wejdzie do pracowni, że grzmot nastąpi później... I tak dalej, w nieskończoność. W podobnej sytuacji nigdy nie ma pewności. Czy nie pamiętasz wypadków, gdy kula przeszła o milimetr od serca? On...

— Kula, ale nie loftki z dubeltówki... I skąd wiesz, że „on”, a nie „ona”? Nie znamy przecież motywów.

— Racja, pasuję. Chociaż to mało prawdopodobne.

— Niezła robótka! — rzekł Mazin ustępując przed argumentacją Borysa. — Ciekawe, jak się dalej zachowa morderca. Wprawdzie to, co zamierzasz, jest karkołomne, ale chyba nic lepszego nie wymyślimy. W każdym razie przez całą noc tam nie wysiedzę.

— Igor! Jesteś prawdziwym przyjacielem. Dziękuję ci, stary!

— Nie bądź sentymentalny. To nie przystoi łysiejacemu naukowcowi. Zrobimy tak — ja cichcem wślizgnę się do pracowni, a ty staraj się być na widoku. Potem mnie złuzujesz.

— Nie zapomnij nabić strzelby! Ładownica wisi na ścianie.

Szli szybkim krokiem w kierunku willi. Nagle zamajaczył przed nimi niewyraźny cień. Ktoś szedł bez latarki.

— To ty, Matwieju?

— Tak — odpowiedział strażnik. — Dodzwonili się panowie?

— Nie. Masz, zwracam ci klucz.

— Kimnęli sobie, zarazy. No nic. Już ja postawię ich rano na nogi.

Kilka mdłych światełek migotało w oknach pierwszego

piętra i jedno na górze, w pracowni. Sosnowski wszedł po stopniach, Mazin; który zatrzymał się i skręcił w bok, usłyszał słowa Maryny:

- Nareszcie! To wszystko jest straszne...
- W pracowni nie ma nikogo?
- Nie, powiedziałam, że mąż jest nieprzytomny.

Mazin okrążył dom, rozglądając się uważnie, ale nie spostrzegł nic podejrzanego. Ulewa straciła na gwałtowności, burza minęła, za to szum rzeki zdawał się nasilać. Igor Nikołajewicz wślizgnął się do przedpokoju tylnymi drzwiami i stał przez chwilę przypominając sobie, gdzie znajdują się schody. Znalazł po omacku poręcz i zaczął się wspinać na górę starając się czynić to jak najciszej.

„Śliczny początek urlopu” — spróbował przywołać na ratunek poczucie humoru, ale niewiele mu to pomogło. Sytuacja była paskudna. W przeszklonym pokoju zrobiło się zimno i wilgotno. Chłodny powiew przenikał szparami, chybotając płomykiem małego ogarka. Igor Nikołajewicz podszedł do fotela i usiadł w ten sposób, by sztalugi odgradzały go od drzwi i — nie ukrywał tego przed sobą — od nieboszczyka. „Nerwy mam rozklekotane” — pomyślał z niezadowoleniem, stwierdzając, że obecność zmarłego artysty przytłacza go, nie pozwala skupić myśli. „Trzeba było zabrać kilka świec. Ogarek lada chwila zgaśnie. A może to i lepiej? Morderca prędzej się zdecyduje. O ile się zdecyduje! Jeśli połknie haczyk”. Jakby przynaglony tą myślą, płomyk zakolebał się bezradnie i zgasł. Zapadła głęboka ciemność, ale nie na długo. Stopniowo przedmioty zaczęły występować z mroku.

Mazin zdał sobie nagle sprawę, że nie usiedzi w tym fotelu, coś go korciło, by spojrzeć na zmarłego. „Co za diabełstwo! Czary jakieś! Nie, muszę podejść i zobaczyć. Przekonać

się, że nie ma w tym nic strasznego. Zwykły nieboszczyk. Ale kto zabił tego człowieka? Dlaczego?” Znów poczuł, że nie jest w stanie się skupić. „Dość tego”. Wstał, zdecydowanym ruchem skierował promień, latarki na nieruchome ciało... I drgnął. W piersi trupa tkwił wbity po rękojeść nóż myśliwski.

Igor Nikołajewicz opuścił latarkę i zaczerpnął tchu. Pierwszą reakcją była złość, poczucie klęski. „Sam jestem sobie winien, traciłem czas na gadanie i przyszedłem za późno”. Drugą — zdziwienie. „Ale jak on to zdążył zrobić? Kiedy?” Potem zaczął rozumować spokojniej. „Coś jednak zyskaliśmy, zmusiliśmy mordercę do działania, a zatem denerwował się, zostawił nowe ślady. Był na dole, gdy Borys powiedział, że Kaługin żyje. Chociaż ten jeden dowód mamy”.

Mazin opuścił pracownię i zszedł na pierwsze piętro. Na stole paliła się lampa naftowa z przykręconym knotem. W fotelu, z głową przechyloną na oparcie, drzemał Sosnowski.

— Wstawaj, Borys. Są nowiny.

Sosnowski drgnął i zamrugał oczami.

— Czyżby się złapał?

Mazin nalał wina do szklanki.

— Za wspaniałe zwycięstwo kryminalistycznej szkoły profesora Sosnowskiego!

— Kpisz sobie? Jestem docentem.

— Według nomenklatury służbowej. Ale dla mnie jesteś teraz akademikiem. Jak również żeglarzem i budowniczym. I w ogóle bohaterem. Odgadłeś wszystko. Bez pudła... Idź i zobacz sam.... a ja chyba się napiję.

Gdy Borys wrócił, Mazin zagryzał wino kawałkiem chleba z zimną pieczenia niedźwiedzią.

- Nieżle się nabraliśmy!
- Gwoli uściślenia i sprawiedliwości to nie my, lecz ja.
- Igor odsunął talerzyk, wyjął notes i ołówek. — Dłatego skończyły się żarty. Zacznijmy od najmniej podejrzanych.

Na pierwszym miejscu wstawiam Kaługina. On jest jednym z trzech, którzy na pewno nie brali udziału w zabójstwie. Dwóch następnych to Igor Nikołajewicz, za którego niewinność mogę ręczyć, oraz Borys Michajłowicz Sosnowski, który przez cały czas znajdował się w polu widzenia Mazina.

- Dziękuję za alibi.

— Przyda się dla milicji. Jeszcze dwie osoby byłbym skłonny wykluczyć z kręgu podejrzanych, mianowicie Marynę Kaługinę i pasiecznika. Oboje od początku wiedzieli, że Kaługin nie żyje, nie mieli więc powodu zabijać go powtórnie.

- To ich skreśl.

— Chętnie bym to zrobił... Jednakże ta historia jest zbyt zagmatwana, by cokolwiek twierdzić kategorycznie. Na razie odzielę ich linią od tych, których mi podasz.

- Architekt Kusznariew.

- Eksarchitekt. Jest. Oleg, turysta — dwa.

— Strażnik Filipienko — trzy. Nauczycielkę trzeba wykluczyć.

— Zobaczymy. Piszę, Halina — cztery. Czekać, a syn? Właściwie to przez cały wieczór go nie widziałem. Walery — pięć. Mamy gotowy komplet. Co o nim powiesz?

— Doprawdy nie przypuszczam, by któraś z tych osób miała bodaj najmniejszy powód do zgładzenia Kaługina.

— Zaczynaj więc z drugiego końca. Dlaczego nie miała powodu?

— Dla Kusznariewa śmierć Kaługina jest dotkliwym ciosem.

— Byli starymi przyjaciółmi?

— Kiedyś Kaługin wspomniał, że wiele zawdzięcza Aleksiejowi Fomiczowi. A to bardzo dziwna postać. Wygląda, jakby dużo przeszedł, wycierpiał, nie zdołał włączyć się w normalny nurt i został na mieliźnie.

— Ciekawe, ale niejasne. Zostawimy go na razie. Następny — Oleg.

— Znam go tyleż co ty.

— Dlaczego on mieszka u Kaługina?

— Kaługin przyjmował każdego, kto się pojawił w Dagezanie.

— Zatem przypadkowa postać, a rabunek nie wchodzi w rachubę. Ale jest to chyba człowiek zamknięty w sobie, skryty. I stanowczy zarazem.

— Psychologia?

— Niestety. Wyłącznie psychologia. Kto następny?

— Matwiej. Na pewno nie brak mu stanowczości. Stosunki z Kaługinem układały się różnie. Artysta oburzał się na kłusownictwo, ale chętnie kupował od Filipienki mięso i skóry. Przywoził mu naboje.

— Odnotujmy to. Halina? To racja, że ona najmniej ze wszystkich wygląda na morderczynię, ale nie zawsze jedna osoba dokonuje zabójstwa.

— Bzdura. Skreśl ją.

— Numer pięć?

— Ten numer, wybacz, zakrawa na groteskę. Syn. Sam widziałeś co za typ. Ale w ojcobójstwo nie chce mi się wierzyć.

— Mnie też. Gdzie on jednak był przez cały wieczór?

— Kiedy weszliśmy, Walery otwierał butelkę.  
— Nożem?  
— Myślisz, że tym samym?  
— Podobnym. Trzeba to sprawdzić... — Mazin spojrział na zegarek. — Czas leci. Fantastyczna historia... Dwaj wywiadowcy z woli żywołów znaleźli się w starym poczciwym świecie Sherlocka Holmesa. Nawet odciski palców praktycznie nie istnieją dla nas. Jedynie dedukcja. A my jesteśmy rozpieszczeni przez technikę, mądrych ekspertów, energicznych pomocników...

Urwał. Do pokoju wszedł bez pukania Filipienko.

— Zobaczyłem światło w oknach, więc myślę sobie, wstąpię, żeby panom powiedzieć. — Wskazał palcem na sufit. — Maryna Wiktorowna tam jest? Przy Michajłyczcu? Jak z nim?

— Nie gorzej niż było. A co chciałeś nam powiedzieć?

— Jak nie gorzej, to już dobrze. Ale na pewno długo przyjdzie czekać... Nie ma łączności, słupy zniosło. Most tak samo.

Mówił o tym z pełnym spokojem. Widocznie tu w górach takie rzeczy nie były niczym nadzwyczajnym.

— Skąd pan wie, że zniosło most? — zapytał Mazin.

— Poleciałem tam. Najpierw zacząłem dzwonić, ale nic z tego, milczy, zaraza. Na pewno słupy zniosło. To znaczy, że i most poszedł. Sto razy mówiłem remontowcom, że on na smarkach się trzyma. Myślę sobie, trzeba zobaczyć. Poszedłem i rzeczywiście — mostu nie ma.

— Ciężko było iść?

— Ciężko? A cóż to dla mnie! Drogą najwyżej dziesięć kilometrów.

— Wypij, Matwieju, rozgrzejesz się — zaproponował Sosnowski.

Strażnik popatrzył na butelkę i cmoknął wargami.

— Ślinka leci, ale trudno, poprzysiągłem żonie, że nie będę pił. Cały miesiąc.

— Godna podziwu silna wola — rzekł Mazin. — Za chwilę jeszcze raz sprawdzimy pański charakter. Chodźmy na górę do Kaługina.

— A nie przeszkadzimy? — zawahał się Filipienko.

— Nie ma obawy.

W pracowni Mazin przysunął świecę do twarzy Matwieja. Strażnik zmrużył oczy i pochylił się nad tapczanem.

— Szesnastka, ani chybi — wyjaśnił tonem fachowca. — I jeszcze nożyk na dodatek. Całkiem zbyteczny. Martwego przebili, bo krwi nie ma. Oj, życie ludzkie, dziś człowiek żyje, a jutro już po nim! Mordercy, jak miarkuję, nie znacie, jeżeli mnie przesłuchujecie...

— Sam nie masz nic do powiedzenia?

— Nie. Prędzej bym się nie wiem czego spodziewał. Tu jest potrzebna milicja.

— Druty zerwane.

— Ja skoczę. Znam tu każdy kąt. Jest tam na skale złamana jodła. Jak się zarzuci kapronową linę, można przedostać się na drugą stronę. Tylko za widoku.

— Dobrze, Matwieju. Na razie idź odpocząć.

Filipienko odwrócił się zamierzając odejść, lecz nagle przystanął i jeszcze raz popatrzył na zwłoki Kaługina.

— Ciekawi mnie ten nóż. Walery takim samym otwierał butelkę. No, ale niejeden taki nóż na świecie.

— Niejeden — przyznał Mazin. — Słuchaj, Borys, trzeba go będzie usunąć.

Sosnowski ujął rękojeść przez chusteczkę do nosa i wyciągnął nóż z rany.

— Walery miał w rękach nóż. Co zrobimy dalej?



— Najprościej będzie, gdy spytamy o to Walerego. Jakie wrażenie zrobił na tobie Filipienko?

— Trochę dziwny człowiek. Jaką on ma opinię w rezerwacji?

— Chcą go wyrzucić za kłusownictwo. No, idziemy do Walerego?

— Najpierw do pani domu.

Maryna nie spała. Siedziała na łóżku w sypialni i robiła na drutach, poruszając nimi automatycznie.

— Nie mogę zasnąć. Staram się nie myśleć o tym, zając czymś bodaj ręce. Czuję się strasznie. — Rzuciła przelotne spojrzenie w lustro. — Borysie Michajłowiczu, niech pan mi powie, czy manewr panów dał jakieś rezultaty?

— Częściowe. Męża pani usiłowano zabić po raz drugi. Tym oto nożem.

Maryna rzuciła druty na toaletkę.

— Wiecie już... kto?

— Nie. Ale pozostał nóż. Może pani wie, czyja to własność?

Wpatrywała się w nóż długo, jakby nie rozumiejąc, czego chcą od niej, ale gdy to wreszcie pojęła, odpowiedziała szybko, skwapliwie:

— Nigdy go nie widziałam. — I powtórzyła — nigdy.

— Wieczorem przy stole Walery otwierał butelki...

— Butelki? Nożem?

Mazin stał odwrócony, przyglądając się bibelotom na toalecie. Było ich całe mnóstwo — drewniane lalki, figurki Buddy, sputnik z wąsami anten, szydarcy Mefistofeles — dwoiły się i troiły odbijając się w trzyskrzydłowym lustrze. Miało się ochotę zamknąć boczne skrzydła, uprzątnąć wszystkie te zbędne graciki.

— Pan go podejrzuwa, rozumiem — słyszał głos Maryny

i nie mógł wyrobić sobie określonego sądu o tej nie tyle przybitej nieszczęściem, co przerażonej, oszołomionej kobiecie o szarych oczach i krótkich, dyskretnie ufarbowanych włosach, połyskujących brązem w świetle lampy. — To nie jego nóż. Walery nigdy nie miał takiego noża, przecież wiedziałabym coś o tym. Mówię panu prawdę. Myślałam przez całą noc, ale nikogo... absolutnie nikogo nie mogłabym o to podejrzewać.

— My również, niestety.

— A zwłaszcza Walerego... Michał Michajłowicz bardzo dbał o niego... kochał go. Fakt, że nie jest rodzonym synem, nie miał najmniejszego znaczenia.

Mazin przestał oglądać bibeloty.

— Walery nie jest rodzonym synem Michała Michajłowicza?

— Nie, to syn jego pierwszej żony.

— On wie o tym?

— Naturalnie.

— Nigdy by mi to nie przyszło na myśl — wyznał Sosnowski. — Michał Michajłowicz zupełnie nie przypominał ojczyma.

— Zdarzały się jednak spięcia? — zapytał Mazin.

— Z błahych powodów. Trudno nawet zapamiętać. Ojciec na przykład mówi: cudowny dzisiaj dzień. A Walery: jak można tak prymitywnie postrzegać naturę. I już się denerwują, złością.

— Niezgodność w percepcji świata? A czy nie kryło się za tym coś bardziej konkretnego?

— Co pan ma na myśli? — zaniepokoiła się Maryna.

— Po prostu zapytałem. Bywa tak niekiedy, że za błahostkami kryją się inne pobudki, niedostrzegalne dla otoczenia.

— Nie zauważyłam nic takiego.

— Rozumiem. Trudno pani w tej chwili odpowiadać na pytania. Niech się pani postara zasnąć. A my, jeśli pani pozwoli, posiedzimy na dole, zastanowimy się nad wszystkim.

Krótką letnią noc zbliżała się ku końcowi. Mazin usiadł na ławeczce przed kominkiem i zaczął rozbijać pogrzebaczem ledwie tłące się polana. Zadymiły wyrzucając spod popiołu ciemnoczerwone iskry. Zrobiło się cieplej.

— Walery raczej nie ma z tym nic wspólnego, aczkolwiek może się w schemacie. Jeżeli wyjdzie na jaw, że łączyły go z macochą podejrzone stosunki, otrzymamy typową historię z burżuazyjnych kronik sądowych. Tam u nich jest prościej. A tu szperaj, bracie, aż w końcu się doszperasz, że mordercą jest stary Demianycz, który zastrzelił Kaługina, ponieważ tamten skrytykował jakość miodu z jego pasieki.

— Taki wariant nam nie grozi.

— Nie tłamś we mnie poczucia humoru, Borys. Gdy się ma za sobą rok ciężkiej pracy, nie, tak łatwo znaleźć optymalne rozwiązanie w tej dziwnej sytuacji.

Znów zaczął rozgrzebywać ogień w kominku.

— Młodzi ludzie nie mogą spać?

Mazin obejrzał się. Od dawna nikt nie nazywał go młodym człowiekiem. W drzwiach swego pokoju stał Kusznariew.

— Aha — odparł sucho Sosnowski, dając do zrozumienia, że nie jest usposobiony do częściej pogawędki.

— Pozwolą panowie, że będę czuwał wraz z nimi? — architekt nie zwrócił uwagi na jego ton. — Dawno zaglądał Pan do Michała Michajłyicza, doktorze?

— Kaługinowi niepotrzebny jest doktor.

- Krzaczaste brwi Kusznariewa zbiegły się u nasady nosa.
- Jak mam to rozumieć?
  - Michał Michajłowicz został zabity.
  - Więc to tak... — wymówił architekt prawie bez zdziwienia.
  - Tak i nie znamy mordercy — potwierdził Sosnowski.
  - A pana to najbardziej nurtuje?
- Igor Nikołajewicz spojrzał na niego zdziwiony.
- Czy pytanie, kto zabił Kaługina, wydaje się panu mało ważne?
  - Ważniejsze jest wykrycie, dlaczego to zrobił? A panu spieszno do rozprawy z nim.
  - Kara to nie rozprawa.
  - Kara? Nieco inaczej brzmiące słowo „zemsta” i pan już nadaje mu odcień szlachetny?
  - A pan jak zawsze chce być oryginalny, Aleksieju Fomiczu? — spytał Sosnowski.
  - Ani trochę. Mam prawo tak myśleć. Wyrządzono mi dużo złego.
  - I przebaczył pan?
  - Nie w tym rzecz. Wyrządzono mi zło nie do naprawienia. Czy winowajcy poniosą karę, czy też nie, moje życie nie zmieni się przez to na lepsze. Cóż mi da rozkosz zemsty? Nie wierzę w hrabiego Monte Christo. Wszelaka zemsta, nawet w imię sprawiedliwości, rodzi nowe zło. Gdzież tedy koniec?
  - Zemsta i wymiar sprawiedliwości to dwa różne pojęcia. Morderca pogwałcił prawo.
  - Kodeks karny RFSRR? — przerwał z ironią Kusznariew.
  - Tak jest — odparł poważnie Mazin. — Co go

popchnęło do morderstwa, nie wiadomo. I trzeba go schwycić, aby poznać prawdę.

— Prawdę? Pan jest zarozumiały. No cóż, proszę... Tylko beze mnie.

— Sądziliśmy, że Kaługin był pańskim przyjacielem.

— Opiekował się mną, jak starym bezzębnym psem przybłądą — W tonie Kusznariewa nie było żółci ani sarkazmu.

Mazin odłożył pogrzebacz.

— Pan cierpi na kompleks samoponizania.

— Niewątpliwie. Choć to nic dobrego. Pod tą maską kryje się tajona duma. Jestem niesprawiedliwy. Michał troszczył się o mnie nie z litości, uważał się za mego dłużnika.

— W jakim sensie?

Kusznariew zastanawiał się, czy warto udzielać bliższych wyjaśnień.

— To nie ma nic wspólnego ze śmiercią Michała. Po prostu, gdy był jeszcze nie znanym malarzem i mógł nim pozostać na zawsze, w tamtych dawno minionych czasach spодobały mi się jego obrazy i powiedziałem o tym.

— Miarodajnym osobom?

Kusznariew uśmiechnął się.

— Nie, jemu samemu.

— To niewiele — zauważył Borys.

— Myli się pan...

— Dobrze, nie będziemy się spierać. Pan podtrzymał Kaługina moralnie, a on na długie lata zachował wdzięczność dla pana?

— Właśnie. Chociaż możliwe, że nie tylko wdzięczność.

— I oto ten człowiek, który pana lubił, otaczał opieką — nalegał Sosnowski — został bestialsko zamordowany.

Najpierw strzałem w serce, potem jeszcze raz nożem, gdyż morderca sądził, że nie doprowadził swojego dzieła do końca. Czy to nie wystarczy, by obudzić słuszny gniew?

Architekt zamrugał nerwowo oczami.

— Jak mam rozumieć pańskie słowa? Pan nas oszukał wieczorem? Gdy pan powiedział, że Misza żyje?

— Chciałem zobaczyć, jak się zachowa morderca.

Kusznariew wyprostował się.

— Wstrętem napawają mnie tacy ludzie jak pan!

Sosnowski nie znalazł odpowiedzi.

— Za co taka niełaska? — spytał poważnie Mazin.

— Nie wolno przeprowadzać doświadczeń na ludziach żywych ani umarłych. Panowie, jak się domyślam, podejrzewają kogoś spośród nas? Osobiście jestem każdej chwili do dyspozycji.

I odwróciwszy się gwałtownie, wybiegł z pokoju.

— Stuknięty facet — mruknął zmieszany Sosnowski.

— Niepotrzebnie mu przerwałeś, gdy wspomniał, że Kauligin odczuwalnie tylko wdzięczność. No trudno. Chodźmy do Walerego.

— Dziwne, że on sam się nie pokazuje. Trochę za twardy sen jak na taką noc. Zresztą ktoś idzie. O wilku mowa, a wilk tuż.

Sosnowski mylił się jednak. Do pokoju, przecierając oczy, wszedł Oleg. Spozrzęglszy, że ktoś siedzi przy stole, włożył okulary. Zaspana twarz przybrała charakterystyczny dla niej wyraz chłodnej rzeczowości.

— Dzień dobry. Dyżur przy chorym? Dla lekarza nie ma urlopu? A ja wybieram się nad Czerwoną Rzeczkę obejrzyć samolot. Tylko ten deszcz...

— Pójdzie pan innym razem.

— Nie, muszę iść.

— Musi pan? — powtórzył pytająco Mazin.

— Tak. Jestem dziennikarzem. Pracuję w wielonakład-  
ówce lotniczej.

— O... prawie lotnik — zauważył Sosnowski.

Oleg nie zareagował na ironię. Był znacznie rozmowniej-  
szy niż w dniu wczorajszym i w jego słowach wyczuwało się,  
że ma jakiś cel, jakieś zadanie.

— W mundurze biorą mnie czasem za lotnika. Pewnego  
razu siedziałem w restauracji w Batumi...

„Rasowy chłopak — myślał Mazin słuchając Olega. —  
Musi dobrze wyglądać w mundurze — ciemnoniebieski  
płaszcz, czapka... Gdzież ja słyszałem jego głos? Czyżby?  
Sam podpowiada? Batumi, restauracja. Młody człowiek w  
zgrabnym mundurze oraz starszy, siwy Gruzin”. Mazin pije  
cinandali i z przyjemnością zagryza smaczną ostrą zieleniną.  
Długie wiązki zieleniny leżą na talerzyku, on bierze palcami  
aromatyczne łydgi i chrupie, na przekąskę po kwaskowym,  
chłodnym, rozweselającym winie. Obok rozmawiają głośno,  
widocznie pod wpływem wina, słowa dźwięczą ostro, prze-  
szkadzają spokojnie siedzieć, spokojnie sączyć trunek. Głośne  
urywki zdań drażnią słuch, nie zatrzymując się w mózgu. Nie  
przypuszczał wówczas, że może nadejść taka chwila, gdy  
będzie usiłował je sobie przypomnieć.

„W zeszłym roku? Piliście koniak?”

„Armeński. Po nim rozjaśnia się w głowie”.

Mówił jednak chaotycznie. O samolocie, strąconym samo-  
locie!...

— Ma pan nadzieję, że to ten właśnie samolot?

— Jaki samolot?... — zdziwił się Oleg niezbyt przekonują-  
jąco.

Mazin nie zamierzał robić z siebie Wolfa Messinga.

— Ten, o którym była mowa w restauracji. Siedziałem przy sąsiednim stoliku.

— Co za zbieg okoliczności! Pan wszystko słyszał?

— Bywa i gorzej — rzekł wymijająco Mazin, gdyż bardzo niewiele pamiętał z tej rozmowy. — Zdaje się, że pan chce podjąć poszukiwania na wzór Sani Grigoriewa z „Dwóch kapitanów”?

Wtedy w restauracji powtarzał: „Wie pan, jestem przekonany, święcie przekonany!” A Gruzin potakiwał: „Na pewno masz rację, mój drogi, na pewno”. Więcej Mazin nie pamiętał. Zresztą chyba nie warto było zapamiętania. Czemu tak go interesuje ten samolot w górach?

— Pójdę się umyć — powiedział Oleg nie reagując na wzmiankę o Sani Grigoriewie. Odwrócił się i spostrzegł nóż leżący na stole. Spod chusteczki wyglądała rękojeść.

— Skąd się tu wziął mój nóż?

— Pański?

— A czyj ma być? Podarował mi go jeden znajomy z delegacji węgierskiej.

— Tym nożem usiłowano zabić Kaługina.

— Nożem? Przecież mówiliście o strzelbie. O nieszczęśliwym wypadku.

— Z dubeltówki go zastrzelono. A nożem usiłowano zabić powtórnie. W przekonaniu, że pierwsza próba się nie powiodła. Będzie pan musiał wytłumaczyć, w jaki sposób nóż trafił do rąk mordercy.

— Co za historia! Kaługin zamordowany? I pan chce mnie w to zrobić? Nie mam obowiązku tłumaczyć się przed panem. Jest pan tu osobą postronną, tak samo jak ja.

— Proszę się nie unosić! — przerwał Mazin. — Sądzę, że wyjaśnienie, kto mógł posłużyć się pańskim nożem, leży w pana własnym interesie.



Oleg gryzł wargi.

— Nie nabiera mnie pan? On naprawdę został zamordowany? Nie dawałem nikomu noża.

— Walery otwierał nożem butelki — przypomniał Mazin.

— Nonsens. Otworzył i oddał.

— Jest pan tego pewny?

— Oczywiście. Włożyłem nóż do kieszeni.

— A co było dalej?

— Nie pamiętam. Zobaczyłem go dopiero tu na stole.

— Niech pan się postara przypomnieć sobie, zanim się zjawi milicja.

— Co za historia — powtórzył Oleg.

Mazin wstał z ławeczki i zdmuchnął świecę. Niechętne światło deszczowego ranka napełniło pokój.

— Pójdę zobaczyć, jak tam na dworze — rzekł do Borysa.

## 2. MGŁA

Mazin otworzył drzwi i zdumiał się nieoczekiwanym widokiem. Gór nie było. Nie mogły, rzecz jasna, nagle zniknąć, to tylko chmury szczelnie spowiły wąwóz i w tej odgraniczonej gęstym tumanem przestrzeni część Dagezanu, widoczna z progu willi Kaługina, wyglądała nie jak podniebne egzotyczne osiedle, lecz najzwyczajniejsza wioska podmoskiewska z sosnami na wzgórzu, szarymi chatami i melancholijnym myczeniem zbudzonego cielęcia. Igor Nikołajewicz poczuł w wilgotnym powietrzu słodkawy zapach świeżo dojonego mleka.

Myczenie dolatywało z prawej strony, ścieżka na wprost prowadziła do starego, pochylonego domku Demianycza, który pasiecznik kupił od ludzi dawno już nie mieszkających w osiedlu. Mazin poszedł ścieżką stąpając po zeszlorocznym sianie rozrzuconym w miejscach szczególnie grząskich. Mokra trawa cmokłała pod nogami. Strzępiaste kłęby mgły pływały tak nisko, że mimo woli chciało się rozsunać je rękami jak zastony.

Demianycz stał u płotu w nieodpowiednim na tę pogodę

słomianym kapeluszu. Spytał z zainteresowaniem, lecz bez nadmiernej ciekawości:

— Jak przeszła noc, Igorze Nikołajewiczu?

— Opowiem, wszystko opowiem — Mazin rozumiał, że staremu pilno usłyszeć, co nowego zaszło w willi. — Zmęczony jestem...

— Proszę, niech pan wejdzie. Mieszkam co prawda byle jak. Ot, takie gniazdo samotnika.

W ciasnawej izdebce rzeczywiście nie wyczuwała się dbałej ręki. Nawet duży piec był nie pobielony, gęsto upstrzony ciemnymi plamami gliny, niczym wóz małowitrazowy po kraksie drogowej.

— Jeżeli pan nie odmówi, to ugoszczę pana herbatą z takim przedziwnym ziółkiem, po którym zmęczenie znika jak ręką odjął.

— Nie odmówię. — Mazin siadł przy stole nakrytym niebiesciutką ceratą w kwiatki.

— Za chwilę będzie gotowa.

Demianycz otworzył ścienną szafkę, na której była naklejona fotografia uśmiechniętego kosmonauty Popowicza, wycięta z jakiegoś czasopisma, wyjął dwie paczki herbaty, zręcznie przygotował mieszankę i postawił imbryk na gorącej płycie.

— Musi naciągnąć — wyjaśnił. — Proszę się przez ten czas rozebrać. U mnie pan nie zmarznie. Nie lubię kulić się z zimna.

Ciepła wiejska izba i ten solidny leciwy człowiek, tak daleki od niewiarygodnej rzeczywistości eleganckiej willi z garażem i mansardą, kryjącą trupa mężczyzny, którego życie upłynęło w wielkowiejskim gwarze — cała odmienność tego otoczenia, w jakim się znalazł, podziałała na Mazina kojąco. Nie chciało mu się stąd odchodzić, gonić za podejrzanym

neuropatą Walerym, wyławiać okruchy prawdy rekonstruując ponure okoliczności śmierci człowieka. Wolałby spokojnie popijać smaczną herbatę i gawędzić o obyczajach pszczół.

Demianycza jednak interesowało co innego.

— Borys Michajłowicz ma bystry rozum, sprytnie zasta-  
wił pułapkę.

— Ktoś nas przechytrzył. Dostał się do pracowni, gdy by-  
liśmy na poczcie, wbił Kaługinowi nóż w piersi i zniknął.

— Zniknął? Dziwna rzecz, jak i wiele innych w życiu...

To proste i nawet retoryczne pytanie stropiło Mazina.

Mimo najszerszych chęci nie mógł na nie odpowiedzieć  
twierdząco, gdyż zdrowy rozsądek i logika wskazywały, że  
zniknąć nie można i że przestępca musi być gdzieś w pobliżu.  
Tymczasem żadna z osób, z którymi Mazin zetknął się do-  
tychczas, nie wydawała mu się zdolna do morderstwa.

— Widzę, że filozof z pana...

— Staram się pojąć sens...

— Życia? Trudna sprawa. A może się panu udało?

— Wiele jest bezwzględności.

— I to pana zasmuca?

— Nie powiem. Jest w tym mądrość.

— W okrucieństwie?

— Nie, w bezwzględności. To co innego. Wilka powinno  
się zabijać. A dlaczego? Żeby nie porywał owcy. Takie są  
zarządzenia natury. Owca jest stworzona dla nas. Bo my  
wiele możemy dokonać. Nawet na Księżyc polecieć. Dlatego  
owca należy się nam, a nie głupiemu wilkowi.

— Wilk nie zasłużył, jak z tego wynika?

Pasiecznik, który w trakcie rozmowy dziwnie spoważniał,  
straciwszy nawet zwykłą swą dobroduszość, zaczął się znów  
uśmiechać.

— A nie zasłużył, Igorze Nikołajewiczu, święta prawda. Znadto jest szary.

Nalał do szklanki aromatycznej herbaty i postawił na stole spodeczek z miodem.

— Pewnie pan niejedno widział w swoim życiu?

— Ano, widziałem, co trzeba.

— Pan jest wierzący, Demianyczu?

— W Boga nie wierzę. Wierzę w prawo dialektyki, ono wyznacza nasze losy.

— Losy Kaługina również?

— I jego również — odpowiedział twardo pasiecznik — Tak mu widać było sądzone.

— Prawo prawem, ale ktoś musiał nacisnąć kurek.

— No, zwyczajnie mówiąc, to jasne; że zabił człowiek.

Jak pan uważa, czy Borys Michajłowicz go znajdzie?

— Ma nad czym myśleć. Morderca pozostawił nóż.

— Nóż? Widać coś go spłoszyło. Zostawił na miejscu dowód.

— Albo też chciał skierować podejrzenie na kogo innego.

Wiadomo przecież, czyją nóż był własnością.

— Czyją?

— Olega.

— Olega? — Twarz pasiecznika wydłużyła się.

— Nie spodziewał się pan?

— On zupełnie na to nie wygląda.

— Jestem tego samego zdania. Raczej ktoś posłużył się jego nożem. Brał go Walery, ale zwrócił. Mógł również wziąć kto inny.

— Co za historia! — Demianycz pokiwał głową. — Ciebie, komu też zależało na jego śmierci? Może to zemsta?

— Trudno mi o tym sądzić.

— Dziwna sprawa, bardzo dziwna. W Moskwie chyba nekrolog zamieszczą...

Podniósł swój spodek do ust i pił, trzymając go w rozczepionych palcach. Nagle przechylił się przez stół ku Mazinowi.

— A jeśliby zazdrość?

— Pan coś wie, Demianyczu?

— Nic określonego. Borysowi Michajłyczowi nawet bym nie wspomniał, bo to prawnik i tylko fakty są dla niego ważne. Ale pan, wolny człowiek, doktor, jeśli dobrze pamiętam... — w jego wzroku mignął jak gdyby cień powątpiewania i Mazin po raz któryś z rzędu, przełamując nieprzyjemne uczucie, musiał potwierdzić, że jest lekarzem.

— No właśnie... Siedzimy sobie jak zwyczajni ludzie, myślimy na głos i to, co mówimy, zostanie tylko dla nas, nie dla prawa. Widzi pan, grzeszę ciekawością, lubię popatrzeć, jak żyją inni ludzie. Różne bywa to życie, Igorze Nikołajewiczu. Nawet u nas, nie mówiąc już o burżuazyjnym świecie. Los wie, co robi, nie wszystkie siostry jednakowe zausznice dostają. Jednej przypadnie naszyjnik, a dla drugiej, patrzysz, nawet obrączki zabrakło. Taki Michał Michajłycz, nieboszczyk... Po szerokiej drodze wiodło go życie, gałązki nad głową rozsuwało, żeby się nie podrapał. Ale godzien był tego, nikt nie zaprzeczy. Talent miał wielki.

„A jednak to stary gaduła” — zauważył w duchu Mazin, doskonale znający tę kategorię prostych ludzi, niegłupich i bogatych w doświadczenie, ale skłonnych na starość wyolbrzymiać swoją wiedzę o życiu.

— No i do czego pan doszedł, obserwując Kaługina?

— Ano... To już czysta plotka, Igorze Nikołajewiczu, ale niech mi pan powie, tak z ręką na sercu, czy on koniecznie

musiał związać swoje życie z młodą kobietą? — spytał pouf-  
nym tonem Demianycz.

— On też nie był stary.

— Jednakże Maryna Wiktorowna o te dwa dziesiątki lat  
młodsza. A w naszych czasach, wie pan, co znaczy dwadzie-  
ścia lat różnicy? To już inny człowiek. On walczył na froncie,  
a ona o Wojnie Narodowej uczyła się w szkole. On znał cenę  
czarnego chleba, a ona je razowiec, żeby mieć ładną figurę.

— W życiu takie granice często się zacierają.

— Może się i zacierają, ale młody zawsze do młodego  
ciągnie.

— Proszę mówić jaśniej.

— Nigdy bym słowa o tym nie pisała, gdyby nie ten  
straszny wypadek. Ale jeśli pan mi obieca, że pan Borysowi  
Michajłowiczowi tą plotką nie zamąci...

— Nie zamączę — obiecał Mazin.

— No więc... Jadę któregoś dnia do pasieki. Za mostem  
zjechałem w dół, żeby osła napić. Osioł to bardzo mądre  
zwierzę, trzeba panu wiedzieć. I serdeczne. Niesłusznie ludzie  
je oszkalowali. Ja ich zdania nie podzielałam, bo lubię zwierzę-  
ta. Naraz zobaczyłem Marynę Wiktorownę z tym narwanym  
chłopakiem, Walerym. Oboje na koniach i mnie nie widzieli.  
Na moście on podjechał do niej blisko, przechylił się z konia i  
pocałował ją... Zrobiło mi się głupio. Pamiętam, że się od-  
wróciłem. To i wszystko... Oj, chwileczkę! Tylko drew do  
ognia dorzucę.

Pasiecznik zerwał się i schylił nad płytą kuchenną.

— Różnie się zdarza... — zauważył Mazin nieokreślonym  
tonem. Pomieszał łyżeczką w pustej szklance i wstał.

— Dziękuję za gościnę.

— Ale nasza umowa...

— Raz dane słowo jest święte.

Znów szedł mokrą ścieżką po rozrzuconych garściach zeszlorocznego siana, między sosnami, na których błyszczały krople deszczu.

— Gdzieś ty przepadał? — z mgły wyłonił się Sosnowski.

— Piłem herbatę.

— Herbatę! Walery zniknął! Łóżko w jego pokoju nawet nie tknięte. Nie nocował w domu.

— Doskonale! Zdaje się, że Walery Kaługin jest jedynym człowiekiem, którego możemy skreślić z listy podejrzanych.

— Znalazłeś alibi?

— Przeciwnie. Wszystko przemawia na jego niekorzyść.

Stali pod rozłożystym chojarem. Sosnowski machnął w rozdrażnieniu ręką i zaczepił o gałąź. Kroplista ulewa spadła im na głowy.

— Nie ma nic gorszego, jak mieć do czynienia z geniuszem! Jestem zwyczajnym kandydatem nauk i uważam, że w naszej sytuacji twoje pseudooryginalne, napuszone i bezpłodne paradoksy są absolutnie nie na miejscu.

Mazin rozłożył ręce.

— Staram się znaleźć właściwą drogę — nic więcej.

— I dlatego odrzucasz fakty? Walery, właśnie Walery mógł wejść do pracowni bez wzbudzania podejrzeń i spokojnie czekać na grzmot. Rozumiem, że patologia tej zbrodni przeraża, budzi wątpliwości, ale, jak się okazało, nie jest on synem rodzonym!

— Chwileczkę! Zabił i nie upewnił się, że jego ofiara nie żyje?

— Cóż w tym dziwnego? Jesteś przecież wielbicielem Dostojewskiego. Pamiętasz Raskolnikowa? U przestępcy w momencie zbrodni następuje gwałtowne zahamowanie



funkcji rozsądku i woli... Właśnie wtedy, gdy rozsądek i ostrożność są najbardziej konieczne... Nieomal cytuję. Walery to przecież ten sam typ psychologiczny. Ile go kosztował ten strzał? Wyobrażasz sobie? Strzelił jednak i natychmiast uległ temu zahamowaniu. Nie był w stanie dotknąć pulsu swej ofiary, przekonać się, czy ustało bicie serca. Chciał jak najprędzej wyjść, uciec. I oto dowiaduje się, że ojczym żyje. Doznaje szoku. Jest w panice. Strach pędzi go na górę. Jak to nieraz bywa, okoliczności sprzyjają przestępcy. Ma w rękę cudzy nóż...

— Chwileczkę. Oleg pamięta, że Walery zwrócił mu nóż. Po drugie, gdy oznajmiałeś, że Kaługin żyje, Walerego przy tym nie było.

— Oleg mógł coś napłatać. A w pokoju Walerego było doskonale słyhać, co mówiłem. Wreszcie mogła mu powtórzyć Maryna.

— Aha, ona rzeczywiście nie była Waleremu obojętna.

— No widzisz!

Mazin posmutniał. Nie pierwszy raz obserwował coś takiego — wybaczną w gruncie rzeczy radość, gdy łamigłówka zdaje się łatwo układać. On również tym grzeszył w swoim czasie. W wywodzie Borysa była logika i metoda, a jednak Igor Nikołajewicz nie mógł się z nim zgodzić. Dlaczego? Zbyt proste? I cóż z tego? Większość morderców to chyba ludzie niezupełnie normalni — postępują wbrew logice, podejmują nieuzasadnione ryzyko, tracą poczucie rzeczywistości. Stąd nieuniknione błędy, potknięcia. Po cóż więc komplikować całą sprawę?

— Słuchaj, Borys! Twoja wersja jest nie gorsza od innych. Z tym, że innych w ogóle nie mamy. Na razie jednak mam do niej zastrzeżenia. Możliwe, że wynika to nie z pychy, jaką mi zarzuciłeś, ale raczej ze zmęczenia. Dlatego

proponuję, byśmy się rozdzielili. Ty pójdziesz swoim tropem, a ja jeszcze pomyślę. Jeżeli na coś wpadnę, dowiesz się natychmiast.

— Niepotrzebnie się tłumaczysz. Rób, jak chcesz. Masz do tego prawo.

Mazinowi kamień spadł z serca. „Jeżeli sprawa jest tak prosta, to się zorientuje w niej bez mego udziału, jeżeli zaś bardzo skomplikowana, to ja również nie jestem jasnowidzem”. Poczyszony tym sofizmatem zostawił Borysa i szedł nad rzeczkę podmywającą zbocza bystrym, żółtym po deszczu nurtem. Woda zalała głązy, wczoraj jeszcze widoczne pośrodku krętego koryta, i pędziła zwycięsko, wesoło, z łatwością pokonując kamienne przeszkody. Potok magnetyzował, trudno było od niego oderwać oczy.

— Prawda, jak pięknie?

Na skale tuż nad wodą siedziała Halina. Obciągnęła spodniczkę nisko za kolana, chroniąc się przed chłodnymi bryzgami.

— Prawda. Nieczęsto mam okazję oglądać takie widoki.

— A ja się tu wychowałam. Dużo osób uważa mnie za głupią, ponieważ siedzę w takiej głąszy. — Schyliła się i wyciągnęła unoszoną przez wodę gałązkę sosny. — Widzi pan, ile tu pustych domów? Latem to jeszcze ludzie przyjeżdżają, ale w zimie nie ma nikogo. A w zimie jest przepięknie! Dokoła wszędzie śnieg. Nie można się napatrzeć. — Roześmiała się z nagłą goryczą: — Tylko nie ma za kogo wyjść za mąż. I w ogóle nic się nie dzieje.

— Nic? Wczoraj odniosłem zupełnie inne wrażenie.

— Myśli pan o Michale Michajłowiczu? Jak się czuje? Nie widziałam się z nikim. Wstałam wcześniej i wybrałam się do domu, tymczasem most zerwany. Siedzę i czekam na jakąś szansę.

— Kaługina zamordowano, Halu.

— Niemożliwe!

Mazin zrelacjonował przebieg wypadków. Nauczycielka słuchała, otworzywszy szeroko ciemne oczy o podłużnym wykroju.

— Wcześniej pani zasnęła?

— Nie. Oleg wstąpił do mnie.

— Interesujący chłopak.

— I cóż z tego?

— Jest pani surowa, jak wszyscy nauczyciele.

— Nauczyciele też bywają różni. Zresztą wróćmy do tematu... A swoją drogą dziwny z pana człowiek. Bardzo spokojny. Wzbudza pan zaufanie. Pacjenci na pewno pana lubią?

— Pacjenci? Nie jestem lekarzem. Pracuję w wydziale kryminalnym.

Mazin wspiął się na głaz i usiadł koło niej. Odsunęła się nieco.

— Zamierza mnie pan przesłuchać?

— Skądże. Pozalecać się. Jestem wprawdzie o jakieś piętnaście lat starszy od Olega, czasem jednak poważni mężczyźni również podobają się kobietom.

— Niech pan jeszcze doda, że jest nieżonaty. — Wybuchnęła śmiechem, lecz natychmiast się zreflektowała — Zdarzyła się taka tragedia, a my głupstwa plecimy. Co się tyczy wydziału kryminalnego, to niefortunnie pan trafił.

— Szkoda. Chciałem się czegoś dowiedzieć o Olegu.

— Okropnie nudny facet. Nie wygląda na dziennikarza. Wciąż tylko mówił o ścieżce prowadzącej do Czerwonej Rzeczki. Prosił, by mu ją pokazać.

— Zgodziła się pani?

— W taką pogodę? Tam nawet przy najbardziej sprzyjających warunkach można kark skrócić. On ma zupełnego bzika na punkcie tego samolotu.

— Chce napisać o nim w gazecie.

— A niech sobie pisze na zdrowie.

W słowach Haliny czuło się urażoną ambicję.

— Filipienko może pokazać mu drogę.

— Matwiej odmówił.

— Dlaczego?

— Czy ja wiem? On zawsze robi to, co mu się podoba. Jest sam sobie panem. Kierownictwo po drugiej stronie przełączy. Zwierzynę wybija, kiedy trzeba i nie trzeba. Oczywiście, że u nas trudno wyżyć bez polowania, ale musi to być robione z głową! I trzeba być człowiekiem. W zeszłym roku wrócił z gór i po paru głębszych zaczął się popisywać: „Wiesz, Halina, trzy koziorożce ubiłem”. — „Gdzie? — pytam. — Po co?” Otóż szedł nad wąwozem i po drugiej stronie zobaczył koziorożce. No i bach-bach... Strzela bez pudła. Zabił wszystkie trzy. Zwymyślałam go ostatnimi słowami, jego obowiązkiem jest chronić zwierzynę, czemu więc ją tępi? Przyznał mi rację, podobno dlatego się schlał. Ale nie mógł się powstrzymać, jak zobaczył zwierzęta na skałach. Nim zdążył pomyśleć, karabin sam strzelił.

— Karabin?

— Myśli pan, że Matwiej ze strzelbą chodzi w góry? Strzelba jest dla inspekcji. Ma w lesie schowek, w którym trzyma karabin i kupę naboju. Niemcy tu forsowali przełączy, na lodowcach jeszcze do dziś można znaleźć broń. Co jak co, ale strzelać u nas wszyscy lubią.

— Pani też strzela?

— Jeszcze jak! Kiedyś Matwiejowi utarłam nosa. Zaczął

się chwalić, że on taki znakomity strzelec, a ja nawet z dziesięciu kroków do krowy nie trafię. Kazałam mu podrzucić w górę czapkę. I tylko z niej daszek został. Szkoda, że pan nie widział jego gęby!

Wstała przytrzymując wokół nóg spódniczkę, którą wydmynał wiatr.

— Muszę jednak złapać Olega. Bo jeszcze gotów sam polecieć.

„Sympatyczna dziewczyna, to niemożliwe by mogła być w to zamieszana”.

Mazin zbiegł ze skały i szedł brzegiem rzeczki spoglądając na wzburzoną, zmętniałą od gliny wodę. „Ciekawe, co zamierza Borys? I czy Matwiejowi udało się przepłynąć?” Wzrok jego, jak gdyby idąc za tą myślą, spoczął na gładkim, z pozoru mocno osadzonym głazie.

— Proszę nie wchodzić na ten kamień! Podmyło go.

Igor Nikołajewicz spostrzegł małego chłopaczka w długim, zapewne ojcowskim waciaku i czapce ze znaczkiem leśnika, zjeżdżającej mu na uszy.

— Skąd wiesz, że chciałem wejść na ten kamień?

— Przecież pan patrzył na niego i już prawie nogę podniósł.

„Trzeba być doskonałym obserwatorem, by zauważyć mimowolny odruch”!

— Dziękuję, przyjacielu. Jak masz na imię?

— Kola.

— Nikołaj Matwiejewicz?

Nietrudno się było domyślić. Szczupły chłopaczek był jak dwie krople wody podobny do Filipienki.

— Ile ty masz lat, Nikołaju Matwiejewiczu?

— Czternaście.

— Ho-ho! Pewnie już komsomolec?

— Nie, jeszcze pionier. A pan jak się nazywa?

— Ja? Igor Nikołajewicz. Łowisz tu pstrągi?

Chłopiec uśmiechnął się rozbawiony naiwnością mieszczuchów.

— Pstrąg bierze koło tamy... A czy to prawda, Igorze Nikołajewiczu, że wujka Miszę zabili?

— Prawda.

— Och, szkoda. On był najlepszy ze wszystkich.

— Najlepszy? Dlaczego? Może cię malował?

— Nie... Chciał namalować, ale ja nie mogłem usiedzieć. Nic z tego nie wyszło. Za to chodziliśmy razem na polowanie. Tylko że on nigdy niczego nie zabił. I nie lubił strzelać. Lubił chodzić, opowiadać. O wojnie, o tym, jak walczył. O Moskwie, o sławnych malarzach. Bardzo mu się podobał Surikow. Zna pan „Przejście Suworowa przez Alpy”?

— Znam.

— Obiecał, że mnie zabierze do Moskwy, pokaże Galerię Tretiakowską. Często chodziliśmy razem. Szczególnie nad Czerwoną Rzeczkę.

„Tam znaleziono samolot”.

— Dlaczego właśnie tam? Czy to takie piękne miejsce?

— U nas wszędzie jest pięknie. Rzeczką wodospadem wypływa z jeziora. Naprzeciwko czerwonych skał. Dlatego ją nazywają Czerwona. Bo w ogóle to wcale nie jest czerwona, zwyczajna rzeka. A na tę górę to nikt nie da rady się wdrapać. Wie pan, skąd dopiero można zobaczyć jezioro?

— Nie — odpowiedział Mazin z przyjemnością słuchając sympatycznego chłopaczka.

— Trzeba wejść na Łysą. To jest wyżej niż jezioro i stamtąd widać je przez lornetę jak na talerzu. Tam gdzie lód stał, są takie granatowe okna. Wujek Misza miał silną lornetę.

Jak wleźliśmy na Łysą, to mógł godzinami tak siedzieć i patrzeć.

— A samolotu Michał Michajłowicz nie widział?

— Nie... Nikt nie widział. Tata pierwszy. Jak lawina zasypała przepaść.

„Po co to pytanie? Czemu moja koncepcja ma być lepsza niż Borysa? On jest skłonny do uproszczeń, ja wietrzę komplikacje. Gdzie jednak może być Walery?”

— Słuchaj, Kola, nie spotkałeś dziś Walerego Kaługina?

— Nie.

— Z nim też chodziłeś w góry?

— Z Walerym? — w głosie chłopca brzmiała nie tajona pogarda. — Akurat! Z takim leniem. On tylko szaszłyki lubi. Nakupi mięsa i piecze na polanie. — Kola zachichotał. Nie ulegało wątpliwości, że jako syn myśliwego uważa kupowanie mięsa za rzecz najgłupszą pod słońcem.

Mazin uśmiechnął się.

— To znaczy, że w górach żadna z niego pociecha? Gdzie on się dzisiaj podziewa?

— A pewnie śpi w budzie.

— Gdzie?

— W budzie. Tu koło pasieki kolchozowej jest taki domek. Niczyj. Jak wujek Misza zmyje Waleremu głowę, to on zaraz tam leci i wyleguje się na łóżku.

— Zaprowadzisz mnie do tego domku?

— Dobra — zgodził się ochoczo chłopak i natychmiast ruszył naprzód, sprytnie wybierając co równiejsze i co suchsze kamienie.

Minęli willę Kaługina i weszli w ciemnawy las. Wszystko tu było na wskroś przemoknięte. Ciężkie zimne krople bez ustanku kapały z obwisłych gałęzi. Droga była trudna.

Skończyła się kamienista ścieżka i nogi zaczęły grzęznąć w rozkiszłej glinie.

— Daleko jeszcze, Kola?

— O tu, Igorze Nikołajewiczu.

Na obszernej polanie zieleniało zatęchłe bagniste jeziorko. Pośrodku pływały drzwi z zardzewiałą klamką, nikomu w tych obfitujących w drewno stronach niepotrzebne, dalej za jeziorkiem Mazin zobaczył nie różniący się od innych, kryty tarcicą domek. Nad dachem wiła się wątła smużka niebieskawego dymu.

Poszedł teraz przodem. Chciał najpierw zajrzeć przez okno, najbliższe jednak było zamknięte, stanął więc przed lekko uchylonymi drzwiami przyłapując się na tym, że mimo woli oczekuje jakiejś rewelacji. Drzwi otwierały się na zewnątrz. Igor Nikołajewicz pociągnął je i zatrzymał się na progu. Na rozkładanym łóżku, które było zasłane rozpiętym śpiworem, leżał Walery z twarzą ukrytą w poduszce. Mazin chwycił go za ramię.

Walery odwrócił się i siadł na łóżku mierząc nieproszonego gościa pochmurnym wzrokiem.

— Czego pan chce?

— Przepraszam, wydawało mi się, że pan źle się czuje. Pańska pozycja...

— Mam prawo leżeć, jak mi się podoba. Po co pan przyszedł?

— Zapewne pan nie wie...

— Wiem wszystko.

— Dlaczego więc pan tu przebywa?

— Nie pański interes.

Mazin stłumił rosnącą niechęć do malarza.

— Wobec tego nie będę przeszkadzał...

— Wynoś się pan!



— Gościnność nie jest pana najmocniejszą stroną — Mazin nie dał się wyprowadzić z równowagi.

— Nie chcę podzielić losu ojca. — Zerwał się nagle i chwycił strzelbę stojącą pod ścianą. — Zjeżdżaj pan stąd, słyszysz! Bo wpakuję ci w brzuch cały ładunek śrutu.

Igor Nikołajewicz wykonał błyskawiczny rzut ciałem. Walerego cisnęło z powrotem na łóżko, a strzelba stuknęła o podłogę. Mazin podniósł ją i wyjął nabój. Walery wodził za nim ogłupiałym wzrokiem.

— Przepraszam — odezwał się wreszcie i znowu jak poprzedniego dnia zaczął udawać błązna: — Nie nasza to wina, tak już miało być.

— Kto panu powiedział o śmierci ojca?

— No... Maryna.

— Kiedy?

— Zaraz po tym, gdy pański przyjaciel wykombinował swój idiotyczny eksperyment. Zeszła na dół i powiedziała mi wszystko. Musiała przecież z kimś się podzielić. Ona nie jest prokuratorem, ma nerwy.

— Borys Michajłowicz też je ma. I też nie jest prokuratorem, jak panu wiadomo. Robi wszystko, aby wykryć mordercę pańskiego ojca. Wie pan, czym się zakończył „idiotyczny eksperyment”?

— Widzę po pańskiej minie, że nikogo nie złapaliście.

— Jest pan świetnym fizjonomistą. Niemniej Kaługina usiłowano zabić jeszcze raz i to nożem, którym pan otwierał butelki.

— Wziąłem nóż od Olega. Co pan mi tu plecie! To wyraźna prowokacja!

— Zwrócił mu pan nóż?

— Diabli wiedzą. Chyba tak. Po co miałbym go chować? Na pamiętkę? Niech pan mi da święty spokój. I nie odstawia

Herkulesa Poirot. Tu nawet milicja zęby sobie połamie. Za twardy orzech dla nich. To nie kradzież torebki.

— Czyżby pan miał jakieś konkretne podejrzenia?

— Absolutnie żadnych! — wykrzyknął malarz, ale zaraz dodał zmieniając ton: — Poco to panu, doktorze? To wyłącznie nas, mnie obchodzi. Proszę się nie mieszać w nie swoje sprawy. Lepiej niech pan korzysta z wypoczynku. Nie podoba się panu osiedle, proszę się przenieść tutaj. Jak słońce wyjrzy, dopiero pan oceni to miejsce. Boski widok! — zakończył już całkiem przyjaźnie.

— Dziękuję — odpowiedział Mazin przyglądając mu się z uwagą.

— Proszę zostać! Ja już wychodzę. Dobrze, że pan mnie obudził.

„«Narwany chłopak» — wspomniał Igor Nikołajewicz słowa pasiecznika. — Jest zgnębiony, nie panuje nad nerwami. Nic dziwnego. Ale co on ma na myśli? Co oznaczają słowa: «To wyłącznie nas, mnie obchodzi» Albo też nic nie oznaczają”.

Spojrzał w okno i znów zobaczył zielone bajorko z pływającymi na nim drzwiami i gęsty tuman spowijający zbocza gór.

— Na pewno pan go znajdzie, Igorze Nikołajewiczu — usłyszał głos Koli.

— Kogo?

— No tego, co zabił. Ja od razu zgadłem.

— Co takiego zgadłeś?

— No, jak pan wybił Waleremu strzelbę z ręki, od razu zgadłem, że to pan.

— Za kogo ty mnie bierzesz?

— Jak chodziliśmy z Borysem Michajłowiczem na lisa —

zaczął trzepać Kola, chcąc jak najprędzej całą rzecz wyjaśnić — to on mi powiedział: „Doskonały z siebie tropiciel, można by cię śmiało zatrudnić w wydziale kryminalnym”. Wtedy go spytałem, czy dużo już schwytał przestępców. Odpowiedział, że on sam niewielu, ale ma przyjaciela, który chwyta szczególnie niebezpiecznych. Pomyślałem sobie: ojej, jakbym chciał go zobaczyć! A jak pan przyjechał, to ciągle mi po głowie chodziło — może to właśnie on? No, a jak pan tę strzelbę wybił — to już byłem w domu!

— Jednym słowem, zdemaskowałeś mnie.

— Czy pan specjalnie tu przyjechał? Wiedział pan, że się szykuje zabójstwo?

— Nie, synku. Przyjechałem na urlop.

— A nie wzięłby pan mnie do pomocy? Nawet pary z ust nie puszczyć, słowo pionierskie!

Mazin nie zdążył odpowiedzieć. Nagle, prawie zlewając się ze sobą, rozległy się trzy dźwięki. Dopiero później uświadomił sobie ich kolejność. Z początku usłyszał tylko dźwięk rozbitej szyby. Ale o ułamek sekundy wcześniej huknął strzał i równocześnie coś głucho uderzyło w stół.

Instynktownie, nie czując jeszcze piekącego bólu pod pachą, rzucił Kolę na podłogę. Drugą ręką sięgnął po strzelbę. Oczekał chwilę i podszedł do okna. Przez rozbitą szybę wpadało chłodne, wilgotne powietrze. Dokoła panował spokój i cisza. Strzelano z pobliskich krzaków, tylko stamtąd można było skroś mgły dojrzeć sylwetkę w chacie. Tam się krył napastnik. Co uczyni dalej? Postara się dostać do chaty? Umknie do lasu? Czy będzie czekał, aż ktoś wyjdzie na polanę?

W gęstwinie znów odezwał się wystraszony strzałem jakiś nieznaną ptak. Mazin zdjął płaszcz. W rękawie była dziura.

Nie odczuwał jednak specjalnego bólu. Widocznie kula tylko drasnęła skórę. Koszula nasiąkła krwią i nieprzyjemnie lepiła się do ciała.

— Zranił pana, tak? — spytał szeptem Kola.

— Troszeczkę.

W dalszym ciągu bacznie obserwował las. Wyglądało na to, że napastnik postanowił czekać albo też zwiął. Mazin podniósł i opuścił zranioną rękę. Na szczęście rana niezbyt mu dokuczała.

— Kola, siadaj przy ścianie pod oknem i nie ruszaj się, póki nie wrócę.

Ostrożnie uchylił drzwi. Rozejrzał się, przebiegł kilkanaście kroków i schował się za najbliższym drzewem. Rzadki las pozwalał widzieć na znaczną odległość, pnie drzew jednak utrudniały strzelanie. Powoli przesuwał się w kierunku zarośli, czujnym wzrokiem badając otoczenie. Oto i leszczynowy gąszcz. Na gałęziach ptasi harmider. Mazin przebył skokiem ostatni odcinek, gotów błyskawicznie odpowiedzieć strzałem na strzał i znalazł się na kamienistym placyku w głębi krzewów. Placyk był pusty.

Schylił się i podniósł żółtawą, ciepłą jeszcze łuskę. Czuć ją było prochem. Niewielka łuska z charakterystycznym rowkiem — od niemieckich nabożów z czasów ostatniej wojny. Widocznie napastnik nie miał czasu jej poszukać. Ale dokąd mógł uciec? Kamienisty placyk znajdował się na szlaku prowadzącym w góry. Dalszy pościg byłby sprzeczny ze zdrowym rozsądkiem. Napastnik mógł się przyczaić za którymś z głazów i strzelić z bliska. Mazin wyszedł z zarośli i udał się do chaty nie wypuszczając z rąk strzelby.

Koli nie było.

— Kola! — zawołał Mazin.

— Tu jestem — chłopiec ukazał się w drzwiach.

— Dlaczego wyszedłeś?

Czekając na odpowiedź Mazin wyjął szczyryk i zaczął nim dłubać w stole.

Kola milczał, nie spuszczał oczu ze szczyryka śledząc z zapartym tchem manipulacje Mazina.

— W naszej pracy, Nikołaju, najważniejsza jest dyscyplina. Złamałeś rozkaz, tym samym nie zasługujesz na moje zaufanie. Idź do domu!

Zabrzmiało to ostro, ale nie mógł przecież powiedzieć chłopcu: kula, którą wydtubuję, mogła trafić w ciebie! Spodziewał się protestów, zapewnień, że samowola już się nie powtórzy, tymczasem malec spojrzawszy na kulę naburmuszył się i wyszedł bez słowa.

„Obraził się. Z dwojga złego lepsze już to, nie mam prawa go narażać”.

Rękaw przesiąkł już do łokcia krwią sączącą się z ranki. Mazin zrzucił marynarkę, koszulę i podszedł do wiadra stojącego na taborecie za drzwiami. Zanurzył w nim kubek i nagle usłyszał czyjeś kroki.

„Wraca!”

Chwycił strzelbę i stanął pod ścianą między drzwiami a oknem. Ktoś zatrzymał się, jakby wahając się wejść. Nastąpiła dłuższa przerwa. Było bardzo cicho. Tylko ptaki świergotały w zaroślach. Potem drzwi skrzypnęły. Mężczyzna w płaszczu deszczowym z podniesionym kołnierzem stanął w progu, obrzucił wzrokiem izbę i nie dostrzegłszy nikogo, zrobił krok naprzód. W tejże chwili lufa strzelby dotknęła jego żeber.

— Igor?! — tyle tylko zdołał wykrztusić Sosnowski ujrawszy zakrwawionego Mazina z dubeltówką w rękach.

— Co się stało?

Mazin wziął ze stołu kulę i podał mu ją bez słowa.

— Niesamowite, przecież mogli cię zabić! — Sosnowski patrzył na rozbitą szybę.

— To nawet byłoby zabawne. „Ustrzelony jak zając w trzecim dniu urlopu, ten, co w swym życiu mnogich uniknął niebezpieczeństw”. Ładne epitafium?

Mazin przemył ranę lewą ręką.

— Stać cię jeszcze na żarty? Skąd się tu wzięłeś?

— Szukałem Walerego. Był tutaj. Niepokoi mnie jego nastrój. Kłębiamu się w głowie jakieś niebezpieczne myśli. A do szczeroci nie jest skłonny. Jak myślisz, co za idiota chciał mnie załatwić?

— Ktoś odgadł nasz podstęp i uznał, że jesteś dla niego groźny.

— Możliwe. Aczkolwiek nikomu, jak dotąd, nie zagrażam. Przyjrawszy się wszystkim tym ludziom, doszedłem do wniosku, że nie ma wśród nich mordercy. Myliłem się. Jest. A zatem moje przesłanki, a przynajmniej spora ich część, okazały się fałszywe. Trzeba zakasać rękawy. Nie podziwiasz mego entuzjazmu?

— Co to jednak znaczy osobiste zainteresowanie — zauważył złośliwie Borys.

— Właśnie. Krew woła o pomstę. Ściągnij mi rękę chusteczką. No, a co powiesz o kuli? Podobno Filipienko ma karabin.

— Matwiej poszedł do rejonu.

— Tak, trudno sprawdzić, gdzie się w tej chwili znajduje.

— Jeżeli dotrze na milicję gdzieś w połowie dnia, to by znaczyło, że jest w drodze.

— Sprawdzimy godzinę jego przybycia do rejonu.

Do sprawdzenia jednak nie doszło. Na ścieżce koło jeziorka ukazał się strażnik we własnej osobie.

— Proszę, zjawia się jak na zawołanie. Posłuchamy, co nam powie.

— Co się tu zdarzyło? — spytał bez wstępów Matwiej.

— Ano zdarzyło się to i owo. Myślałem, że już jesteś daleko.

— Jodłę podmyło. Woda rwie jak wściekła. W bród nie przejdiesz, zniesie jak kawał drewna. Co miałem robić, wróciłem, a tu Nikołaj opowiada mi, że tak i tak. Coś mi na to parzy, że do pana strzelali, Igorze Nikołajewiczu?

— A owszem. Tylko nie powiodło się strzelcowi. Został mi kulę na pamiątkę i zwiął. Wspominał ci Nikołaj o kuli? — Mazin przeszedł na „ty”.

— Tak.

— Chcesz ją obejrzeć?

— Jeśli można?

Mazin położył kulę na dużej chropawej dłoni Matwieja. Wydało mu się, że palce strażnika drgnęły. Nagle kula zniknęła. Filipienko zacisnął kułak. Potem jeszcze raz rzucił na nią okiem bardzo przelotnie i opuścił rękę.

— Znasz ją? — spytał Igor Nikołajewicz udając obojętność.

— Nie... Tak od razu trudno wiedzieć. Trzeba by obejrzeć, porównać... Można?

— Chcesz wziąć tę kulę do domu? Proszę bardzo. — Zwrócił się do Sosnowskiego: — Chyba nie masz nic przeciwko temu, Borysie? — Spojrzenia ich się spotkały.

Filipienko szybciej, niż należało, wsunął kulę do kieszeni, jednakże Borys kategorycznie potrząsnął głową.

— Wykluczone! To jest bardzo ważny dowód rzeczowy. Oddaj mi ją, Matwieju!

— Wedle życzenia. Ja chciałem jak najlepiej dopomóc.

Podał kulę Sosnowskiemu, a ten włożył ją do pudełka od

zapalek. Mazin patrzył na nich spokojnie i dobroduszenie.

— Kula będzie potrzebna milicji.

— Wedle życzenia — powtórzył Matwiej. — Jutro rano znów spróbuję się przeprawić. Dziś nie da rady. Okropnie kotłuje, zaraza. O tym strzale, po mojemu, lepiej milczeć?

— Oczywiście.

Podreptał jeszcze chwilę, zostawiając na podłodze ślady ubłoconych butów.

— To ja chyba już pójdę.

Mazin odwrócił się. Sosnowski patrzył na niego z ożywieniem.

— Nie przesadziłeś, Igor? Dałeś mu wyraźnie poznać, że go podejrzewasz.

— Wszystko gra. Sądząc po reakcji, Matwiej Filipienko jest człowiekiem skłonnym do emocji, jak to się mówi — zapalnym, w uniesieniu bywa nieraz okrutny, ale cwaniakiem nie jest. To nie jego żywioł.

— Tego by jeszcze brakowało! Dobrze, że kula została u nas.

— U nas? Mylisz się. Kula spoczywająca w twoim pudełku różni się całkowicie od tamtej, która przedziurawił mój płaszcz. Nowy płaszcz, dodajmy. Głowę dam, że to nie jest niemiecka kula.

Sosnowski otworzył pudełko.

— Masz rację. Kaliber 7,6 do starego typu karabinów. A gdzie twoja?

— Na dnie stawu najprawdopodobniej. Matwiej nie jest na tyle głupi i aż na tyle sentymentalny, by ją przechowywać na pamiątkę.

— I ty pozwoliłeś mu spokojniutko przeprowadzić tę operację?

— Spokojniutko? Ależ skąd! Był wyraźnie zdenerwowany.



Sam widziałeś. Wniosek? Strzelano z karabinu Matwieja. Kula była niemiecka, to swoją drogą, ale prócz tego miała jego własny znaczek. Pewnie na wszystkich swoich nabojach wyciął takie znaczki. Słabostka myśliwego. Kola rozpoznał kulę i pobiegł z tym do ojca. Ani on jednak, ani Matwiej nie orientują się, że ja wiem o karabinie. Co prawda mały domyślił się, że nie jestem lekarzem.

— Kola?

— Wyobraź sobie! Niestęchanie spostrzegawczy chłopak. Czy powiedział o tym ojcu, nie jestem pewny. Dlaczego? Nie wiadomo, czy wierzy czy też nie, że ojciec maczał w tym palce... No i dał słowo pionierskie. Ale to jeszcze wyjaśnimy. Na razie Matwiej dowiedział się, że ja żyję i kula jest w moich rękach. Nie zważając na ryzyko, ten naiwny desperat próbuje ją ode mnie wydostać.

— Poszedł na całego.

— Na całego. To znaczy, że go przypiliło. Teraz jest przekonany, że odebrał nam dowód. Ale to po prostu oszukiwanie samego siebie. Naiwność. Nie wiedział, że znalazłem również łuskę. W przeciwnym razie zamieniłby kulę na niemiecką, tylko bez znaczka. A więc pół punktu odbiliśmy sobie. Teraz będziemy go obserwować.

Sosnowski przesunął ręką po włosach.

— Albo on nas. Zza krzaka, z karabinem.

— Trudno. Tak już bywa w naszej robocie, jak mawia jeden z moich przyjaciół. Wina Matwieja na razie nie została udowodniona.

— Tak, nasze dowody mają związek z karabinem, a nie z jego właścicielem. Matwieja nawet pośrednio wybielają. Musiały być skończonym głupcem, aby strzelać naznaczoną kulą zostawiając na dobytek łuskę. Jednakże człowiek ograniczony i porywczy najpierw coś robi, a dopiero później się

zastanawia. Gdyby cię zabił, mógłby wyjąć kulę.

Mazin odruchowo przesunął ręką wzdłuż ciała.

— Wiesz co, Borys, twoje słowa rzucają nowe światło na ten galimatias. Jaki był nasz punkt wyjścia? Że zabójstwa Kaługina dokonał człowiek wyrachowany, rozumujący na zimno, który wszystko z góry zaplanował i przygotował. Tak? A jeśli było na odwrót? Zgasło światło. Któż mógłby się tego spodziewać i przewidzieć? Burzę też trudno zaplanować. Same niespodzianki. A morderca idzie na górę i w wyliczonym co do minuty czasie rozprawia się z Kaługinem. Genialny rachunek? Czy przysłowiowe szczęście głupiego? Swoją drogą jego determinacja jest godna podziwu. Gdy się zorientował, że podejrzenie może paść na niego (o karabinie wie całe osiedle), przyszedł i bez wahania wykonał swój zamiar. Jeśli wczoraj miał równie ważki motyw... Zwłaszcza jeśli wynikł on niespodziewanie...

— Skąd? Przed naszym przybyciem toczyła się normalna rozmowa. Żadnego spięcia, ostrej różnicy zdań, wybuchów gniewu.

— Mógł nastąpić niewidoczny wybuch. Strachu. Stracił może spowodować poważniejsze skutki niż gniew. Zwłaszcza strach paniczny. Lub zrodzony z tajonej nienawiści. Jakaś mieszanina gwałtownych uczuć, które muszą natychmiast wyładować się w czynach. Abstrahuję od Filipienki, to może dotyczyć każdego. Kobiet również.

— W małej grupie ludzi nawet najmniejsze napięcie jest od razu widoczne.

— Czy zawsze to, co dostrzegamy, trafia do naszej świadomości? Szczególnie wtedy, gdy nie dotyczy nas bezpośrednio? Ileż razy przechodzimy obok nabrzmiewających konfliktów! W domu, w pracy, w kolektywie. Zauważyliśmy coś i natychmiast zapominamy, ponieważ wydało nam się

nieistotne, nie warte uwagi. A tutejszy konflikt z pewnością nie wypływał na powierzchnię, nie afiszowano się z nim, raczej go ukrywano. Coś jednak przeciekało, nie rzucało się w oczy, ale musiało zostawiać ślady. I zostali świadkowie. Trzeba nam wyekstrahować prawdę po kropelce. Filipienko to tylko jedna z wersji, nic ponadto. Najważniejszy jest obraz całej sytuacji. Impuls do morderstwa zjawiał się, zanim zgasło światło. Impuls bezpośredni. Samo bowiem pragnienie dojrzywało powoli. Ale impuls musiał być, choć został nie zauważony. Trzeba zrekonstruować, o czym rozmawiano przy stole, co poprzedziło strzał, wtedy może go dostrzeżemy.

— Wyobraź sobie, że ta myśl już mi przychodziła do głowy. Mówiłem o tym z Maryną i Hałą.

— Kobiety przede wszystkim?

— Nie ironizuj. Wątpię, by w morderstwo Kaługina były zamieszane kobiety, a już z pewnością nie strzelały do ciebie

— Mam nadzieję. Poza tym kobiety mają zdolność zapamiętywania szczegółów. No więc — rozmowa przy stole.

Borys rozłożył ręce.

— Przyznam, że próbowałem podbudować swoją wersję, znaleźć coś, co by miało związek z Walerym. Nic jednak nowego nie odkryłem. Nawet nie skakali sobie z ojcem do oczu, jak nieraz bywało.

— Przedtem odbyła się między nimi jakaś poważna rozmowa.

— Owszem. Ale nie wyglądała na awanturę. Nie wiem, o czym mówili i nie interesowałem się, rzecz jasna. Przerwali, gdy wszedłem. Nie zauważyłem u Walerego oznak zwykłej zapalczywości. Przy stole również milczał. Może był czymś

przybity. Oczywiście to tylko mój domysł, nic więcej. Raczej nie zajmowała go rozmowa.

— A o czym mówiono?

— Filipienko opowiadał o strąconym samolocie.

— Znów ten samolot?

— No, to rozumiałe. Lokalna sensacja numer jeden plus bujna wyobraźnia myśliwska.

— Mianowicie?

— Matwiej znalazł szczątki pilota w pewnej odległości od samolotu.

— Wyrzuciło go?

— Ja też tak myślę, ale Matwiej zagmatwał tę sprawę twierdząc, że szkielet jest zupełnie nie uszkodzony i na resztkach odzieży nie ma śladów spalenizny. Innymi słowy, człowiek wydostał się żywy i cały z rozbitego w drobny mak samolotu, odszedł spokojniutko na bok, położył się na trawie i umarł. Typowa bajeczka myśliwska. A co ważniejsze, nie mająca żadnego związku z morderstwem!

— W każdym razie trudno go uchwycić. Ma natomiast związek z przyjazdem Olega. Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że on szuka samolotu nie tylko z pasji dziennikarskiej. W jego uporze jest jakiś motyw osobisty. Ale to prawie niewiarygodne, aby ta zależność mogła się przyczynić do śmierci Kaługina. A co mówili inni?

— Różne były zdania, w sumie jednak wszyscy byli zgodni, że trzeba dowiedzieć się nazwiska pilota i zawiadomić rodzinę.

— Nic sensacyjnego. Normalne.

— Banalne nawet. Wspominali jeszcze, że trudno będzie odnaleźć rodzinę. Oleg chyba powiedział: „Biorę to na siebie”. Kaługin spytał, w jaki sposób zamierza to zrobić, a on wyjaśnił, że jeśli zachował się numer samolotu, to w Archiwum

Wojskowym muszą być nazwiska załogi. Też proste, jak widzisz. Potem rozmowa przeniosła się w sferę abstrakcji, mianowicie, jak nieraz po wielu latach przeszłość do pomina się o swoje.

— I jak się na ten temat wypowiadano?

— Jak zwykle. O odpowiedzialności za popełnione czyny. Oleg brał żywy udział w dyskusji. „Prawda jest czymś najcenniejszym. Nie wolno jej ukrywać”. Tu się wtrącił Kuznariw i zaczął głądzić, że prawda jest nieuchwytna, że fakty można pojmować w różny sposób. Jednym słowem, takie trele-morele.

— Co mówił Kaługin?

— Był po stronie Olega. Chciał zacytować jakąś przypowieść, ale Walery zwrócił mu uwagę: „Rozgadałeś się, ojcze, pozwól mówić gościom”. Kaługin zmieszał się i za chwilę zgasło światło.

— Nazwał to przypowieścią? Nie opowieścią z życia?

— Nie, nie. Hala i Maryna dobrze zapamiętały to słowo.

— Hm... Niewielki połów. Ani jednego zdania nasuwającego konkretne wnioski. Jeśli jednak wyjdziemy z założenia, że impulsem do popełnienia zbrodni były słowa nieostrożnie lub świadomie wypowiedziane tego wieczoru, to znów natykamy się na samolot. Ale wróćmy na grzeszną ziemię. Czy to już koniec strzelaniny? Oto jest pytanie. Może nie od rzeczy byłoby ubezpieczyć się na życie?

— Do przyjazdu inspektora ubezpieczeniowego zastosowałbym środki ostrożności.

— Wiadomo. Bierz strzelbę i chodźmy!

Gęsta mgła w dalszym ciągu okrywała bliskie i dalekie góry, las stał mokry i nastroszony, nawet woda w jeziorze wydawała się nieprzyjazna i zimna, a mimo to zaszła jakaś leciutka zmiana.

— Wietrzyk się zerwał — powiedział Borys.

„Aha, lżej oddychać” — uświadomił sobie Mazin i równocześnie zobaczył drobne zmarszczki na powierzchni jeziora. Prawie niedostrzegalnie kotływały się gałęzie pobliskich drzew.

— Rozpędzi chmury — odpowiedział bez żadnych aluzji.

W ciszy lasu trudno było uwierzyć w śmiertelne zagrożenie, okrucieństwo, w strach i nienawiść, jakie zakradły się do przycupniętego na stromiźnie osiedla, w to, że człowiek z karabinem może się czaić za pierwszym lepszym krzakiem. Trzask gałązki gdzieś przed nimi wrócił poczucie rzeczywistości.

— Hej, kto tam? — Sosnowski skierował lufę w stronę najbliższych zarośli.

Nikt się nie odezwał.

— Nie wpadaj w panikę, Borys. On nie atakuje dwóch.

Trzask się nie powtórzył. Bez przeszkód dotarli do domu.

Przy dębowym stole siedział Kusznariew nad opróżnioną do połowy butelką „Stołecznej”. Wyraziste, rzeźbione rysy jego twarzy zwiotczały i zatarły się, opalenizna wyblakła, siwe rzadkie włosy skołtuniły się obnażając niezdrowej barwy skórę.

— Borys, oddaj Waleremu strzelbę. A ja posiedzę chwilę z Aleksiejem Fomiczem.

Kusznariew obserwował spod oka, jak Mazin podchodzi do stołu.

— Nie ma pan nic przeciwko temu, Aleksieju Fomiczu?

— Ja? Przeciwno temu? — powtórzył Kusznariew rozwlekle, dobierając słów, jak czynią ludzie pijani, którzy zdają sobie sprawę ze swego stanu, lecz chcą zachowywać się normalnie, poprawnie. — Nie mogę nic mieć przeciwko temu,

ponieważ znajduję się w cudzym domu i nawet ta butelka, którą pan widzi, nie należy do mnie. Dlatego zostawię ją panu, gdyż najwyższy czas, bym wracał na swoje śmieci, tu, jak ze wszystkiego widać, jestem już niepotrzebny. Niepożądany...

— Jakby to powiedzieć...

— Proszę, niech pan powie. Wyjaśni. Oświeci.

— To nie jest takie proste.

— Nie jest proste? I to pan mówi? Czyżbym się przestyszał?! A zatem skomplikowane? Bo skoro nie jest proste, to musi być skomplikowane, tak?

— Tak.

— Uszom własnym nie wierzę! Zupełnie nie podejrzewałem, że dla panów istnieją zagadnienia skomplikowane! Chociaż, chociaż... myliłem się, rzecz jasna, gdyż panowie dokonali prób, ekshumowali, pardon, eksperymentowali... na ludziach. Można rzec, niestrudzeni badacze! A co pan, młody człowieku — Kuznariew odzyskał nagle pewność wymowy — co pan wie o życiu i śmierci?

— Nie jestem już taki młody, Aleksieju Fomiczu. I mam obowiązek coś niecoś wiedzieć.

— Obowiązek? Zgodnie z instrukcją?

— Nie wszystkie instrukcje są złe.

— No! — Architekt błysnął żółtymi oczami. — Uważa pan, że myśli można wpakować w paragrafy? Ująć w formuły najwyższą mądrość? Zredukować sens życia do kodeksu karnego?

— Czasem i kodeks karny dopomaga w zrozumieniu życia. A przyczyny śmierci zasadniczo mieszczą się w ramach orzeczenia lekarskiego.

Ironia tych słów wynikała z konieczności, a nie z chęci

podrażnienia Kusznariewa. Tamten jednak zawrzał gniewem.

— Pozorne! Pozorne przyczyny! — krzyknął i Mazin odniósł wrażenie, że chce go puknąć palcem w czoło. — Wasze papierki zawierają tylko pozory! Triki, sztuczki kuglarskie. A pan jest iluzjonistą!

— Nie mogę się z panem zgodzić. — Mazin mówił łagodnym tonem, jakby miał przed sobą upartego, lecz zdolnego ucznia. — Jeżeli uda nam się ustalić, kto zabił Kaługina...

— Co takiego? Znalazł pan sobie krzyżówkę w czasie urlopu? Proszę, proszę! Mózg pan zwichnie. Albo kark. — Zająknął się. — Nic więcej nie powiem. Nie chcę z panem rozmawiać.

— Pańska rzecz — odparł Mazin ze specjalnie podkreśloną nutą żalu.

— I nie próbujcie ze mnie wyciągać! Pan i pański przyjaciel z tak zwanych organów spraw wewnętrznych! Moje sprawy wewnętrzne to nie wasz interes.

— Mój przyjaciel jest naukowcem. A rozmowa z panem nie stanowi zbyt wielkiej przyjemności. Jest pan nieszczerzy.

— Ja? Kto panu dał prawo?...

— Widzę więcej, niż panu się zdaje.

— To dopiero zarozumiałstwo! Ciekawe, co pan zobaczył?

— Niepewność. Chciałby pan wiedzieć, czy Kaługin był pańskim prawdziwym przyjacielem, czy tylko obawiał się pana.

Kusznariew zamarł. Cios był dobrze wymierzony.

— Czy się mylę, Aleksieju Fomiczu?

— Skąd... skąd panu coś takiego przyszło do głowy?



— Wolałbym na razie wstrzymać się z odpowiedzią.  
— Nie powie pan? Tego się nie spodziewałem. Głęboko pan sięgnął, to mnie zaskoczyło.

— A jeżeli się nie mylę — ciągnął Mazin — to jak mogę uwierzyć, że panu jest obojętne, kto zabił Kaługina... Tak pan twierdził tej nocy.

I tu odplącono mu równie celnym pchnięciem.

— Nie mówiłem, że obojętne. Proszę nie przeinaczać moich słów. Mam własny pogląd... A może wiem, kto go zabił!

— Wie pan?!

— Wolałbym na razie wstrzymać się z odpowiedzią — architekt skłonił się drwiąco, lecz natychmiast spoważniał. — Mówimy różnymi językami. Obawiam się, że pan nie zrozumie.

Widać było, że nie jest tak pijany, jak się Mazinowi zdało na początku rozmowy.

— Uważa pan, że zabójca Kaługina nie powinien ponieść kary?

— Wyłożyłem mój punkt widzenia.

— Potraktował pan sprawę teoretycznie, nie wspomniawszy o tym, że podejrzewa pan konkretną osobę, człowieka znajdującego się wśród nas.

— Co za różnica?

— Istotna. Odpowiedzialność konkretnego człowieka jest czymś bardziej namacalnym. Podlega ściślejszej ocenie wymiaru sprawiedliwości.

— Otóż to!... Pan się troszczy o swój wymiar sprawiedliwości, o sąd, ja zaś o prawdę. Sąd stworzyli ludzie, nawet się tak nazywa — sąd ludowy, czyli ludzki, a ludziom fakty, poglądy, oceny, różnie się w głowach układają. Prawda tymczasem jest niezależna od naszej oceny. Wyłania się z upływem czasu i nabiera wyraźniejszych zarysów. Bez detektywów, bez

psów milicyjnych. Ale czy pan to zrozumie! Posłużę się przykładem. W moich rodzinnych stronach, w małej mieścinie rosyjskiej, budowano szkołę. Łyżka koparki wygarnęła ziemię i razem z nią skarb — czterysta osiemnaście rubli srebrem i trzydzieści sześć kopiejek. Stare monety.

— Tak dokładnie pan zapamiętał?

— Suma jest ważna. W archiwum miejscowym od przeszło stu lat leżała sprawa pewnego mieszczanina. Był oskarżony o zabójstwo kupca i rabunek. Kupcowi zabrano ogółem czterysta osiemnaście rubli czterdzieści sześć kopiejek. Zauważył pan? Różnica dziesięciu kopiejek! Winy wówczas mieszczaninowi nie dowiedziono, pozostał jednak „mocno podejrzany”. A fundamenty pod szkołę zakładano w sto lat później na jego dawnym podwórzu. Tak oto prawda wyszła na jaw. Rozumie pan sens tej historii?

— Śledztwo znajdowało się na właściwej drodze. Szkoda, że go nie doprowadzono do końca.

— Ślepy człowieku! Zapomniał pan o dziesięciu kopiejkach? Ze wszystkich pieniędzy wydał tylko tę dziesięciokopiejkową. Reszty nie odważył się ruszyć. A więc i bez sądu, który nie umiał poradzić sobie z tą prostą sprawą, dopełniła się kara. I to gorsza od katorgi. Tam — terminowe, a tu bezterminowe męczarnie. Do śmierci te pieniądze leżały obok, przypominały o przelanej krwi, a on nie śmiał ich dotknąć.

— A jeśli nie było żadnych męczarni? Pański mieszczanin bał się zdradzić z tymi pieniędzmi i to wszystko! Czekał, zwlekał, aż wreszcie oddał duszę Bogu. Prawda zaś wyszła na jaw, gdy już nikomu z niej nic nie przyszło.

— O nie, szanowny! Pan nie rozumiał! — zaprzeczył

Kusznariew tonem pobłażliwej wyższości. — Jak powiedział Goethe: Bóg może przebaczyć, lecz natura nigdy! A cóż to jest natura? My, tak, tak! Pan, ja, nieboszczyk Misza również.

— Trudno się z panem dogadać, Aleksieju Fomiczu. Mówi pan niejasno. Ja o śmierci Kaługina, a pan o tym, że człowiek potrafi sam siebie bardziej ukarać, niż by to zrobił sąd. Potrafi, może i tak... A jeżeli nie zechce? Co pan wówczas rozkaże?

— Nie przywykłem rozkazywać. I w ogóle nagadałem za dużo. Śledczemu tego nie powiem. Ale pan... zdawało mi się, że pan zrozumie... Dzieliłem się myślami... jak człowiek z człowiekiem. A skoro pan nie rozumiał, to nawet lepiej.

— Jak może być lepiej, jeśli morderca przebywa na wolności?

— Dla innych on nie jest groźny.

Mazin zdecydował się na chwyt niedozwolony.

— Tylko jeden człowiek ma prawo do takiej pewności.

Żółte oczy zaczęły biegać niespokojnie.

— Morderca? Tak to należy rozumieć?

Mazin patrzył na buty Kusznariewa. Były umazane świeżą, jeszcze nie obeschłą gliną.

Pauza się przeciągała. Architekt splótł ręce i wyciągnął je przed sobą na stole. Leżały ciężko, prawie tak samo ciemne, jak deski, z których zbity był stół. Mazin milczał.

— Czego pan chce? O ile mi wiadomo, jest pan osobą nieoficjalną, nie należał pan do przyjaciół ani nawet do znajomych nieboszczyka, a tak się pan interesuje tą sprawą, przeprowadza eksperymenty. Po co? Przyjedzie milicja i zrobi porządek. Jeśli się jest tak wielkim zwolennikiem sprawiedliwości, po co ją uprzedzać? Milicja jeszcze daleko, a pan już wykrył mordercę, hę?

- Nie wykryłem. Pan też chyba nie.
  - Ja nie stawiałem sobie takiego celu. Co wiem, to moja rzecz.
  - Milicja będzie panu zadawać pytania.
  - Nie zamierzam ukrywać faktów, ale nie jestem obowiązany dzielić się domysłami.
  - Zatem faktów jest mniej niż domysłów?
- Mazin wyczuł, że Kusznariew znów zamknął się w sobie i ponadto szykuje się do kontrataku.
- Nie wiem, czemu zawdzięczam tyle upartej ciekawości.. Poza tym dziwi mnie pańskie przypuszczenie — dlaczego Michał miałby się mnie Obawiać?
  - To nie jest przypuszczenie, Aleksieju Fomiczu. Pan sam to powiedział.
  - Ja? Także coś...
  - Proszę sobie przypomnieć. Oświadczył pan, że Kaługin zachował dla pana nie tylko wdzięczność.
- Kusznariew rozłożył ręce.
- I co z tego? Nie tylko... Proszę, jak się wywraca kota ogonem! „Oświadczył!” Sprytnie! Ale dlaczego koniecznie strach? Z jakiej racji miałby się mnie obawiać? Kimże ja jestem? Ma pan słabe pojęcie o sytuacji życiowej artysty — malarza Kaługina! To nie dagezański letnik. To była osobiście, rzecz można, na świeczniku. A ja?
  - Nie przeczę, Aleksieju Fomiczu. Mimo wszystko obawiał się, jak widać.
  - Nie mówiłem, że się obawiał.
  - Mówił pan. Dziesięć minut temu, gdy wyraziłem moje przypuszczenie, pan przecież je potwierdził, być może nieopatrzna uwagą, że sięgnąłem głęboko. A tymczasem ja tylko wyciągnąłem wniosek z pańskich słów i na dowód mojej

szczerości wyznają, że nie mam pojęcia, dlaczego Kaługin obawiał się pana.

— No chyba, wcale się temu nie dziwię!

— Ale wolno mi to zakładać. Zapewne istniało coś w życiu Kaługina, o czym wiedział tylko pan i czego pański przyjaciel wolałby nie rozgłaszać.

Architekt uderzył pięścią w stół.

— Kto panu dał prawo do takich supozycji?

— Bronię się — odparł krótko Mazin.

— Co? — nie zrozumiał Kuszniariew.

— Bronię się — powtórzył Igor Nikołajewicz. — Skoro pan odrzuca prawodawstwo w ogóle, niech pan przynajmniej uzna prawo do obrony własnej. Chciałbym wiedzieć, kto do mnie strzelał dziś przed południem.

— Strzelał?... — wymówił architekt z niedowierzaniem.

— Czy panu się przypadkiem... nie śniło?

Mazin podniósł rękę.

— Widzi pan tę dziurkę?

— No, wymigał się pan!

— Nie zawsze tak się kończy. Dlatego nie chciałbym po raz drugi kusić losu. Muszę wiedzieć, kto na mnie poluje. Skoro strzał okazał się pudłem, może się powtórzyć.

Kuszniariew zamyślił się. Zupełnie już nie wyglądał na pijanego i Mazin zaczął wątpić, czy on w ogóle był pijany. Siedział przed nim znużony, zwichnięty psychicznie, nieufny i egocentryczny starzec.

— W niczym nie mogę panu pomóc — powtórzył te same słowa, które Igor Nikołajewicz słyszał już rano, tym razem jednak bez wyzwania w głosie, apatycznie.

— Oświadczył pan przecież, że zna mordercę Kaługina.

— Miałem na myśli coś zupełnie innego...

— Walery znów gdzieś przepadł — Sosnowski wszedł

do pokoju przerywając im rozmowę. — Maryna Wiktorowna go nie widziała. Może pan, Aleksieju Fomiczu?

— Ja także nie. — Kuznariew podniósł się z krzesła.

— Zechce pan wybaczyć, muszę już iść. Rozumiem pańską sytuację, ale jestem bezsilny, bezsilny. — Spojrzał ukosem na Borysa. — Trzeba zaczekać na milicję, a nie mędrkować. Na mnie proszę nie liczyć. Jestem stary gaduła. Naplotę, a okazuje się co innego. Niezupenie tak albo zgoła inaczej. Mogę tylko zaszkodzić. Proszę mi łaskawie wybaczyć. Nic nie poradzę.

Odszedł spieszenie do swego pokoju.

— Zdaje się, że popsulem ci szyki? — spytał Borys Michajłowicz

— Broń Boże! Nie zamierzam nic z niego „wyciągać”. Niech powie sam.

— A ma coś do powiedzenia?

— Chciałbym rozgryźć to, czego on sam do końca nie rozgryzł. Ktoś postronny łatwiej zauważy szczegóły, niż ten, komu one spowszedniały, gdyż stale je ma przed oczyma. A on miał długo, latami. Gdzie jednak może być Walery? Po tym strzale zaczynam się niepokoić. Co robi Maryna?

— Jest u siebie. Zupełnie się rozkleiła. Rano trzymała się lepiej. Widocznie dopiero teraz nastąpiła reakcja. Przecież to w gruncie rzeczy młoda dziewczyna i nagle zetknęła się z taką potwornością. Wstąp do niej, a ja zobaczę, co robią inni.

Idąc do pokoju Maryny, Mazin spojrział w okno. Na zewnątrz, z nosem przylepionym do szyby, stał Kola. Igor Nikołajewicz zawrócił i wyszedł na dwór.

— Nie chowaj się, pionierze. Zostałeś ułaskawiony.

To wywarło wrażenie. Malec nie spodziewał się całkowitej amnestii.

— Naprawdę?

— Sądziłeś, że koniec z naszą przyjaźnią, ponieważ wypaplałeś ojcu o tym strzale? Poznałeś kulę od razu?

— Aha.

— Aha! Bardzo ładne słowo. A czemu łazisz za mną? Ten trzask gałązki w lesie to twoja sprawka? Chcesz mnie przeprosić?

— To nie moja wina, Igorze Nikołajewiczu. Chciałem powiedzieć o kuli, ale pan mi kazał iść. Nie zdążyłem.

— Nie bujaj. Skorzystałeś z okazji, żeby się ulotnić, aha?

Kolka spuścił oczy.

— No właśnie. A teraz słuchaj. Okazałeś się pracownikiem niezdyscyplinowanym. Widocznie to u ciebie dziedziczne. Musisz, bratku, walczyć ze swoją naturą. Albo bierz się w garść, albo odstawka. No, decyduj się prędko!

— Biorę się w garść, Igorze Nikołajewiczu.

— Zobaczymy. A przebaczam ci właśnie za to, że powiedziałeś ojcu.

Tym razem Kola nie zrozumiał.

— Wytłumaczyć ci? Otóż myślę, że ostrzegłeś ojca, ponieważ byłeś pewny, że to nie on strzelał.

— No jasne, Igorze Nikołajewiczu — chłopiec był wyraźnie uradowany.

— A gdybyś wiedział, że strzelał ojciec, to jakbyś postąpił?

Radość zniknęła z piegowatej twarzyczki.

— Nie wiem...

— No oczywiście. Nie powinienem zadawać ci takiego pytania. To zbyt skomplikowane... A więc byłeś pewny?

— Pewniuteńki, Igorze Nikołajewiczu! Ojciec by nie spudłował. Jak on strzela, to murowane!

Mazin nie spodziewał się tak oryginalnego argumentu.

— Kula przeszła blisko.

Chłopiec energicznie zamachał rękami.

— Co też pan! Przecież trafiła w prawą rękę. To od serca daleko.

— Nie tak bardzo, Kola. Ale dajmy temu spokój. Ojciec mówił ci, że zamienił kulę?

— Zamienił? — Twarz chłopca pokryła się rumieńcem. — Żeby pan się nie dowiedział, że strzelano z jego karabinu, tak?

— Widocznie.

— I pan to zauważył, tak? — Kola stał przed Mazinem czerwony jak burak. Najwyraźniej wstyd mu było, że ojciec tak postąpił i że mu się to w dodatku nie udało. — On przecież nie wiedział, kim pan jest. Myśli; że lekarzem. Ja mu nic nie mówiłem. Dałem przecież słowo...

— Lekarze też nie takie gapy. A więc ojciec uważa, że nas wykiwał?

— Strasznie się boi, żeby na niego nie zwalili. I tak w pracy nieźle obrywa. A o tej kuli powiedziałem naumyślnie. Ojciec może się nam teraz przydać. Już on tego drania wyśle-dzi, spokojna głowa.

— Nam? — roześmiał się Mazin, ale chłopiec miał minę nadąsaną.

— A co w tym złego?

— Możesz ojca narazić na kulkę — wyjaśnił Igor Nikołajewicz, w głębi duszy wcale nie przekonany czy strażnik nie ma powiązań z tą sprawą. — Mnie, jak wiesz, postrzelili.

— Ojca nie postrzelą — odparł Kola z niezbyt pochlebną dla Mazina dumą.



— Miejmy nadzieję. A ty marzysz o jakimś zadaniu, tak? No to wejdź do domu i posiedź sobie przy stole. Zaczekaj na mnie. I miej oczy otwarte. Tyle na razie.

Mazin wyciągnął rękę. Na dłoń spadły mu dwa płatki śniegu, drobne, wyraziste jak na rysunku w podręcznikach szkolnych.

### 3. ŚNIEG

„Posiedź przy stole” — powiedział Mazin i nagle uświadomił sobie, że wydaje dyspozycje w cudzym domu, że ten dom, który nic się nie zmienił w ciągu nocy, jest mimo to zupełnie inny, stał się miejscem zbrodni i należy się w nim zachowywać inaczej niż wczorajszego wieczoru. Znał to uczucie. Nieraz wypadło mu wchodzić do mieszkań, w których rozegrała się tragedia, badać je, jak lekarz bada chorego, starając się dojrzeć wszystko, by zachować w pamięci jedynie to co konieczne. Bez obraźliwej ciekawości oglądał portrety i fotografie, szafy z ubraniem i biurka, w których spoczywały drogie komuś listy oraz pożółkłe dokumenty. Potrafił to czynić nie sprawiając bólu, umiejętnie i delikatnie dotykając krwawiących ran, nigdy nie zapominając o tym, że świat składa się z ludzi, a nie z poszkodowanych i przestępców.

Ale nawet ludzie obezwładnieni rozpaczą lub strachem tracali normalną wrażliwość, a ich domy, siedziby, ulegając jakiemuś immunitetowi psychologicznemu zamieniały się po prostu w cztery ściany i dach nad głową, wyzbyte cech

niepowtarzalnej indywidualności, intymności. Nieszczęście jak gdyby obnażało złudę, ulotność świata, jaki ludzie tak chętnie, kosztem wielu zabiegów tworzą wokół siebie. Przychodzi katastrofa, okrutna rzeczywistość wdziera się w ów świat, który jeszcze przed chwilą wydawał się jedyny, niepodważalny, stanowiący wyłączną ich własność — i oto rozpada się na poszczególne części, każda odzyskuje pierwotne proste przeznaczenie: łóżko staje się zwyczajnym meblem, a fotografie arkusikiem papieru, przechowującym nie fragment życia, lecz jego optyczne odbicie.

Tą okrutną rzeczywistością, odzierającą wszystko do nagich znaczeń, wionęło teraz na Mazina z każdego kąta willi, która, gdy biegli z Borysem podczas nocnej ulewy, wydawała mu się okrętem, jak na pokładach jaśniały rzędy okien rozpraszając mrok burzy. Ale światło zgasło, okręt na mieliźnie, kapitan z ładunkiem loftek w piersi leży na mostku kapitańskim, obcy ludzie snują się po domu tu i tam, wyglądając pogody, aby jak najprędzej spakować walizki, plecaki i opuścić na zawsze ten dom wczoraj jeszcze gwarny i gościnny, a dziś tak odpychający.

„Pewnie Maryna sprzeda willę” — pomyślał Igor Nikołajewicz zmierzając do jej pokoju i poczuł żal. Zapukał licząc się z tym, że nie od razu odpowie. Może położyła się i zdrzemnęła. Miała do tego prawo. Natychmiast jednak usłyszał: „Proszę” i wszedł. Maryna siedziała prawie w tej samej pozycji, co rano, tylko już w rękach nie miała robótki.

— To pan, Igorze Nikołajewiczu?

— Tak.

— Z pewnością jest pan zgorszony, że siedzę tutaj, a nie na górze?

— Nie może pani tam iść. Borys Michajłowicz zamknął mansardę do przyjazdu milicji.

— Nie, ja powinnam tam być. Wiem, że powinnam.

Ale nie mogę. I w to, co się stało, też nie mogę uwierzyć. Nigdy nie spotkało mnie nic strasznego. A teraz wiem, że takie rzeczy naprawdę się zdarzają. Nie w kinie i nie innym ludziom. Mnie... i trzeba to przeżyć...

Bez makijażu i zwykłej dbałości o swój wygląd robiła wrażenie bardzo młodej i bezradnej, przypominała świeżo upieczoną maturzystkę, która oblała egzamin wstępny na wyższą uczelnię.

— Trzeba. Człowiek dużo potrafi znieść. Wyrabia się w nim odporność psychiczna.

— Skąd? W mojej rodzinie nikt nie umierał. Nawet babcia i dziadek żyją. Wie pan, co mnie najbardziej przeraża? Ja nie jego żałuję, żal mi siebie.

— Proszę mi wybaczyć niedyskrecję, ale czy pani kochała Kaługina?

— Po co panu ta wiadomość? — odparła z uniesieniem.

— Pewno nie, skoro tak się zachowuję.

Mazin milczał.

— Uważa mnie pan za osobę niegodziwą?

— Dlaczego? Starła się pani odpowiedzieć uczciwie.

Gdzie pani poznała swego męża?

— Na wystawie jego obrazów. Odbyło się spotkanie. Zadawałam dużo pytań, jego prace wydały mi się staroświeckie. Wyjaśniał szczegółowo, dał mi swój numer telefonu. Z początku się bałam. Dziewczęta kpiły ze mnie, nazywały tchórzem. Więc na złość im postanowiłam zadzwonić.

— Jego pierwsza żona już nie żyła?

— Tak. Sądzi pan, że złapałam go na męża?

— A pani jak sądzi?

— Nigdy tak nie myślałam. Nie, To znacznie prostsze.

Teraz większość ludzi stara się żyć prosto — wyjaśniła na wpół z przekonaniem, na wpół z goryczą.

— Prosto? Ile pani wydawała miesięcznie?

— Nie, nie zrozumiał mnie pan. Nie chodzi o pieniądze...

Prosto patrzeć na rzeczy, nic nie komplikować. Jeśli człowiek dużo myśli, nie staje się przez to szczęśliwszy, prawda?

— A pani była szczęśliwa?

— Wszyscy uważali, że wygrałam los na loterii.

— Mieszkanie w Moskwie, ta willa, samochód, wyjazdy zagranicę?

— No tak. Ale ja tego nie wymagałam. On sam...

— Jakiz więc ostatecznie był pani stosunek do Kaługina?

Maryna odwróciła głowę.

— Doceniałam jego troskliwość.

„A co pani dała mu w zamian?” — miał na końcu języka Mazin, lecz zapytał w innej formie:

— A co on w pani cenił?

— Moją młodość — odpowiedziała sucho. — Dbał o mnie. Pierwsza żona była od niego starsza i ciągle chorowała.

Mazin nie zareagował na te słowa. Wyczuwał w nich pewną celowość. Nie należał zresztą do moralistów. Nie po to przyszedł do tego pokoju. Interesowało go co innego — czy siedząca przed nim kobieta jest winna śmierci swego męża.

— Czy Michał Michajłowicz opowiadał pani o swej przeszłości?

— Nie lubił mówić o przeszłości. „Co ci z tego przyjdzie?

— pytał. — Ty wówczas raczkowałaś pod stołem. Zresztą, takie podkreślanie różnicy wieku nie jest dla mnie korzystne”. Zbywał mnie żartem i koniec.

— Coś jednak pani wiedziała?

— To, co wszyscy. Urodził się na wsi. Był na wojnie, został ranny, zdemobilizowany, studiował w Moskwie. Potem zdobył rozgłos.

— Skąd Kaługin pochodził?

— Z Białorusi.

— Miał jakichś krewnych?

— Nie, zginęli w czasie wojny.

— Kiedy ożenił się po raz pierwszy?

— Zaraz po wojnie. Ona była z Kazania. Wdowa. Mąż poległ na froncie.

— Michał Michajłowicz mieszkał w Kazaniu?

— Jeździł tam w swoich sprawach... nie wiem. A teraz ja zostałam wdową. Śmieszne, prawda? Dziś przecież nie ma wdów.

Mazin siedział obok Maryny. „Sypialnia raczej ciasnawa”. Rzuciło się w oczy, że w stosunku do rozmiarów całej willi, pokoje były niewielkie. Wszystkie, z wyjątkiem salonu na dole. Było ich natomiast dużo.

— Michał Michajłowicz sam projektował ten dom? — spytał zbacając z tematu, bowiem jego zainteresowanie przeszłością Kaługina nie powinno wydawać się zbyt natrętne.

— Tak, wszystko tu jest zrobione zgodnie z jego życzeniem.

— A jaka jest w zasadzie koncepcja tego domu? Pani rozumie, o co mi chodzi? Jeżeli człowiek z możliwościami Michała Michajłowicza i z jego indywidualnością bierze się do takiej budowy, to nie może tu być nic przypadkowego, musi istnieć koncepcja całości. Jakie miało być przeznaczenie tego domu? Spokojne miejsce do pracy? Wypoczynku? Odosobnienia?

— O nie. Tylko nie odosobnienia. On nie znosił samotności.

Ludzie byli mu stale potrzebni. Znajomi, nieznajomi. Lubił przyjmować gości, lubił, gdy zostawali na noc, przesiadywali do późna.

— Pani to nie męczyło?

— Czasami. Ale on rządził w domu. Kiedyś powiedziała coś na ten temat, a on wybuchnął: „Wydaję moje pieniądze!” Przestraszyłam się, że będzie mnie uważał za sknerę, która się dobrała do jego zarobków.

„Podkreśla swoją bezinteresowność”.

— Kaługin miał szeroki gest?

— Niestychanie! Nie uwierzy pan, że my... że on nie miał żadnych oszczędności. Wypadnie nam od razu wszystko sprzedać. I ten hotel...

Hotel! Otóż to! Dom, w którym mieszkać będzie dużo ludzi obcych — taka była koncepcja. Lub prawie obcych, przypadkowych. Kaługin nie miał rodziny, i raczej wątpliwe, czy znalazłoby się tylu prawdziwych przyjaciół, aby zapełnić te wszystkie pokoje.

Mazin rozejrzał się wokół. Szeroki tapczan, toaletka, szafa i bardzo niewiele wolnego miejsca... Na ścianie obraz czy też szkic, na pierwszy rzut oka trudno orzec, czy to nowoczesny rozluźniony styl, czy coś nie dokończonego, nie dopracowanego. Przygnębiające, pochmurne tło, niemal takie, jak w tej chwili za oknem, sylwety gór, nastroszony las — wszystko z grubsza zaznaczone, w niewyraźnej szarzielonej tonacji — i naraz przykuwający wzrok jaskrawy punkt, plama, nie, nie plama, lecz smuga, czerwone maźnięcie pędzlem w poprzek pochmurnego nieba, niby ślad wzlatającej rakiety, lub na odwrót, mknącej ku Ziemi, wchodzącej w atmosferę. Może meteoryt? Nie, na obrazie jest dzień i ta płomienna grudka nie przypomina ciała niebieskiego.

— Trochę za ponure do sypialni.

— Okropne. Bynajmniej nie najlepsze z tego, co namalował. Mówiłam, że ten koloryt mnie przytłacza. Wówczas wziął pędzel i maznął tę czerwoną krechę. Spytałam, co to jest. Wzruszył ramionami: „Tak się lepiej ogląda”.

Rzeczywiście był to bezkształtny sztrych. Ale czy przypadkowy?

— Michał Michajłowicz malował w plenerze?

— Podobały mu się okolice Czerwonej Rzeczki.

„Wiedział, że tam znajduje się samolot, który się rozbił, spłonął” — zastanawiał Się Mazin patrząc na czerwoną krechę, ślad płomieni przecinający horyzont.

— W jakiej broni służył pani mąż?

— W piechocie.

Ta odpowiedź podziałała na Mazina otrzeźwiająco. Gdzież związek między samolotem, zestrzelonym ćwierć wieku temu, a zabójstwem Kaługina? Nie był lotnikiem i nie mógł znajdować się w samolocie. Mógł jednak być świadkiem jego katastrofy. Mógł walczyć w górach, bronić przełęczy. Pewnego dnia nad głowami żołnierzy rozgorzała walka powietrzna. Kaługin widział, jak trafiona maszyna spada na ziemię. Widok ten wrył mu się w pamięć, wrócił po latach, znalazł odbicie na płótnie. I to wszystko? Prawdopodobnie...

— Walczył na Kaukazie?

— Chyba nie.

— Łączyły go może z Dagezanem jakieś wspomnienia, przeszłość?

— Nie. Wybrał to miejsce, ponieważ urzekła go przyroda. Tak mówił. Ja się wtedy uczyłam.

— Gdzie?

— W szkole cyrkowej.



— Doprawdy? Z powołania?

Zgaszona twarz Maryny rozbłysła.

— Cyrku nie można nie lubić.

Była w tej kobiecie trudna do pojęcia sprzeczność — cyrk, sport, wszystko to wymaga silnej woli, wytrwałości, charakteru, i z drugiej strony dążenie, aby żyć „prosto”, z prądem, słabość.

— Więc Michał Michajłowicz nie służył na Kaukazie? — wyrwało mu się wbrew logice.

— Mogę panu powiedzieć dokładnie. Zapisałam ważniejsze daty z jego życia. Żeby wiedzieć, pamiętać, żeby jakoś zrozumieć jego przeszłość, zbliżyć się do niej, nie być obcym człowiekiem. Ściągnęłam mu jego autobiografię, a raczej — kronikę. Przechowywał u siebie taki arkusik. Rodzaj dokumentu. Przepisałam wszystko.

„Starala się być dobrą żoną”.

Wyjęła z torebki notes. Tekst interesujący Mazina znajdował się na kartce ukrytej pod okładką. Widocznie nie chciała, aby mąż zauważył te zapiski. Charakter pisma był drobny, lecz wyraźny. Skróty również czytelne. U góry był napis: „Wszystko o M. M.” Nie przywykła, myśląc o mężu, nazywać go po imieniu. Dalej następowały cyfry i skróty wyrazów.

„Ur. 21. 8. 22 w Kuleszowce”.

„Rozp. szk. — 29 r.”.

„Ukończ, szk. śr. — 39 r.”.

„40 r. — powoł. do RChACz”.

Była to nazwa z owych lat — RChACz — Robotniczo-chłopska Armia Czerwona. Maryna sumiennie skopiowała zapis.

„Lipiec 41 — ranny na froncie”.

„Lipiec-wrzesień 41 — szpit. Woroneż”.

„Paźdz. 41 — marzec 42 — szk. wojsk. Aszchabad”.

„Maj 42 — ranny na froncie”.

„Maj-sierpień 42 -7- szpit. Arzamas. Niezd. do służb. wojsk. Zdemobil”.

„44 r. — Akad. Szt. Moskwa”.

Dalsze zapiski mówiły prawie wyłącznie o sukcesach.

„Pierw. Wyst.”, „Nagrodz.”, „Nad. tyt.” itp.

Osobistych było niewiele:

„14 wrzes. 46 — ożeniłem się z K.F. (d. ur. Waler. — 14.10.41)”.

Mazin jeszcze raz przejrzał daty wojenne.

Kaługin, jak widać, walczył od pierwszych dni wojny na granicy i już po miesiącu, a może i wcześniej (dokładnej daty nie było), został ranny, leżał w szpitalu w Woroneżu, a więc dość daleko od Kaukazu, potem przeniesiono go do szkoły wojskowej w Azji Środkowej. Potem znów front, znów ranny i też nie na Kaukazie, ponieważ w tym czasie Niemcy jeszcze tam nie dotarli. Szpital na Powożu. Zdemobilizowany. Studia kontynuował w Moskwie. W czterdziestym pierwszym mógł co prawda jechać do Azji Środkowej przez Baku i Krasnowodsk. Ale cóż z tego? Linia kolejowa prowadzi przez równinę daleko od Dagezanu.

Igor Nikołajewicz położył kartkę na stoliku i stwierdził nagle, że trudno mu oddychać. Nos miał zatkany. „Czyżby do tych wszystkich niespodzianek dołączył się jeszcze katar? — pomyślał zmartwiony. — Całkiem nie w porę, chociaż nic dziwnego przy takiej pogodzie”. Wyjął chusteczkę do nosa, przy czym uderzył go jakiś niezwykły zapach. Na białej tkaninie widniały rozmazane plamy, jakby nią wycierano farbę olejną. I co ważniejsze — chustka nie należała do niego.

— To chustka Michała Michajłowicza — powiedziała Maryna.

Mazinowi zrobiło się nieprzyjemnie.

— Jest pani pewna? Nie rozumiem, skąd się wzięła u mnie.

— Przywiozłam dwa tuziny takich chustek. On uznawał tylko białe, ale obchodził się z nimi po barbarzyńsku. Jeżeli nie miał pod ręką nic odpowiedniego, wycierał farby chusteczką.

— Teraz rozumiem. Pewnie wsunąłem ją odruchowo do kieszeni, gdy byłem w pracowni.

— Prawdopodobnie. Poniewierały się stale na tapczanie lub w fotelu.

Zwracanie chusteczki byłoby w tej chwili nietaktem. Schował więc ją do kieszeni czując pod dotykiem, że jest umazana czymś tłustym, nie tylko zaschniętą farbą.

— O co jeszcze chciałby mnie pan zapytać?

Przyszła kolej na najtrudniejsze pytanie — o Walerego.

— Gdzie może być teraz Walery?

Maryna mocniej podkurczyła nogi.

— Pewnie zaszył się w domku nad stawem. — Po czym dodała myśląc o Kaługinie: — Opuściliśmy go oboje. Tylko Aleksiej Fomicz pozostał mu wierny. A my... Ludziom należącym do różnych pokoleń trudno się porozumieć. Czułam to od dawna, zdawało mi się jednak, że my, młodzi, jesteśmy lepsi... Nie. Jesteśmy bardziej tchórzliwi. Uciekamy gdziekolwiek, do chaty nad jeziorem albo w głąb siebie. A Kusznariew pozostał. Czuję się winna wobec niego, wydawał mi się zbyt uczciwy u nas, w ogóle zbyt uczciwy w życiu. Śmieszna rzecz, dotychczas sądziłam, że warto żyć, póki się coś znaczy. A cóż ja znaczę? — Widocznie to samobiczowanie sprawiało jej ulgę, gdyż podniecała się przejawiając własne błędy. —

Aleksiej Fomicz nie pasował do naszego domu. Nie przylegał do całości. Niechlujny, stale czymś zaaferowany. Raził mnie widok jego połatanych butów na dywanie. I na pewno byłam zazdrosna. Miał jakieś prawa do Michała Michajłowicza czy nie miał...

Mazin nadstawił uszu.

— Prawa?

— Moralne, oczywiście. Stara przyjaźń. Przychodził, kiedy mu się podobało, dużo jadł. Chciwie, nieestetycznie, wycierał talerze chlebem. Jakby był wygłodzony.

— Pani pochodzi z zamożnej rodziny?

— Tak. Zawsze się nam dobrze powodziło. Byłam jedy-naczką. Niedawno temu jakaś dziennikarka napisała, że jedynacy są osobnikami nie pełnowartościowymi, wychowanymi anormalnie. To już chyba przesada, dziś niemal w każdej rodzinie jest tylko jedno dziecko, jakże więc mogą wszystkie być nie pełnowartościowe? Coś jednak w tym jest. Gdyby pan widział moją mamę. Ona by mi nie pozwoliła wycierać talerza chlebem.

— Kim są pani rodzice?

— Mama jest świetną krawcową, a tatko budowniczym. Uciekłam spod ich skrzydeł, pilno mi było zacząć samodzielne życie.

— I nie podobali się pani nieestetycznie wyglądający ludzie w pani nowym domu?

Maryna nie zauważyła sarkazmu. Choć mówiła chętnie, na pozór szczerze, był to przede wszystkim dialog z sobą samą, odpowiadała na jakieś własne kwestie, o których przedtem nie myślała i które wyłoniły się niespodziewanie. Nie myślała... Czuła jednak, może podświadomie, bowiem gdyby nie czuła, nie potrafiłaby mówić w ten sposób.

— Wie pan, co uświadomiłam sobie dzisiejszej nocy?

Kiedy wszystko jest w porządku, a u mnie było bardziej niż „w porządku”, człowiek ma fałszywe pojęcie o życiu. Obowiążują rzeczy mało znaczące, tworzy się cały świat drobiazgów, które traktuje się poważnie. I nie widzi się najważniejszego.

— Co pani uważa za najważniejsze? — spytał Mazin z zaciekawieniem, dostrzegając w Marynie jakiś nowy rys, przezierający przez naiwny cynizm i bezmyślny, egoistyczny fatalizm.

— Widział pan przecież, zapisywałam daty, żeby kupować kwiaty w dniu urodzin, a jednak nie stałam się człowiekiem bliskim, nie umiałam. I to nieprawda, że go nie kochałam. Może mi pan wierzyć lub nie — to nie było przypadkowe morderstwo. On coś przewidywał, był niespokojny, ale nawet do głowy mu nie przyszło, żeby mi się zwierzyć. Byłam dla niego kimś obcym. Puszczam wodze fantazji, tak?

— Dlaczego powiedziała pani Waleremu, że ojciec zginął na miejscu?

Odpowiedź napraszała się sama. Walery był jego synem, choć nie rodzonym, to jednak miał prawo znać prawdę. Manewr był obliczony na zabójcę, którym wszakże nie mógł być Walery. Tak też Maryna odpowiedziała, ale przyszło jej to z trudem. I równie trudno było pojąć, czy jest to stwierdzenie, czy kontryptanie:

— Ale on, on przecież nie mógł zamordować.

— Słusznie. Z punktu widzenia zdrowego rozsądku, człowieka normalnego, nie zdemoralizowanego. Jednakże nawet człowiek normalny, przy najbardziej zdrowych zmysłach, może ulec nagłej, nie uzasadnionej rozterce, stracić poczucie rzeczywistości...

— Co pan przez to rozumie?

Uniosła się na tapczanie, szczerzej otulając się miękkim szalem.

— ... zwłaszcza gdy chodzi o kogoś bliskiego, kogo nie chce się narażać na niebezpieczeństwo.

— Pan to... o mnie... i o Walerym?

— Nie tylko. Raczej ogólnie. — To już było wszystko, co Mazin zamierzał powiedzieć. Na razie nie należało nic dodawać. — Wspomniała pani, że Michał Michajłowicz był przywiązany do Kuznariewa...

— Tak, tak. — Maryna ucieszyła się z obrotu rozmowy. Widocznie bała się nawet zastanowić, głębiej zanalizować tamte słowa Mazina. — Ale ja tego zupełnie nie rozumiałam. Wydawał mi się starym cierpiętnikiem, natrętnym, nie pasującym... Drażniło mnie jego prawo do ciągłej dbałości Michała Michajłowicza.

— Znow to określenie — prawo.

— Jest niewłaściwe. Ale dziwna rzecz. Kuznariew, to chyba logiczne, powinien był mu odpłacać wdzięcznością. Michał Michajłowicz tak dużo mu pomagał...

— A było odwrotnie? Kaługinowi ciążyła ta przyjaźń?

— Ależ nie. Kiedyś nie wytrzymałam i powiedziałam mu, że Aleksiej Fomicz jest antypatyczny. Och, jak na mnie spojrział... Gdy stawał się surowy, szorstki, czułam się bezradna. Zwykle bywał serdeczny, czuły, czasem jednak zdradzał dziwny upór, apodyktyczność. Nie znosił sprzeciwów... Tym razem też krzyknął: „Nie waż się tak mówić!” Zmieszałam się. Zrobiło mu się przykro, usiłował mi tłumaczyć: „Jesteś zbyt młoda. Nie było cię na świecie w czasach, w których my żyliśmy, a nie były to czasy najłatwiejsze. Ludzie przechodzili ciężkie próby — nieszczęście było nieszczęściem, a życie życiem. Wtedy kęs chleba oznaczał życie, a nie kolacja w «Aragwi». To trzeba zrozumieć. I może ono zadać cios

niespodziewany. Aleksieja ugodziło śmiertelnie”.

— Spotkała go jakaś wielka krzywda, tak?

— Tak. Michał Michajłowicz mi opowiadał. Kuszarniewa uważano za wielki samorodny talent. Był powszechnie lubiany, wróżono mu świetną przyszłość. Chciał budować pałace, w rodzaju Pałacu Rad, który miał stanąć na miejscu basenu pływackiego. Wówczas szczególnie liczono na młodych, windowano ich, pisano dużo w gazetach. Znakomity projekt radzieckiego architekta! Zresztą, co tu opowiadać, pan wie lepiej. I nagle wszystko runęło. Kuszarniew kochał pewną kobietę... to była wielka miłość. Któregoś dnia znaleziono ją zamordowaną. Poszlaki wskazywały na niego. Był ostatnią osobą, z którą widziano ją tego wieczoru. Był zazdrosny, porywczy... Aresztowano go i oskarżono o zbrodnię. Odsiedział prawie cały wyrok. Pod sam koniec, już w czasie wojny, milicja schwytała w Moskwie bandytów, którzy rabowali mieszkania ewakuowanych. I wtedy wyszło na jaw, że tamta kobieta również padła ich ofiarą, a Kuszarniew był niewinny.

Igor Nikołajewicz zacisnął pięść, aż paznokcie wpiły mu się w ciało. Omyłka sądowa... Takie tragedie jeszcze się zdarzają. Z pewnością mieszczą się w ramach teorii prawdopodobieństwa. Podobnie jak katastrofy lotnicze, przedwczesna śmierć, niewytłumaczalna wrogość między ludźmi bliskimi, one również wdzierają się w życie nagle i bezlitośnie, niby zaraza do miast średniowiecznych, a my do dziś nie potrafimy im zapobiec. Nie wolno jednak godzić się z tą przeklętą nieuchronnością, mimo że ją potwierdza bezduszna statystyka. I jak zwykle w podobnych przypadkach, Mazin doznał ostrego poczucia winy, własnej odpowiedzialności.

— Aleksiej Fomicz odzyskał wolność, ale był już zupełnym rozbitkiem. On przecież tak wierzył w życie! Załamała go również okrutna śmierć ukochanej kobiety. Najpierw wyjechał w rodzinne strony, prowadził pustelniczny żywot, z wolna przychodził do siebie, potem zjawił się w Moskwie, ale już nie potrafił stworzyć nic godnego uwagi. Nadeszły inne czasy, inne wymagania. On ze swoimi pałacami był już archaiczny. Zaczął pić... Michał Michajłowicz starał się podtrzymać go na duchu. Zrozumiałam to dopiero teraz. Wtedy...

— Kiedy oni się zaprzyjaźnili?

— Znali się od bardzo dawna. Ale przez wiele lat Michał nic o nim nie słyszał. Walery pamięta, że Aleksiej Fomicz zjawił się niespodziewanie. Przeczytał w gazecie o wystawie... Nie, chyba to było inaczej. Nie pamiętam dokładnie. Nieważne, zresztą.

„Nieważne?” Dla Maryny. Jednakże Mazinowi, który przywykł myśleć profesjonalnie, to i owo w jej opowiadaniu wydało się dziwne.

— To by znaczyło, że odnowili znajomość dziesięć lub piętnaście lat temu?

— Najwyżej. W przeciwnym razie Walery nie mógłby tego pamiętać.

„Zaraz, a co mówił Kuszniariew?” «Po prostu, gdy był jeszcze nie znanym malarzem, spodobały mi się jego obrazy i powiedziałem mu o tym». I słowa te odegrały ważną rolę! Kuszniariew wsparł moralnie Kaługina, gdy tamten takiego wsparcia potrzebował, bardzo potrzebował, jeśli pamięć o tym pozostała do końca życia, nie zatarły jej lata sukcesów. Niemniej, wytracony z normalnego życia, znękany, zapomniany Kuszniariew nie mógł odegrać takiej roli w życiu Kaługina dziesięć lub piętnaście lat temu, czyli w okresie,



gdy zdobył on już sławę i mocno stał na nogach, czyżby więc chodziło o wcześniejsze lata? Tak, architekt wspomniał nawet «w dawno minionych czasach»? Ale kiedy? Został aresztowany przed wojną...”

— Kiedy aresztowano Kusznariewa?

— On często powtarza, że żył na świecie dwadzieścia sześć lat. A urodził się w roku dziewięćset dziewiątym.

„Dziewięć plus dwadzieścia sześć równa się trzydzieści pięć. Jeżeli Maryna nic nie poplątała, architekt trafił do więzienia w roku trzydziestym piątym, a zatem nie mógł przebywać tam odegrać żadnej poważniejszej roli w życiu Kaługina. A przed trzydziestym piątym? Kaługin miał wówczas... był młodziutkim chłopcem, uczniakiem. Prosta arytmetyka! Kusznariew skłamał? Po co? Chorobliwa autosugestia? Mitomania człowieka, który przeżył krach własnych nadziei? Ale jak powiązać tę legendę z powątpiewaniem w szczerłość Kaługina?

Gdy wyraziłem przypuszczenie, że Kaługin się go obawiał, nie zaprzeczył, mruknął nawet: «Głęboko pan sięgnął». Może to była ironia? Jeżeli zapiski mówią prawdę, artysta nie miał żadnych podstaw, aby obawiać się Kusznariewa. Absolutnie żadnych. Piękny życiorys, prosty i czysty — szkoła, wojsko, front, studia — wszystko po krzywej rosnącej. Życie rodzinne też nie budzi wątpliwości — wyraźne przywiązanie do pierwszej żony, dbałość o jej syna, potem drugie małżeństwo, mimo jej różnicy wieku też po ludzku rozumiałe. Nic, co by się kłóciło z kodeksem karnym lub moralnym. I mimo braku jakichkolwiek widomych podstaw Kaługin czegoś się obawiał. Wszelako, jeśli dobrze zrozumiałem, Kaługin był niejako zmuszony traktować Kusznariewa przyjaźnie i z szacunkiem. Myśl o tym, że stosunki między nimi nie układają

się prosto, że coś je komplikuje, nie dawała Kuszniariewowi spokoju, zatruwała mu życie. Inaczej nie wyraziłby się tak pochopnie przy obcych, zwłaszcza w takim dniu. Dlaczego Kaługin nie powinien był się obawiać? Dlatego, że Kuszniariew był mu oddany, czy dlatego, że nie było podstaw do obaw i bez potrzeby je wyolbrzymiono? No, ale znów wybiegam za daleko...”

— Zmęczyłem panią tyloma pytaniami. Proszę mi wybaczyć.

Mazin wstał. Zauważył jednak, że Maryna chce jeszcze coś powiedzieć, może zapytać. Patrzył na nią oczekująco.

— Igorze Nikołajewiczu — zdecydowała się wreszcie — niezupełnie zrozumiałam, co pan powiedział o Walerym. Mówił pan niejasno, ale łączył pan z nim i moją osobę.

— To panią zaniepokoiło?

— Tak. Jestem pewna, święcie przekonana, że Walery... Nawet mi to przez usta nie przejdzie. On nie mógł. On nie jest taki. I między nami nic absolutnie nie było. Chociaż to narwaniec i lubi się wygłupiać.

— W jakim sensie narwaniec?

— No, czasem robił głupstwa. Potrafił na przejażdżce zagrozić mi koniem drogę i oświadczyć: „Żądam okupu. Jak mnie nie pocałujesz, nie przepuszczę”.

— Te... głupstwa nie znajdowały oddźwięku?

— Cóż znowu! Nigdy. Myślę, że po prostu żartował.

— A Michał Michajłowicz wiedział o takich żartach?

— Nie. Byłoby mu przykro.

„Tak. Tego typu żarty nie sprawiają radości. Ona to rozumiała. Jednakże Kaługin mógł o nich wiedzieć. Wiedział przecież Demianycz”.

— Dziękuję pani za szczerość. Proszę się uspokoić. Nie zamierzam robić z tego wielkich rzeczy.

„Wszakże to tylko jedna z roboczych hipotez” — dodał w duchu.

Później rozmyślał ze zdumieniem, że czas w ciągu tych trzech dni płynął osobliwym dwoistym nurtem. Wypadki rozwijały się błyskawicznie, w odstępach parogodzinnych: śmierć Kaługina, powtórny zamach na niego, strzał nad jeziorem — wszystko to odbyło się w ciągu niespełna jednej doby i zdawałoby się, wymagało równie szybkich reakcji, energicznego działania. Tymczasem Mazin odbierał te wydarzenia jak gdyby rozciągnięte w czasie o wiele dłuższym, nie mógł się pozbyć uczucia, że znajduje się w Dagezanie od dawien dawna, a nie dopiero od wczoraj jako gość Sosnowskiego. To uczucie go denerwowało, budziło zwątpienie w słuszność własnych poczynań.

„Zachowuję się jak podstarzały, nieruchawy urzędas, którego nawet kula pod pachą nie jest w stanie rozruszać, wytrącić z zakorzonego nawyku hołdowania maksymie: «spiesz się powoli». A sytuacja wymaga niezwłocznych decyzji. Niewymyślny kruczek Borysa wydał mi się zbyt naiwny, tymczasem morderca złapał się na to i byłby wpadł z kretelem, gdybym ja się nie spóźnił. I oto zwlekam dalej, urządzam długie ekskursy historyczne, gdy przede wszystkim należy ustalić, skąd grozi niebezpieczeństwo i podjąć odpowiednie kroki, by nikt więcej nie ucierpiał”.

Z tą myślą Mazin wszedł do pokoju, w którym, zdążywszy już opanować podstawy dyscypliny, cierpliwie czekał na niego Kola.

- No, jak tam warta?
- Był Walery.
- Nareszcie! Wędrujący napastnik. Poszedł do siebie?
- Nie. Najpierw do Aleksieja Fomicza, potem o pana się dopytywał. Powiedziałem, gdzie pan jest. Spacerował po

pokoju, spacerował, poszedł na górę, tam! — Chłopiec podniósł palec wskazując na mansardę. — Wrócił zaraz i znów pytał o pana. Dowiedział się, że pana jeszcze nie ma, wypił szklaneczkę wina i wyszedł.

— Nie wiesz, dokąd?

— Nie... Pan przecież kazał mi siedzieć. „Ciekawe, czego chciał ode mnie Walery?”

— No dobrze. Idź teraz trochę pobiegać.

Igor Nikołajewicz pchnął z lekka chłopca ku drzwiom i sam wyszedł za nim. Puszyste płatki padały z góry strojąc dookólne świerki. Mazin mimo woli poszukał wzrokiem ozdób na gałęziach, tak noworocznie wyglądał Dagezan w tej jeszcze raz zmienionej dekoracji. Ze śnieżystego roju nad drogą wynurzył się jeździec. W dziwnym słomianym kapeluszu z mokrym, oklapniętym rondem Demianycz przypominał Sanszo Pansę, który porzucił swego zwariowanego pana.

— Moje uszanowanie, Igorze Nikołajewiczu! — Pasiecznik wychylił się z siodła. — Słysząc co nowego?

— Wszystko po staremu. Nic nie wiadomo. — Mazin nie kwapił się z informacją o strzale.

— Nic, powiada pan? To i chwała Bogu. — Pasiecznik ubódł osła obcasami. — Może wpadnie pan na herbatkę? Zaraz nastawię.

— Dziękuję. Niech pan z kolei zajrzy do nas.

— Święta racja, doktorze — usłyszał Mazin za sobą.

Odprowadzał przez chwilę spojrzeniem pasiecznika jadącego truchtem na swoim osle po przysypanej śniegiem drodze. Głos należał do Walerego. Niepodobna pomylić tej ironicznej, agresywnej intonacji.

— Cóż, jeśli wolno zapytać, sprawiło, że znalazłem uznania w oczach pana? — spytał odwracając się powoli.

— Pańska ostrożność. Obawia się pan, że on dosypie trucizny do herbaty? Hę? Krasnodarska herbatka ekstra z domieszką trucizny. Ładne?

— Ciekawe... Ale czemu?

— Diabli go wiedzą.

— Nie wie pan? Skądże więc taka myśl?

— Po prostu, żeby być: myślę, więc jestem. No i chciało-  
by się pobyc dłużej. Mamy jeszcze w domu to i owo do zała-  
twienia.

Mazin popatrzył na niego uważnie.

— Co panu nasunęło takie ponure przypuszczenie?

Walery parsknął z irytacją, nie odpowiadając na pytanie:

— Czego pan tak wlepia we mnie oczy? Raz ledwie mnie  
pan spostrzega, a innym razem ogląda jak przez teleskop.

— Jest pan bardzo przystojnym chłopcem, Walery.  
Świetna, wysportowana figura. Twarz pełna wyrazu — męski  
kształt brody, ładny nos.

— Mocno zobowiązany...

— Chwileczkę, jeszcze nie skończyłem. Toteż musi dzi-  
wić obserwatora ciągły grymas niezadowolenia na tej męskiej  
twarzy, niczym u nadąsanej baby. I ta pańska namiętność do  
wierszyków...

— Dosyć, doktorze. Też mi psychoanalitik! Owszem, lu-  
bię wierszyki. Chce pan posłuchać? „Pierwsza kula raniła  
konia — Walery zrobił pauzę. — A druga wybiła szybę w  
wiadomym panu kurniku”.

Mazin trafnie opisał powierzchowność młodego malarza,  
którego przyjemną twarz szpecił zastygły grymas niezadowo-  
lenia. Poza tym wyglądał w tej chwili niechlujnie — włosy  
miał potargane, policzki zarośnięte, cerę z jakimś ciemnym  
niezdrowym nalotem, jakby zapomniał się umyć.

— Czy dlatego pan mnie szukał, żeby mi to oznajmić?  
— Nie. Żeby zapytać, kto będzie wstawiał szybę.  
— Milicja to ustali.  
— Zanim milicja tu dotrze, wywiercą panu jeszcze parę dziurek.

— Za co?  
— Pan wie lepiej.

Gdybyż to była prawda, Mazin niczego by sobie więcej nie życzył. Na razie jednak wiedział mniej niż Walery i dlatego należało ciągnąć dalej tę nieprzyjemną rozmowę z nerwowym, najeżonym malarzem, starając się go delikatnie wybać. Tymczasem Walery, poddając się jakiejś wewnętrznej, nie rozumiałej dla Mazina logice, złożył nagle kolce.

— Niech pan posłucha, doc! Będę pana tak nazywał z amerykańska, żeby było krócej. Czemu skaczymy sobie oczu jak pies z kotem? Znamy się niespełna dwa dni i przez cały czas — ząb za ząb. Gdzie jest pański przyjaciel prokurator?

— On...  
— Nie jest prokuratorem. Wiem. Bimbam na to! Pan też chyba nie jest lekarzem?

— A kim jestem?  
— Nic mi do tego. Chce pan uchodzić za lekarza, proszę bardzo! Tylko niech pan nie leczy niemowląt. Mamunie panu tego nie wybaczą. I niech pan przestanie czepiać się mnie na każdym kroku. Chodźmy lepiej do prokuratora, obgadajmy to i owo. Dla pańskiego dobra.

I Walery strącił z nosa topniejące płatki śniegu.

Sosnowski, pogrążony w myślach, przemierzał pokój wielkimi krokami. Spojrzał na wchodzących z takim wyrazem, jakby ich nie poznawał.

— Ci sami oraz Kaługin młodszy — przedstawił się Walery.

— Nikogo więcej nie poczęstowano ołowiem?

— Chyba nie, ale Walery nie wyklucza możliwości otrucia. Nie dowierza Demianyczowi.

— Ach tak! — odpowiedział Sosnowski rzeczowym tonem. Widocznie nic już nie było w stanie go zadziwić. — Są fakty? Dlaczego go podejrzewasz?

Walery skrzywił się.

— Widziałem go z karabinem Filipienki na ścieżce za domkiem w pięć minut po strzale.

To wywarło wrażenie.

— Opowiadaj.

— Spotkaliśmy się przypadkiem. Nie chciało mi się iść do domu. Spyta pan dlaczego? Zbyt długo trzeba by tłumaczyć. Tak czy owak musiałem jednak iść. To byłoby świństwo zostawiać Marynę samą, mimo że nie miałem ochoty jej widzieć. Ale to do rzeczy nie należy. Krótko mówiąc, postanowiłem iść dłuższą drogą. Nagle — strzał, bardzo wyraźny, z karabinu. Pomyślałem, że Matwiej...

— Wiedział pan, że Filipienko ma karabin? — przerwał mu Mazin.

— A któż o tym nie wie? Niech pan mi pozwoli dokończyć. Pomyślałem, że Matwiej, ale zaraz przypomniałem sobie, że on się wybrał do rejonu. Któż więc strzela? Z Matwiejem żartów nie ma, nie daj Bóg tknąć jego broni. Zobaczyłby pan, jak mu oczy krwią nabiegają! No więc ruszyłem w kierunku, gdzie rozległ się strzał. Niedługo szedłem...

— Zachowując ostrożność, czy normalnie?

— Nie zamierzałem nikogo śledzić.

— No i co?

— Natknąłem się na starego. Wsiadał na osła, w rękę miał karabin.

— Co powiedział? — spytał niecierpliwie Sosnowski.

— Nic mi nie powiedział, gdyż o nic nie pytałem.

W słowach Walerego zabrzmiało lekkie wahanie, jakby nie był pewny, czy zostaną właściwie zrozumiane.

— Nie zdziwiło cię to, że strzelał Demianycz i w dodatku z cudzego karabinu? — Sosnowski odwrócił się do Mazina: — Stary głosi wszem wobec „nie zabijaj” żywego stworzenia, a tu nagle z karabinem!

— Trochę zdziwiło. Gdy się nad tym zastanawiałem, władował się na osła i spłynął.

— Nie zauważył pana?

— Stałem za drzewem.

— Co zrobił z karabinem?

— Zabrał ze sobą.

— Jawnie?

— A gdzie miał go schować? To nie igła, doc. Nie zmieści się do kieszeni.

— Słusznie. Co dalej?

— Poszedłem do domu i tam dowiedziałem się, że strzelano do pana. Zdziwiłem się po raz drugi.

— Kto panu powiedział?

Walery uśmiechnął się dziwnie.

— Kuszniariew.

— Ciekawe, jaki miał w tym cel.

— Nie wiem. Snuł głębokie rozważania pełne sztuczek i aluzji.

— Jakich aluzji?

— Drań!

— Może pan spróbuje mniej emocjonalnie?



- Proszę bardzo! On podejrzewa mnie.
- Niech pan się nie unosi, Walery! W takiej zagmatwanej sytuacji każdy może kogoś podejrzewać. Kuznariem pana — pan Demianycz.
- Ja go tylko widziałem z karabinem. Nic więcej nie mówiłem. A kogo podejrzewam, to moja rzecz.
- Szkoda, że nie podszedłeś do niego. Może by ci coś wyjaśnił — rzekł Sosnowski.
- Aha, już to słyszę.
- Możliwy jest i taki wariant — zastanawiał się Mazin.
- Strzelał nie Demianycz, ale... dajmy na to Iks. Wystrzelił i rzucił karabin na ścieżkę. Pasiecznik przejeżdżając tamtędy, spostrzegł leżącą broń.
- Ładna bajeczka, tylko uwierzyć trudno...
- Czyli pan tylko zakłada, że mógł strzelać Demianycz. Nie twierdzi pan, lecz zakłada. Dlaczego? Wiadomo przecież, że on nawet nie tknie broni, że jest stary i zapewne niezbyt wielki ryzykant, zresztą nie ma widocznych podstaw, by pragnąć mojej śmierci. To przemawia na jego korzyść, tak? A mimo wszystko zakłada pan coś wręcz przeciwnego. Powtarzam: dlaczego? Może istnieje jeszcze coś, o czym ja i Borys Michajłowicz nie wiemy? Albo też przestraszyła pana ta historia z nożem oraz podejrzenie Kuznariewa, denerwuje się pan i szuka alibi?
- Walery przygryzł górną wargę.
- Niech pan nie udaje naiwniaka, doktorze. Może to pan jest prokuratorem? Coś mi ta nasza rozmowa coraz bardziej pachnie przesłuchaniem. To mi się nie podoba; Przyszedłem do pana z własnej woli.
- Staram się właśnie zrozumieć, po co pan przyszedł i z czym, w jakim celu.

— Z czym, już wyłożyłem. A po co, trudno mi odpowiedzieć. Przypuścimy, że czuję do pana sympatię i nie chcę, by wpakowano panu kulkę.

— Dziękuję. Wierzę, że w pańskiej ironii jest pewna doza prawdy. Powiedział pan jednak nie wszystko. Coś tam jeszcze na dzień duszy zostało.

— Dusza, doc, to zagadka. Szczególnie dusza słowiańska. Dajmy jej spokój. Pasiecznikowi również. Nie mam przeciwko niemu żadnych poszlak. Ale mi się nie podoba. Finisz.

— Jaki finisz, Walery. Dopiero jedna czwarta dystansu.

— Schodzę z bieżni.

— A co z nami?

— Kontynuujcie bieg. Możecie wpaść do starego i zainteresować się jego wędrówkami.

— Czy rano pan też miał jakieś podejrzenia? Podczas naszej rozmowy w chacie? — zapytał Mazin.

Malarz wybuchnął:

— Odpowiedziałem panu przecieź! Nie pamięta pan? Żadnych przypuszczeń! Przyszedłem do pana nie z domysłami, lecz z faktem. Jeśli on nie wystarcza, to żegnam.

Wykonał gwałtowny zwrot na obcasach, zostawiając na podłodze grudę błota, i wyszedł.

— Nerwowy młodzieniec — mruknął Mazin ważąc coś w, myślach. — A starego jednak podejrzewa. Nie podszedł do niego w lesie, ponieważ go śledził, choć nie lubi tego słowa. Ale czemu go śledził, skoro nie wiedział, że strzelano do człowieka. Nie wiedział? Mógł nawet nie wiedzieć... Ludzie jego typu w ogóle są dociekliwi. W każdym razie dostarczył nam materiału. Tylko co z tym robić? Jak usystematyzować? Może istotnie popytać Demianycza? Zapraszał mnie na filiżankę herbaty.

— Czekaj. A co Walery gadał o truciznie?

— Poniosła go wyobraźnia. Najpierw mnie ostrzega, potem radzi iść! Brak konsekwencji. Tak czy owak będę musiał wpaść na tę herbatkę. Nie rozumiem, po co stary taszczył ze sobą karabin...

Pasiecznik spostrzegł Mazina przez okno i gościnnie otworzył drzwi.

— Dał się pan namówić, Igorze Nikołajewiczu?

— Nie mogłem się oprzeć pokusie i wstąpiłem na herbatę.

— Jest gotowa. U mnie zawsze jest herbata. Proszę siodać.

— A jak buty, dobre?

— Ciutkę za duże. Muszę zakładać onuce. Nie będzie to chyba nieładnie, jeśli odstąpię je strażnikowi? On ma większą nogę...

Demianycz krzątał się powoli i nic w jego zachowaniu nie potwierdzało sugestii Walerego, chyba tylko chęć dogodzenia gościowi, zresztą i w tym nie czuło się przesady, raczej przeciwną gościnność.

— Jak z tego widać, Igorze Nikołajewiczu, śledztwo nie posunęło się naprzód?

— Śledztwo? Źle pan to określił. Milicja przeprowadzi śledztwo, my z Borysem Michajłowiczem chcieliśmy tylko w miarę możliwości dopomóc, ale na razie nie mamy się czym pochwalić.

— Może i lepiej Igorze Nikołajewiczu. Bardzo powikłana sprawa, łatwo się zaplątać. A jak nie ma wyników, to w najgorszym razie nie ma płataniny i pomyłka nie grozi.

Mazin uśmiechnął się.

— Kto nic nie robi, ten przynajmniej się nie myli, tak?

— Nie, ja to prościej biorę. Nie mogę sobie darować, że nagadałem panu niepotrzebnych rzeczy.

— Niepotrzebnych?

— No tak. O Walerym. Ubrdały mi się jakieś głupoty.

— Nie za ostro pan siebie potępia?

— Jeśli już tak szczerze powiedzieć, to wszystko przez urazę. Uraza jest złym doradcą.

— Czymże on pana uraził?

Pasiecznik podmuchał na gorącą herbatę.

— Właściwie to nawet niczym. Raczej tylko z pozoru.

Człowiek już taki jest — wyrobi sobie pogląd, uwierzy w to i czyste nieszczęście.

„Obaj prawie jednakowo przyznają się do wzajemnej an-typatii!”

— Powiedział ktoś uczony, że nie natura stwarza nieszczęście, lecz nasze poglądy.

— Święte słowa, Igorze Nikołajewiczu. Warto je zapamiętać. Pogląd to ważna rzecz. Mam swoją dumę. Chociaż nie jestem zasłużonym artystą malarzem ani też nikim sławnym, tylko zwyczajnym człowiekiem pracy, lubię, żeby mnie szanowano. Mam taką słabość. Z ludźmi tu żyję w zgodzie, nikt się nie skarży, tylko Walery czuję, że jest przeciwko mnie. Niby nie robi nic złego, ale widać to w żartach i kpinach. Raz mnie wyzywa od sekciarzy, raz od kułaków. Jakież ze mnie kułak, jeśli nad kołchozową pasieką mam staranie? Po co stawiać takie polityczne zarzuty? To niedobry człowiek, Igorze Nikołajewiczu. Zazdrościł ojcu, co źle o nim świadczy. I wobec jego małżonki zachowywał się niegodnie. Nic panu nie nałgałem. Com widział, to było naprawdę. Ale mówić o tym nie powinienem. Zamotało się wszystko okropnie, mógłby kto pomyśleć, że się mszczę, załatwiam porachunki... Dlatego jeszcze raz pana proszę, żeby w śledztwie

o moich plotkach nie wspominać.

„Stary coś kręci: — pomyślał Mazin. — Niby żałuje, ale wręcz nie znosi Walerego”.

— Niech pan się nie martwi, Demianycz.

— Tak, tak, Igorze Nikołajewiczu, już pan raz obiecał. Ale zauważyłem, że pan się zmienił od rana.

„Trudno mu odmówić spostrzegawczości!”

— Doprawdy?

— Jakiś pan małomówny i srogi.

„Nachalnie gada i chyba za tym się kryje nie tylko ciekawość. O karabinie jednak nie wspomniał. To może zresztą świadczyć, że nie wie o strzale”.

— Od rana zdarzyło się to i owo, Demianycz. Ktoś strzelał do mnie.

Mazin odczekał chwilę, ale pasiecznik ostrożnie postawił na stole spodek z nie dopitą herbatą i otarł bezkrwiste wargi.

— Do pana? Nie spodziewałem się. Chwała Bogu, że nie trafił. Jakże to było?

— Stałem przy oknie w domku nad jeziorem... — zaczął Mazin, a skończywszy zapytał: — I co pan myśli o tej historii?

Odpowiedź brzmiała fatalistycznie:

— Jak już było morderstwo, nie ma na to siły, Igorze Nikołajewiczu. Kto raz coś takiego zaczął, ten nie spocznie, póki celu swego nie osiągnie albo przeciwnie — sam karku nie złamie.

— Jakiego celu?

Mazinowi wydało się, że pasiecznik spojrzął na niego z politowaniem.

— Nie wiem, Igorze Nikołajewiczu. A pan?

I zajął się nalewaniem herbaty. Nalał sobie nie do filiżanki, lecz wprost na spodek bardzo mocnej esencji z imbryka.

— Mam punkt zaczepienia dla śledztwa. Kulę. Trzeba wyjaśnić, kto tu może mieć karabin.

Pasiecznik podniósł spodek do ust i cmoknął rozgryzając kawałek cukru.

— Z tym nie będzie trudności, Igorze Nikołajewiczu. Tujsze sekrety są na wierzchu. Przed swoimi nic się nie ukryje. W tłoku żyjemy.

— Pan też wie?

— Wiem, zresztą i pan zna jego nazwisko.

— Domyślam się — powiedział Mazin.

— Ale nie Matwiej strzelał do pana. To nie taki chłop, żeby karabin w lesie porzucać.

— Porzucać?

— A jakże. Akurat się złożyło, że raniutko jechałem tamtą ścieżką. Patrę, stoi karabin oparty o drzewo. Bezpański.

„Oparty o drzewo! Zaskakująca pedanteria”.

— I co pan z nim zrobił?

— Jak to? Odwiozłem Matwiejowi.

Mazin doznał przykrego uczucia. Potwierdziła się prosta i jałowa wersja. Niby kuszący miraż, który przez chwilę mignął na horyzoncie. Filipienko nie strzelał, Walery nie strzelał, Demianycz również. Pozostają Oleg i Kuszniariew. Zaraz, właściwie to dlaczego skreślać tę pierwszą trójkę? Matwiej mógł poświęcić karabin, by odwrócić od siebie podejrzenia. Walery mógł podrzucić pasiecznikowi broń na drodze i obserwować z ukrycia, jak tamten zareaguje. No i sam Demianycz... Aczkolwiek jego psychologiczne alibi wygląda najbardziej przekonująco.

— Skąd mogłem wiedzieć, że ktoś godził na pana życie? Oddałem właścicielowi i koniec. Pozwoli pan jeszcze herbatki?

— Proszę. Więc pan nie jest stałym mieszkańcem tego osiedla?

— Czasowym. Przywiozłem pszczołki na podkarmienie.

— Dawno pan znał Kaługina?

— Ja? — pasiecznik pokiwał głową z życzliwym zrozumieniem dla naiwności swego rozmówcy. — Skądże mógłbym znać takiego człowieka? Poznaliśmy się przypadkiem w Trigorsku. Michał Michajłowicz brał miód ode mnie. Był tam na leczeniu w sanatorium. Miód mu smakował i tak zaczęliśmy gawędzić. To on mi doradził, żeby tu pszczoły na lato przywozić. Miejsce wymarzone. I ludzie ciekawi.

— Lubi pan obserwować ludzi?

— To moja słabość, Igorze Nikołajewiczu.

Pasiecznik często, jakby mu to sprawiało przyjemność, zwracał się do Mazina po imieniu z dodatkiem patronimiku, bardzo dokładnie wymawiając obydwu.

— Może się pan podzielić swoimi spostrzeżeniami?

— O nieboszczyku jużesmy mówili, o Walerym i Marynie. — Dwa ostatnie imiona zostały przypadkiem lub też rozmyślnie połączone. — A innych pan przecież zna: pański przyjaciel Borys Michajłowicz, potem Filipienko — mało co wart jako człowiek.

— Mało?

— A jakże. Nie szanuję ludzi, dla których odebrać życie stworzeniu tyle znaczy, co splunąć. I jeszcze się przechwala! Bogiem a prawdą, na co mu to polowanie? Państwo dba o wszystko, w sklepie można kupić produkty, po kiego licha takie hyclowskie zajęcia. Tym bardziej że rezerwat, władza

radziecka nakazuje chronić przyrodę. A on, patrzcie armatę jakąś wytrzasnął i strzela.

— A jednak zwrócił mu pan karabin.

— To inna sprawa, Igorze Nikołajewiczu. Ludzi nie sposób przerobić. Mogę Matwieja potępiać, ale zmienić go nie dam rady. Jak już natura przypasowała charakter, to na amen. Strażnik okropna gorączka, obraźliwy i zawzięty, ale taki jest i trudno. Zabrać mu karabin, to zdobędzie drugi, a strzelać nie przestanie.

— Do ludzi też mógłby?

— Polowanie i zabójstwo człowieka to przecież dwie różne rzeczy.

— Niewątpliwie. A co pan powie o Olegu?

— Dopiero z tydzień będzie, jak się zjawił w osiedlu. Skryty chłopak. Nosa drze. Z czego ta młodzież taka się zrobiła, Igorze Nikołajewiczu? Jakby od nas starszych krzywda ich jakaś spotkała. Wapniakami nas nazywają, za jaskiniowców mają, za coś w rodzaju tych małp, od których pochodzą oni, mądrzy ludzie, co wszystkie rozumy zjedli. O jednym tylko marzą — żeby jak najwięcej mieć różnych maszyn. Jeden z motocykla nie zsiada, drugi od rana do nocy puszcza magnetofon. I takiego bzika mają na punkcie tych gratów, że nie daj Bóg, by im matka lub ojciec na drodze stanęli. A już obcego od razu zdepczą.

— Oleg też się panu taki wydaje?

— Tego nie powiem. Skryty chłopak. Czegoś szuka, myszkuje...

— Szukał samolotu, który znalazł Filipienko.

Demianycz poskrobał się w chudy, zarośnięty krótkimi, spłowiałymi włosami kark.

— Na co mu ten samolot?



— Jest dziennikarzem, chce napisać o poległych lotnikach.

— Aha, to tak... No, chyba już o wszystkich panu opowiedziałem.

— Został jeszcze Kuszniariew.

— Cóż o nim?... Uchodził za najlepszego przyjaciela...

„Uchodził... wydaje się... chyba... A naprawdę? Kto jest kim w rzeczywistości?”

Mazin rozmyślał o tym wracając od pasiecznika. Śnieg prawie przestał padać. Biała pokrywa łagodziła zapadający mrok, ale jasno było tylko na dole, górą i wzdłuż pobliskich zboczy tłoczyły się w dalszym ciągu ciężkie, opasłe chmury.

Sosnowski krzątał się przy gospodarstwie. W piecu buzował ogień. Było ciepło i przytulnie. Smakowity zapach smażonego mięsa łaskotał powonienie.

— Igor, chlapiesz kielicha? Pieprzóweczka własnej roboty. Piekło w gębie, ale pycha! Co mówił Demianycz?

— Sprawa była bardzo prosta. Znalazł karabin i odwiózł strażnikowi.

— Wierzysz w to?

— Sam nie wiem. Daj spróbować pieprzówki.

— Zabawnie to wygląda, stary. Słynny detektyw w impasie. Przypominasz mi Pieczorina. Z „Tamani”. Pamiętasz, jak go wykiwali przemytnicy?

— I chcieli wykończyć.

— Właśnie. I to już przestaje być śmieszne. A więc nic ze starego nie wyciągnąłeś?

— Nic konkretnego. Chyba trochę tylko zmieniła się moja opinia o nim.

— W którą stronę?

— Na gorsze, mówiąc z pewnym uproszczeniem. Stary nie jest takim poczciwcem, za jakiego chce uchodzić.

— Pokazał pazurki? Na kogo?

— Nikogo nie podejrzewa, nawet bronił, gdy w rozmowie padało czyjeś nazwisko, a jednak nie wytrzymał, o każdym wsunął coś takiego, co przy okazji może się nałożyć na ten lub inny fakt i wyrzeć niemiłe wrażenie.

— Wydaje ci się to podejrzane?

— Raczej nie. Wiedział, że Kaługin nie żyje, dlatego więc miałby go powtórnie uśmiercać. W ogóle nie miał powodu odbierać mu życia. Historia z karabinem ma wszelkie cechy prawdopodobieństwa.

— Któż więc to zrobił?

— Na razie wszystkich uważam za niewinnych.

— Szkoda, że nic nam się nie udało wyjaśnić przed przybyciem milicji. Nawet to, że Kaługina zabił ten sam typ, który strzelał do ciebie, też w gruncie rzeczy nie jest pewne.

— Mnie inna rzecz nie daje spokoju. Obawiam się następnego morderstwa i nie wiem, jak mu zapobiec. Niby Archimedesowi brakuje mi dźwigni. Gdybym wiedział, dlaczego chciano mnie sprzątnąć.

— Jesteś niebezpieczny.

— Cóż takiego robię? Kręcę się po osiedlu? To chyba za mało, aby dybać na moje życie. Tylko w jednym przypadku miałoby to sens — gdybym wpadł na trop, uzyskał przewagę w pojedynku i przeciwnik znalazłby się w sytuacji bez wyjścia. Tylko w takim układzie każde ryzyko byłoby usprawiedliwione. Nie widzę jednak po swojej stronie żadnej, nawet elementarnej przewagi.

— Ale on widzi.

— Jest w przyjemnym błędzie?

— Niezbyt przyjemnym. A skoro już mowa o błędzie... Czyśmy czego nie przegapili? Nie wylali w ferworze dziecka razem z kąpielą? Może coś uszło naszej uwagi, nie zostało przez nas należycie ocenione. A on sądzi, że jest przeciwnie.

— Pewności, rzecz jasna, nie możemy mieć, ale to jest myśl! Trzeba na nowo zbadać każdy krok, każdy drobiazg.

— Nie przewróć stołu, tygrysie!

— Ciasno tu u ciebie.

— Nie liczyłem przecież na wybuch twej niepohamowanej energii. Myślałam, że przyjeżdża facet na urlop. Będzie rybki łowił, wylegiwał się na łóżku, poczyta sobie tygodniki, porozwiązuje krzyżówki.

— Przestań mnie podpuszczać! Przejdę się trochę po mroźnym powietrzu, natlenię się, może prędzej ruszę mózgiem.

— Uważaj, żeby się nie przeziębic. Zdaje się, że już gasz przez nos.

— Mały katar. Aha, muszę wziąć świeżą chusteczkę. Patrz, zabrałem z pracowni chustkę Kaługina.

Mazin pokazał zasmarowany farbami kwadrat materiału.

— Czekaj, wcale nie z pracowni. Zabrałeś ją na pewno z domku nad jeziorem, gdy twoją chustką przewiązałem ci ranę — przypomniał sobie Sosnowski.

— Doprawdy? Nie zwróciłem uwagi. Tak, leżała na łóżku Walerego. Starzeję się, Borys. Nerwy wysiadają, pamięć odmawia posłuszeństwa.

— Nie pleć głupstw!

Mazin wyszedł na dwór. Po śniegu pozostało tylko wspomnienie.

## 4. KSIEŻYC

Było jeszcze dość jasno i bardzo spokojnie. Rzeka przycichła, jakby wyczerpała wszystkie siły szafując nimi bez opamiętania. Mazin z przyjemnością szedłby przed siebie jak najdłużej, uwolniwszy się od niespokojnych myśli, lecz nagle wyrósł na jego drodze Walery.

— Widział się pan z pszczelarzem?

Chyba specjalnie czekał tu na Mazina.

— Tak. Potwierdził moje przypuszczenie.

— Wykręcił się?

— Nie sądz bliźniego swego... Proszę, pańska własność.

Malarz spojrział na chusteczkę w wyciągniętej ręce Igora Nikołajewicza.

— Drobiazg bez wartości. Ale skoro z pana taki pedant...

Zabrał pan z chaty?

— Przypadkiem.

— Nie wątpię. Dokąd pan idzie?

— Chciałbym się zobaczyć z Aleksiejem Fomiczem.

Walery podniósł brew.

— Ależ pan jest skrupulatny...

Architekt golił się przy oknie. W pokoju pachniało „Chyprem”.

— Nie przeszkadzam?

— Proszę sobie wyobrazić, że nie. Niech pan siada. Oczekiwałem pańskiej wizyty...

Wytań i obejrzał w lusterku ogolony policzek. Nie wyglądał na pijanego ani zmęczonego. Przez ostatnią godzinę zaszła w nim jakaś zmiana.

— Chciałem zapytać, szanowny...

Za oknem zwałista chmura z trudem przedzierała się przez wąwóz zaczepiając o skały. W jednym miejscu powstała podłużna szczelina, przez którą wyjrzały różowe promienie zachodzącego słońca. W pokoju zrobiło się widniej. Panował tu surowy i niewyszukany, niemal żołnierski ład. Łóżko było nakryte wraz z poduszką jednobarwnym wełnianym pledem, na stole ani na krześle nie leżał żaden niepotrzebny przedmiot. Jedynie kilka górskich, nie znanych Mazinowi kwiatów w glinianych dzbanuszkach rozjaśniało tę uporządkowaną monotonię.

— Czy pan jest detektywem amatorem, czy zawodowcem.

— Pełnomocnictw nie mogę okazać.

— Papierki nie robią na mnie wrażenia. Interesuje mnie tylko, czy pan jest przygotowany do roli, jaką wziął na siebie? Czy też bawi się pan w detektywa korzystając z rad kochanego Borysa Michajłowicza?

— Może pan mi zaufać.

— Zaufanie z góry zakłada wzajemność. Jeżeli znajduję się na liście proskrypcyjnej, wzajemne zrozumienie jest wykluczone.

— Nie mam jeszcze danych upoważniających mnie do wyciągnięcia wniosków ostatecznych. Dlatego jestem przygotowany na różne niespodzianki.

— Nie chowam w zanadrzu żadnych sensacji. Aczkolwiek muszę przyznać, że pan się nie mylił. Rzeczywiście byłem niesprawiedliwy dla Miszy, posądzałem go o niezbyt czyste intencje, jeśli chodzi o stosunek do mnie. Ale praktycznie jest to bez znaczenia. To moja sprawa osobista.

— Wiem, Aleksieju Fomiczu, że pan jest szczególnie uczulony na punkcie sprawiedliwości. Opowiedziano mi...

— Moją smutną historię. To nie jest tajemnica. Przeszłość. Nie do naprawienia. Mówiłem już o tym. Nie chcę pomnażać zła. U pańskich kolegów wszystko się zgadzało. Przeciwno mnie świadczyły fakty, a fakty, jak wówczas mawiano — rzecz uparta. O cóż mogę mieć żal do moich sędziów? O to, że im zabrakło... zabrakło sił, aby wnieść się ponad oczywistość? Wypełniali swoją powinność w ich rozumieniu jak najlepiej, nawet pragnęli dobra, sprawiedliwości. Ach, te dobre chęci! Niejedna droga do piekła jest nimi brukowana. Jako że każdy zdąża tam własną drogą. Nie wytrzymałem. Byłem złamany. Ale Misza rozumiał moją tragedię. Lubił mnie. Nie obrażał się, lubił. Może współczuł... Nie miałem prawa oczerniać go w pańskich oczach. On zginął. To jest kara.

Kusznariew przesunął nerwowo ostrzem brzytwy po szerokim skórzanym pasku, zaczepionym klamrą o gwóźdź w ścianie.

— Kto został ukarany? Przez kogo?

— Proszę mnie nie chwytać za słowa. Michał ukarał sam siebie.

— Sam? Przecież to jego zamordowano.

— Cóż z tego? Można siebie ukarać i cudzymi rękami. Ale ja nie chcę, nie chcę o tym! Boję się słów, wygodnych, niezastąpionych formułek, w których straszliwy sens nie

wnikamy i nie jesteśmy zdolni go pojąć, w przeciwnym bowiem razie przypłacilibyśmy to utratą rozumu. Na przykład, te drobne wzmianki prasowe o wyrokach i słowa, słowa — „wyrok został wykonany” — Kusznariew spostrzegłszy, że Mazin chce mu przerwać, zaczął gwałtownie wymachiwać ręką, w której trzymał brzytwę. — Tylko proszę nie mówić mi o zwyrodnialcu, który chodził po Moskwie z turystyczną siekierką i zabijał dzieci! Tak, on zasłużył! Ale czy karząc śmiercią drugiego człowieka, nie uśmiercamy siebie? Może właśnie dlatego zdarzają się mordercy, że w ogóle wolno zabijać? Byle tylko istniał powód! Wina! Zastanawiał się pan nad tym?

— Czy powinno się stosować karę śmierci? Obawiam się, że nie rozstrzygniemy tej kwestii. Zastanawiam się nad tym, kto zabił Kaługina.

W czerwonych odblaskach zachodu oczy architekta zamigotały trochę niesamowicie.

— Pan dąży do tego, abym w odwet za Michała dopomógł panu zabić drugiego człowieka, tak?

Mazin odsunął się. „Czyżby go tak wzburzyły moje słowa o tamtej krzywdzie?”

— Wyjaśniłem już panu, do czego dążę. Nie chcę, by ten drugi człowiek wykończył dziś w nocy jeszcze jednego, trzeciego człowieka.

— Pana? Tak? Pana? W czym pan mu przeszkadza? Boi się? A więc też ratuje siebie! Czy pan nie rozumie, że on się broni? Gdyby pan nie zagrażał jego życiu, nie strzelałby do pana!

— Aleksiej u Fomiczu — powiedział Mazin zrezygnowanym tonem. — Budzę w panu idiosynkrazję. Bardzo mi przykro. Gotów jestem uznać pańską słuszość w płaszczyźnie idealnej, my jednak żyjemy w świecie realnym, więc patrzeć

nań z góry, dobro i zło przyjmować obojętnie, daruje pan — nie potrafię.

— A cóż dadzą pańskie starania? Poprawią ludzkość o mikron? Znikomy mikron?

— Bodaj o pół mikrona, o ćwierć. Przecież odległość dzieląca nas od Księżyca jest w porównaniu z Galaktyką również znikoma, a jednak tam dążymy! Nawet źdźbło sprawiedliwości nie może być znikome! Pan wie o tym dobrze! I nie wierzę w pańską filozofię. Powiem szczerze, bez względu na to, czy pan się obrazi — pański stosunek do mordercy Kaługina nie wynika z założeń teoretycznych!

— Jak mam to rozumieć? — zerwał się architekt.

— Zaraz to wytłumaczę. Tylko proszę schować brzytwę. Nie lubię ostrych przedmiotów. Otóż chciałby pan, żeby przestępca poniósł karę, z drugiej strony jednak istnieje coś, co panu każe lękać się zdemaskowania zabójcy albo okoliczności zabójstwa. Proszę darować nietaktownemu pragmatykowi, ale często ludzie w swoim postępowaniu nie tyle opierają się na teorii, ile starają się teorię do niego nagiąć.

— Nie jestem obłudny.

— Wierzę. Niechże pan schowa tę brzytwę! Zastanawia się pan, jakie postępowanie będzie lepsze, słuszniejsze, ale trudno się panu zdecydować, więc wymyśla pan różne cuda, szamocze się, nie mnie, lecz siebie chce pan przekonać!

Kusznariew usiadł na łóżku i złożył brzytwę.

— Przypiął się pan jak rzep! Co jeszcze pan wykombinował?

— Wykombinował? Dwie rzeczy mogą budzić w panu lęk. Albo prawda wyjdzie na złe panu osobiście, albo też... No, już pan wie, komu.

— Czy może go spotkać coś gorszego?



— O tym pan z pewnością wie lepiej.

Kusznariew wysunął szufladę stołu i zaczął układać w niej przybory do golenia. Potem rzekł bezbarwnym głosem:

— Przysięgam na honor, młody człowieku, na moje sumienie, a nie jestem łajdakiem... Nie wiem, dlaczego zamordowano Kaługina.

— Byłem tego pewny — westchnął Mazin. — Byłem pewny! Stąd pańskie wahania. Wolno panu teoretyzować, ale wszakże nie stawałby pan w obronie okrutnej bestii, potwora. Takiego, co z siekierką chodził po mieszkaniach. Nie chciałby pan go ratować! A tu nie ma pan pewności, czy sumienie Kaługina nie było czymś obciążone. Nie uznaje pan, oczywiście, samosądu, ale dużo pan przecierpiał, dużo widział, poznał nawet bezsilność sądownictwa i dlatego, właśnie dlatego woli pan nie mieszać się do tej sprawy. Targają panem wątpliwości, dąży pan do łatwych rozwiązań, chce wszystko zrzucić na los. A mówiąc po prostu — umyć ręce, nie mieć z tym nic wspólnego. Nie przez obojętność lub egoizm, raczej ze strachu, by się nie pomylić, nie wyrządzić zła, ale — jak nie kijem go, to pałką.

Mazin umilkł i po chwili dodał półgłosem:

— Niech pan postępuje, jak uważa. Filozofuje w poje-dynkę.

Przez uchylony lufcik wpadało mroźne powietrze, przy-tłumiony szum znacznie już spokojniejszej rzeki, przepływa-jącej tuż pod oknem. Czuło się, że wysoko w górach, gdzie woda tworzyła mętny i bystry potok, żywił już się poddał. Wkrótce Filipienko będzie mógł się przeprawić, wezwie milicję, sprawa potoczy się trybem urzędowym, Mazin stanie się zwykłym świadkiem, złoży zeznanie i rozpocznie urlop.

„Kimże był ów Kaługin, że zmusza mnie do zajmowania się jego losem? Profesjonalna inercja? Ambicja? Troska o własne bezpieczeństwo? Nie! Tu się nie da wyodrębnić jakiejś jednej przyczyny. Postępuję, jak winienem postępować, a w końcu obowiązek należy do kategorii nie mniej skomplikowanych niż inne pobudki moralne, jest przy tym utkany z całego splotu nici, których niepodobna rozdzielić, rozerwać nie rozrywając tkaniny”.

— Aleksieju Fomiczu, gdyby pan powiedział wszystko...

— Nie. Ale jestem w kłopotcie. Przyznaję, że może wyjść na jaw coś niekorzystnego dla pamięci Michała. Nikt w swoim życiu nie jest wolny od błędów, za niektóre jednak przychodzi płacić tak wysoką cenę, że powinno się już na tym postawić krzyżyk, niegodziwością byłoby grzebanie się w cudzych brudach.

Mazin spostrzegł, że jak tylko Kusznariew zbliżał się do granicy, za którą znajdowało się to najważniejsze, co wiedział o Kaługinie i co mogłoby rzucić światło na okoliczności jego śmierci, pstrykał wyłącznik i architekt tylko bezradnie poruszał rękami w ciemności.

Dotrzeć do niego, jak przypuszczał Mazin, można było tylko jedną drogą — zorientować się samemu, odgadnąć, co go nęka. Wiedział, że Kusznariew nie potrafi kręcić i szybko kapituluje, gdy bodaj część tego, co chciałby utrzymać w tajemnicy zostaje odkryta. Za nic w świecie nie zgadza się wymówić pierwszego słowa, jest jednak gadatliwy i może mu się wyrwać B, choć A nie zostało powiedziane. Zrozumieć i wykorzystać tę drugą informację — to było najważniejsze!

„Wspomniał o przysłudze, o pomocy okazanej Kaługinowi. Ale przecież Kusznariew siedział w więzieniu, gdy ta pomoc mogła być potrzebna. Odchylenie? Sprzeczność...

Skłamał? Po co? Nie. Nie mógł. W każdym razie nie Kaługinowi. A tamten przyznawał, potwierdzał tę pomoc. Może to tylko słowa. Otóż właśnie — słowa. Że też ja wcześniej na to nie wpadłem!”

Odkrycie było tak proste, że Mazin ledwie zdołał się opamiętać, aby tego nie ujawnić. Miał ku temu dwa powody. Po pierwsze, rzucić tę mocną kartę mógł tylko, w jednym najbardziej stosownym momencie. Mimo wszystko bowiem nie była ona ani najstarszym honorem, ani też asem atutowym. Po drugie, Kuszniariew, zbliżywszy się do niebezpiecznej granicy, przestraszył się i zrobił rozpaczliwą woltę. Aby odwrócić uwagę Mazina, poświęcił część prawdy dla uchronienia rzeczy najważniejszej.

— Są tu amatorzy zaglądania przez dziurkę od klucza. I nawet coś zobaczyli.

Z trudem zdobył się na te słowa, w których skuteczność wyraźnie powątpiewał.

— Kto taki?

— Czy muszę?

— Bezwzględnie.

— Oleg.

— Tego nie oczekiwałem — powiedział Mazin szczerze.

— Oleg jest tu jedyną przypadkową osobą. Sądziłem, że interesuje się samolotem.

— Jedno nie wyklucza drugiego.

— Czy to znaczy, że samolot ma jakiś związek z przeszłością Kaługina?

Kuszniariew stanowczo potrząsnął głową.

— To zupełnie nie wchodzi w rachubę. Tu jest coś innego, niejasnego. Pan przypuszczał, że Oleg przybył w nasze strony samorzutnie i tylko przypadkiem zatrzymał się w domu Kaługina. Otóż było inaczej. Oni się znali.

Architekt patrzył na Mazina ze smutkiem, zamiast z triumfem człowieka obwieszczającego swemu rozmówcy nieznaną i zaskakującą fakt.

— Cóż to ma do rzeczy?

— Samo przez się, oczywiście, nie jest niczym karygodnym. Nie rozumiem tylko, dlaczego obaj ukrywali swoją znajomość. Pamiętam doskonale, jak Oleg przyszedł po raz pierwszy i Michał go przedstawił; „Oto młodzieniec, który zawędrował na nasze odludzie, dziennikarz. Świeżo się poznaliśmy. Proszę, dla niego o łaskawe względy”.

— A dlaczego pan sądzi, że Kaługin go znał?

— O, to bardzo proste i nie budzące wątpliwości.

Kusznariew sięgnął do kieszonki swetra i wyjął złożony w czworo blankiet telegraficzny z naklejonymi paskami drukowanego tekstu.

„Dagezan. Kaługin.

Za pańskim pozwoleniem wyjeżdżam warunkiem pamiętam Oleg” — przeczytał Mazin.

— Znalazłem to w kurtce Michała. Maryna prosiła, żeby wyjąć wszystko z kieszeni...

W załamaniach zgniecionego blankietu zachowały się okruchy tytoniu.

„Co to znaczy? Klucz czy jeszcze jedno złudzenie? Kaługin i Oleg nie opowiadali o swej znajomości, ale w takim malutkim osiedlu dużo osób mogło wiedzieć o depeszy. Kaługin nawet jej nie wyrzucił”.

— O jakim warunku wspomina Oleg?

— Nie mam pojęcia.

— I niczego więcej pan sobie nie przypomina, nic pana nie uderzyło w ich wzajemnych stosunkach?

— Nie. Wprawdzie na jakieś trzy dni przed tragedią usłyszałem mimochodem kilka rzuconych zdań, ale nie wydały

mi się godne uwagi. Dopiero po znalezieniu depeszy przypomniałem sobie o tym. Siedzieliśmy z Demianyczem w pokoju na dole i gawędziliśmy o pszczołach, gdy weszli tamci dwaj i Misza zapytał Olega: „Nadal bez rezultatu?” Na co Oleg odpowiedział: „Za osypiskiem jest bardzo stroma ściana. Poszukam w innym miejscu”. „Nie, nie. Tam szukaj!” — zawołał Michał i spostrzegłszy mnie wyszedł.

— Nie chciał, żeby pan usłyszał? Przerwał rozmowę?

— Kto wie... Może mi się uroiło.

— Wynika z tego, że Kaługin doradzał Olegowi szukać samolotu właśnie tam, gdzie został odkryty.

„A przecież nie mógł wiedzieć o samolocie! Co z tego? Oleg wiedział od dawna i szukał go. Poznał kiedyś Kaługina, opowiedział o swych poszukiwaniach i ten zaprosił go do Dagezanu. I rozmowa wypada logicznie. Oleg nie zdołał dotrzeć nad jezioro, które chciał zbadać, a Kaługin radzi mu nie rezygnować, nie zostawiać «białych płam». Bardzo rozsądnie. Ale o jakim warunku była mowa między nimi? Tylko pod tym warunkiem wolno było Olegowi przyjechać do Dagezanu. Przyjął go i zjawił się nie wspominając z jakiegoś powodu nawet słowem o swej znajomości z panem domu. Czy nie na tym polegał ów warunek? O co chodziło Kusznarielowi? Dlaczego opowiedział mi o Olegu? Dlaczego uważał, że tamten podglądał przez dziurkę od klucza?”

Pytań gromadziło się coraz więcej, toteż Mazin niemal z ulgą obejrzał się na skrzypnięcie otwieranych drzwi. W progu, jakby ściągnięty jego myślami, ukazał się Oleg. Widać było, że spędził cały dzień na powietrzu, mokra ortalionowa wiatrówka zeszywniała od mrozu, do dżinsów poprzcycziały się rzepy i grudki gliny.

— Ma pan gościa, Aleksiej u Fomiczu? Dobry wieczór,

doktorze. Ciągle jeszcze pan mnie podejrzewa, czy dogrzebał się pan, kto użył noża?

Pytanie brzmiało niemal beztrzesko, ale ta podkreślona niedbałość była raczej dowodem opanowania niż lekkomyślności.

— Pan przecież zamierzał sam to wyjaśnić.

— Nic podobnego. To pan polecił mi ruszyć mózgiem, zanim przybędzie milicja. Ale jakoś nie znalazłem czasu.

W pokoju zapadł zmrok, rysował się tylko kwadrat okna i to niezbyt wyraźnie. Mazin nie widział twarzy uczestników rozmowy. Przypominał sobie, że elektryczność jeszcze nie podłączona i w najlepszym razie można liczyć na lampę naftową lub nawet ogarek świecy. A chciał zobaczyć Olega, jego twarz, na której teraz dostrzegał tylko okulary i krótką półkolistą bródkę.

— Szkoda. Zamordowano jednak człowieka. No cóż, pana bardziej interesuje strącony samolot.

— Proszę sobie wyobrazić.

— A jeżeli śmierć Kaługina ma jakiś związek z odkryciem samolotu?

Oleg odsunął się od okna w cień. Potrzebował trochę czasu, by zgłębić i ocenić myśl Mazina.

— Szukanie paradoksów to pańska namiętność? Najpierw z nożem, teraz z samolotem?

— To dwa zupełnie różne fakty. Związek pomiędzy nożem a panem jest wyraźny, aczkolwiek mógł się nim posłużyć i ktoś inny, natomiast związek między odkryciem samolotu a śmiercią Kaługina rzeczywiście wydaje się paradoksalny, ale tylko na pierwszy rzut oka.

— Co pan wie?

— Wiem, że pan nie przyjechał tu przypadkowo.

— Nie daje panu spokoju restauracja w Batumi?

— Przypomniał pan sobie?

— To pan mi przypomniał. Ale skoro odznacza się pan tak znakomitą pamięcią, powinien pan również wiedzieć, że mówiłem otwarcie. Interesuję się od dawna tym samolotem.

— Dlaczego?

Mógłby się zdenerwować, zachować impertynencko, udzielił jednak rzeczowych informacji:

— Pracuję w prasie lotniczej, bywałem na spotkaniach z weteranami i oni właśnie wspominali ten wypadek. Samolot zaginął bez wieści w czterdziestym pierwszym roku. Uległ awarii. Wykonywał ważne zadanie i polegli lotnicy zasłużyli na to, by rodziny dowiedziały się, gdzie spoczywają ich zwłoki. Wystarczy?

— Dlaczego przed panem nikt nie szukał samolotu?

Oleg zdjął okulary i przetarł szkła chusteczką. W miarę zadawanych pytań opanowywał się coraz bardziej. Ton miał oschły, nie wiadomo było, ile prawdy zawierają jego odpowiedzi, jednakże nie uchylał się od nich.

— Szukali. Bez rezultatu. Widocznie przeszkadzała lawina.

— A panu się powiodło?

— Nie mnie, lecz Filipience. Samolot znalazł Matwiej.

— Znalazł tam, gdzie pan go szukał.

— Znalazł tam, gdzie samolot się znajdował.

— Mimo wszystko powiodło się panu. I to nie jeden raz. Kaługin akurat mieszkał w osiedlu, obok którego rozbił się samolot, zaprosił pana do swego domu...

W spokoju Olega pojawiła się pierwsza rysa.

— No ico?

— Nic szczególnego. Bardzo dobrze, że nie musiał pan

mieszkać w namiocie. Zimno, wilgoć. Można złapać zapalenie korzonków.

— Mam doskonałe zdrowie.

— Ale marny trening. Nie pokonał pan stromizny.

— I o tym panu wiadomo?

— W tłoku żyjemy — powtórzył Mazin słowa Demianycza. — Mimo to dopisywało panu szczęście. Do jeziora dotarł Filipienko. Czy nie za radą Kaługina?

Oleg wyjął z kieszeni kurtki zapalnik i papierosy. Pierwsza zapalnik zapałała się przy potarciu. Druga też się zapaliła. Zapewne zwilgotniało pudełko. Mazin wyjął zapalniczkę i podsunął ogień dziennikarzowi.

Odpowiedź po tej przerwie zabrzmiała dość arogancko.

— Możliwe. Kaługin lubił dawać rady.

— A czy nie odniósł pan wrażenia, że jego rady były zaskakująco bezbłędne?

— Jeśli nawet odniosłem, co to ma wspólnego ze śmiercią Michała Michajłowicza?

„Słusznie. Trudno przecież uważać, że chłopak zwariował i zabił Kaługina, by nie dzielić z nim sławy pierwszego odkrywcy! Cóż to zresztą za odkrycie? Samolot, który leciał na tyły i rozbił się przypadkowo... A jednak odniósł wrażenie!”

— Kiedy spadł samolot?

— Dwunastego października.

„Zna nawet dokładną datę. Nie. Zwykła, nie zwracająca uwagi historia nie mogłaby ich obu tak dalece zainteresować. Zwłaszcza Kaługina. O co tu chodzi? I co się zdarzyło owego dnia? Kaługin jechał ze szpitala do Aszchabadu. Pociągiem. Z okna wagonu nie widzi się na odległość stu kilometrów. Ale można zawsze coś usłyszeć, dowiedzieć się o czymś w czasie podróży. Musi to jednak być rzecz niezwyklej wagi, jeśli



ponad dwadzieścia lat o niej się pamięta!”

— Kaługin znał tę datę?

— Ja mu powiedziałem.

— Dawno?

— Dość dawno.

— To dziwne. Pan przebywa tu zaledwie od tygodnia. A może już wcześniej stykał się pan z Kaługinem?

— Nie.

„Tu cię mam” — podsumował Mazin w duchu, ale bez specjalnego triumfu, ponieważ zwycięstwo przyszło mu zbyt łatwo.

— Aleksieju Fomiczu, może pan zechce zapalić lampę?

Kusznariew siedział z głową wspartą na rękach i Mazin musiał powtórzyć swą prośbę, by wyrwać go z zadumy. Drgnął i zaczął pospiesznie zapalać lampę nie trafiając szkłem w wygiętą oprawkę.

— Proszę pokazać papier, który pan znalazł.

— Nie, doprawdy nie warto.

— Lepiej od razu wszystko wyjaśnić. Czy to pańska depesza?

Oleg przysunął blankiet bliżej lampy, spojrzął i poprawił okulary.

— W jaki sposób trafiła do pana?

— Zechce pan wytłumaczyć jej treść. I dlaczego ukrywał pan, że od dawna znaliście się z Kaługinem?

Igor Nikołajewicz podkreślił knot. Zrobiło się jaśniej. Oleg położył blankiet na stole. Nie próbował kwestionować prawa Mazina do zadawania pytań, zachowywał się w dalszym ciągu spokojnie.

— Nie rozumiem, czemu jej nie wyrzucił. To był jego

pomysł. Nie chciał, by w osiedlu wiadano o naszej znajomości.

— W jakich okolicznościach się poznaliście?

— Kaługin przyjeżdżał do naszego miasta, malował lotników. Kiedyś rozgadaliśmy się, on wspomniał, że ma w tych stronach willę. Powiedziałem, że interesuję się sprawą samolotu. Ostatnia depesza z pokładu została nadana gdzieś stąd. Zaproponował mi gościnę.

— A warunek?

— Nie przywiązywałem do niego wagi. Kaługin prosił, żebym, jeżeli znajdę samolot, nie wymieniał w gazecie jego nazwiska. Uważałem to za zwykłą skromność.

— Skąd Kaługin wiedział, że samolot leży w pobliżu jeziora?

— Nigdy nie mówił, że wie, ale uparcie radził szukać go w górnym biegu Czerwonej Rzeczki.

— Uparcie?

— Tak. Gdy nie pokonałem, jak pan się wyraził, stromizny, posłał Matwieja. Przykro mi. Można tam dotrzeć. Byłem dziś z Haliną.

— Kiedy wyszliście?

— Wcześniej. — Oleg chrząknął. — Może już dosyć, doktorze? Starałem się, jak mogłem, zaspokoić pańską ciekawość.

— Dziękuję.

— Wszystkiego dobrego.

„Pewny siebie chłopak. Nie w ciemni bity. Nowoczesny. Demianycz ma dobre oko”.

— Igorze Nikołajewiczu — usłyszał Mazin. Po raz pierwszy architekt zwracał się do niego w tej formie i Mazin wy-czuł w jego głosie zaufanie oraz coś jeszcze — skruczę. — To ja napłatałem, nagadałem efektownych frazesów, sam nie

wiem, dlaczego. Przysięgłem sobie trzymać język na wodzy... I naplotłem o dziurce od klucza, przecież to skończone brednie. Na szczęście, wszystko się wyjaśniło, rozwiało.

— Co się wyjaśniło, Aleksieju Fomiczu?

— No, te moje halucynacje. Że Oleg dziwnie się zachowywał, a Misza jakoby starał się ukryć, że jest od niego zależny. To już szczyt idiotyzmu!

— Nie jestem pewny. Ten młody człowiek niczego nie wyjaśnił, wręcz odwrotnie — zaciemnił. Co wiedział Kaługin o samolocie? I dlaczego Olegowi tak bardzo na tym zależy? W taką pogodę narażał życie. Po co? Samolot został znaleziony. Nie zniknie przecież z powierzchni ziemi. Dlaczego tak gorączkowo pcha się tam, gdzie diabeł mówi dobranoc?

— Charakter, Igorze Nikołajewiczu. Sportowy, uparty.

— Zgoda. Rozumiem pana. Niech pan postara się i mnie zrozumieć. — Mazin zdecydował się rzucić na stół swoją kartę. — Potrzebne mi są fakty i pańska pomoc. Proszę mi powiedzieć, za co Kaługin dostał się do więzienia. Chyba się nie mylę, prawda? Przecież pan zetknął się z nim nie na wolności?

Twarz Kusznariewa zszarzała. Odmalowała się na niej wielka przykrość.

— Kiedy ja... jak mogłem się z tym zdradzić...

— Nie zdradził się pan. Po prostu zestawilem pańskie słowa o przysłudze wyświadczonej Kaługinowi z pewnymi datami w jego życiu. Proszę nie robić sobie wyrzutów. Czy on się dopuścił poważnego wykroczenia?

— Poważnego? Napił się wódki. — Kusznariew zaczął mówić pospiesznie, pragnąc rzucić z siebie jak najprędzej cały ten balast, który go przygniatał i który chciał zataić.

— Wypił. Pierwszy raz w życiu. I jego przyjaciele, co też ja mówię — nie przyjaciele, lecz szumowiny, postanowili włamać się do kiosku czy jakiegoś straganu, a jemu kazali stać, pilnować i w razie czego ostrzec ich gwizdem. Pan wie, jak to się robi. No i gwizdnął, czy też nie zdążył... Wszystkich zgarnęła milicja. Orzeczono, że była to zaplanowana akcja... Niestety polegało na tym, że chłopak organicznie nie znosił zamknięcia... Dusza artysty! Choć jeszcze wtedy nie był malarzem, lecz dzieckiem, chłopcem szesnastoletnim! Nie mógł pogodzić się z tym strasliwym absurdem. I popełnił jeszcze dwa niewybaczalne głupstwa. Najpierw... Proszę mnie tylko dobrze zrozumieć!

— ... usiłował zbiec?

— Tak! Skąd pan...

— Nietrudno się domyślić. Złapali go i podwyższyli karę.

— No właśnie. Wówczas Misza próbował odebrać sobie życie.

— Pan go uratował?

— Pomogłem mu. Uratowała wojna. Zgłosił się na front... I przeżył jeszcze ponad ćwierć wieku.

„To jest krok naprzód. Ale jak obliczać te kroki? Ile ich jest?”

— Spotkałem się z nim w Moskwie, na wystawie. Bałem się w owym czasie spotkań ze znajomymi. Przypominały mi o przeszłości, a przeszłość już nie istniała. Życie rozpadło się na dwie części — p r z e d i p o... Nie szukałem mostu. Majaczyły tam sny młodzieńcze, baśnie, a ja się zbudziłem, nie dośniłem cudownych snów i nie chciałem ich już oglądać... Przepraszam. Mówiliśmy o Miszy, nie o mnie. Zapomniałem się i zboczyłem z tematu. Otóż pewnego dnia wstąpiłem na wystawę obrazów. Bądź co bądź sztuki plastyczne nie są

dla mnie obcą dziedziną. Nazwisko malarza nic mi nie mówiło...

— Jak to?

— Misza zmienił nazwisko. On także unikał kontaktów ze starymi znajomymi. Ale ja rozpoznałem jeden pejzaż — mglisty dzień na północy w niemal zupełnie zgaszonych barwach. Nie rzucał się w oczy, zwiedzający nie zatrzymywali się przed nim, lecz ja .widziałem tę tundrę w innej oprawie... I zapragnąłem spojrzeć na autora. Rozumie pan, tu rzecz nie na tym polega, że go złapałem za rękaw waciaka, gdy chciał się targnąć na swoje życie. Nie dlatego ucieszył się ze spotkania. Dziwne, tak tylko w życiu może się zdarzyć. Kiedyś, jeszcze przed aresztowaniem, byłem przypadkowo w szkole, do której chodził Misza, widziałem jego rysunki. Utkwiły mi w pamięci. I później, „tam”, powiedziałem mu, że rozmyślałem o jego rysunkach, a głównie o tym, jak człowiek powinien żyć, chronić siebie, jeśli został naznaczony, jeśli płonie w nim iskra prawdziwego talentu. Mówiłem to, co tysiące razy powtarzałem sobie, i nie mogłem uwierzyć, zabrakło mi bowiem prawdziwego talentu, jak i wielu innych rzeczy, nie byłem naznaczony. A on był! I uwierzył — i przetrwał. Jako artysta przetrwał, rozumie pan? Za to właśnie mnie cenił. Bo za rękaw mógł go równie dobrze złapać strażnik: „Hola, chłopie! Nie wolno ci swoim życiem rozporządzać!” A mnie potem lżej było żyć. Nie na próżno przecież istniałem, nie bez pożytku mimo wszystko...

Mazin rozumiał, że Kusznariewa trudno powstrzymać i że popełnia okrucieństwo przerywając mu te zwierzenia, musiał jednak przemyśleć nowe fakty, znaleźć związek między nimi.

— Aleksieju Fomiczu, czy pańskim zdaniem Kaługin

ukrywał przeszłość wyłącznie ze względów moralnych, osobistych, a nie z praktycznych?

— Praktycznych?

— Studiował przecież, wyjeżdżał za granicę, wypełniał ankiety, pisał życiorys... Czy i tam zatajał...

Kusznariew siedział pod ścianą. Poza kręgiem przyćmionego światła, odgraniczzonego abażurem.

— Otóż to! Już się pan dobrał, dogrzebał! Dlaczego pan nie jest zdolny myśleć inaczej, jak tylko w kategoriach kodeksu karnego? Dlaczego pan nie wierzy, że człowiek może sam siebie i potępić i uniewinnić?

— Tak postąpił Kaługin?

— Nie pytałem. Nie interesowało mnie to, ponieważ wiedziałem, że postąpił słusznie. Przestał istnieć chłopaczek trzęsący się na rogu, gdy jego koleżkowie wyłamywali zamek. Tamtego trzeba było ukarać za to, że nie myślał, mając głowę na karku nie zastanowił się, co czyni. To był głuptas, a nie człowiek w pełnym słowa znaczeniu, nie indywidualność. Michał Kaługin natomiast nie podlega już formalnościom. Zapłacił długi, zasłużył sobie na dobre imię. Jako człowiek, jako artysta. Sumienie było mu sędzią. I błahe drobiazgi nie odgrywają tu żadnej roli.

— Odgrywają — zaprzeczył Mazin. — Wygląda na to, że Kaługin zmienił nazwisko nielegalnie i ukrywał przeszłość świadomie, a nie po prostu nie lubił o niej mówić.

— Krwią przelaną na froncie zasłużył sobie... swoim talentem...

— Aleksiej Fomiczu, niech pan postara się mnie zrozumieć! Pański przyjaciel rzeczywiście nie podlega już formalnościom. I nie o to mi chodzi, by oczerniać pamięć niezującego człowieka. Jego postępowanie interesuje mnie z całkiem innego punktu widzenia. W jakim stopniu zaszkodziło ono

jemu samemu? Czy podpisując się po raz pierwszy cudzym nazwiskiem, nie podpisał tym samym wyroku śmierci na siebie?

Kusznariew przysunął się bliżej lampy.

— Więc w tym kierunku pan poszedł?

— Posuwam się omackiem, punkty orientacyjne we mgle. A tu jeszcze ten samolot... Nie mogę go oddzielić od śmierci Kaługina. I połączyć nie mogę. Nie widzę w tej śmierci logiki. Przypuśćmy, że znalazł się łajdak i postanowił dorobić się na przeszłości Kaługina. Ale w takim przypadku Kaługin powinien zabić szantażystę, a nie na odwrót! Z tego wynika, że to nie Michał Michajłowicz się bał, lecz właśnie on komuś zawadzał. Tu jest główna sprzeczność! I panu przychodziła ta myśl do głowy, gdy miotał się pan w rozterce, czy powiedzieć mi prawdę o Kaługinie. To pana gnębiło najbardziej — czy Kaługin był ofiarą? Zamordowano go niktzemnie, czy istniał jakiś powód? Ogarnęło pana zwątpienie, posądził go pan nawet o nieszczerłość wobec siebie...

— Nie ma już we mnie wątpliwości.

— Ale były! I wynikały z postępuku, który pan teraz usprawiedliwił i stara się przekonać mnie (a może siebie?), że Kaługin miał prawo przywłaszczyć sobie cudze dokumenty. Czyje? Wszystkie dokumenty do kogoś należą. Gdzież jest właściciel tych? Kaługin drugi? A raczej Kaługin pierwszy?

— Nie mam pojęcia. I nie chcę myśleć nic złego.

— Ja również. Nie przypomina pan sobie czegoś więcej?

— Jest pewien punkt zaczepienia, ale słabiutki. Michał zamierzał owego dnia porozmawiać z Walerym.

— O czym?

— Gdybym to wiedział! Zajrzałem do niego, ale mnie

przeprosił: „Zaczekaj, Aleksy, muszę pogadać z synem”. — „Nauczyć go rozumu?” — „Ach nie, gorzej”. Nie wyjaśniał, o co chodzi, a ja nie mogłem się dopytywać, to chyba zrozumiałe.

„Tę właśnie rozmowę przerwał Sosnowski. Ale i on chciał porozmawiać z Kaługinem. Nie zdążył. A potem było za późno”.

— To jest bardzo ważny punkt zaczepienia, Aleksieju Fomiczu. Kaługin zamierzał porozmawiać z dwiema osobami. Z człowiekiem bardzo bliskim i zupełnie obcym, ale posiadającym dużą wiedzę prawniczą. Chciał naradzić się z Borysem Michajłowiczem. I z synem. Znamienne zestawienie. Załóżmy, że postanowił zwierzyć się im obu. Taką decyzję można wytłumaczyć tylko w ten sposób, że groziło mu coś gorszego niż zdemaskowanie przeszłości. Kaługin wiedział o tej groźbie! A leteo zdążył powiedzieć Waleremu?

„Mógł wymienić nazwisko przypuszczalnego mordercy, człowieka, który był zainteresowany tajemnicą Kaługina bardziej, niż on sam. Ale jeśli wersja ta jest słuszna, musi to być ktoś starszy, rówieśnik z dawnych lat. Jest takich dwóch — Kuszniariew i Demianycz”. Kuszniariewowi jednak wierzę. A Demianycz przecież nie znał dawniej Kaługina, w dodatku ten drugi zamach w pewnym sensie go wyklucza. Jeżeli Walery coś wie, to jak wytłumaczyć jego zachowanie? Dlaczego milczy? Czeka na milicję? A może nic nie wie? Może to wcale nie ktoś starszy jest w to zamieszany? Mało to różnych powiązań, wzajemnych zależności, następstw jest tu możliwych?”

— Chodźmy do Walerego, Aleksieju Fomiczu! Kuszniariew roześmiał się cicho.

— Inaczej sobie pana wyobrażałem, Igorze Nikołajewiczu.



Logicznego racjonalistę, nie ulegającego porywom.

— Rozczarował się pan? Ach, pamiętam, pan jest zwoleńnikiem prawdy nadrzędnej — po upływie stu lat. Nie uznaje pan pośpiechu.

— Proszę się nie obrażać, to jeszcze młodość przez pana przemawia. Niech pan idzie do Walerego, spróbuje coś zdiagnozować. Wierzę w pańskie poczucie sprawiedliwości. Ja nie mam chęci iść z panem. Po co? Żeby coś z niego wyciągać, jeśli odmówi? Pan i beze mnie da sobie z nim radę. Nawet lepiej, ponieważ to nieszczęście wszystkich poruszyło, staliśmy się podejrzliwi. Walery też jest wściekły. Czuję to. Powiedziałem panu wszystko, co miałem do powiedzenia. Nie jestem już potrzebny. I gdyby wyszło na jaw coś złego, odczułbym to bardzo boleśnie. Michał jest mi drogi, Igorze Nikołajewiczu. Pomogłem mu utrzymać się na nogach i widzę w tym swoją zasługę. Więc niech pan mi jej nie odbiera.

— Dobrze. Pójdę sam.

Pamiętał, gdzie znajduje się pokój Walerego, choć nie był tam dotychczas, i bez trudu zorientował się w ciemnym korytarzu. Namacał klamkę i poruszył ją kilka razy. Nikt się nie odezwał. Wówczas nacisnął ją i stwierdził, że drzwi są zamknięte. Albo Walery nie życzył sobie nikogo wpuszczać, albo był nieobecny. Kusznariew stał na progu swego pokoju i patrzył w stronę Mazina.

— Nikt nie odpowiada?

— Nie. Może jest w chacie.

— Pójdzie pan tam?

— Chyba tak.

— Idę z panem.

Mazin spojrział ze zdziwieniem na architekta pospiesznie wkładającego beret.

W pokoju wydawało się, że na dworze jest jeszcze widno, a w rzeczywistości dawno zapadła noc. Śnieg przestał padać, wiatr przegnał ostatnie chmury i księżyc kryjący się dotąd w górach zawisł nad wąwozem wielki, okrągły niby dojrzała pomarańcza, która lada chwila spadnie z chylącej się ku ziemi, obciążonej gałęzi.

— Ileż marnującego się piękna — rzekł rozglądając się Kuszniariew.

Cały horyzont nad zębatą ścianą gór jarzył się chłodnym księżycowym płomieniem. Natomiast przeciwnie skąpy, odbijające potok tego fantastycznego, malowniczego blasku, przyprószone ścietym na kilka godzin nocnych, chrupkim i delikatnym śniegiem, odcinały plamą bieli zupełnie odmienną połąć nieba. Nie dopuszczając tam światła, zawracały całą tę ogromną powódź w dolinę. Niebo po tej stronie było bardziej jednolite i głębsze. Wysoko, zawstydzone własną znikomością w obliczu tak potężnego, przepojonego energią źródła blasku, migotały małe jak bryłki lodu gwiazdy. Oczom nie chciało się wierzyć, że ten kolorowy impresjonistyczny cud powstał w tym samym miejscu, gdzie przed kilkoma godzinami zalegała tylko spęczniała od wilgoci szara mgła.

Po błękitnawym skrzypiącym śniegu szło się lekko i szybko. Mazin pierwszy spostrzegł, że drzwi do chaty są otwarte. „Czyżby mu było gorąco? Pewnie za bardzo napalił. Nie widać jednak dymu nad kominem”.

— Walery! — zawołał.

Nikt nie odpowiedział. Kuszniariew rozglądał się dokoła, a Mazin wszedł do środka.

Izba była pusta. Piec wygasł chyba niedawno. Czuć było wyraźną woń czadu, mimo że szyber był wysunięty do końca. Na łóżku tak jak przedtem panował nieład, poduszka była

zmięta, pled byle jak rzucony. Tylko stłuczoną szybę zdążył ktoś zastąpić przybitym do ramy kawałkiem dykty. Mazin przeniósł wzrok na stół i zobaczył butelkę wódki. Obok stały dwie plastikowe szklaneczki, nie było jednak zakąski. Nie zaczęto jeszcze pić. Naftowa lampa paliła się słabym płomykiem.

— Następna zagadka — rzekł rozkładając ręce. — Gdzie jest Walery?

— Trzeba zajrzeć do Maryny Wiktorowny.

— Chyba. Ale dlaczego on nie zgasił lampy?

— Roztargnienie, nerwy, wpływ alkoholu.

— Powiedzmy, jakkolwiek butelka jest pełna. Ciekawe, z kim zamierzał ją opróżnić.

Przesunął stojące na stole szklaneczki.

— Widział pan kiedy u Kaługina taką prymitywną zastawę?

— Nie, nigdy.

— Typowa masówka. Wymarzona dla tych, którzy lubią dzielić buteleczkę na trzy chuchy, Może Walery zaprosił gościa i skoczył na róg po kiełbasę. Nie szokuje pana mój humor, Aleksieju Fomiczu? Zbyt długo rozmawialiśmy poważnie.

— Jeśli pan pozwoli, wyjdę na dwór. Tu jest pełno czadu.

Prawdę mówiąc, to i Mazin nie miał po co zostawać w chacie. Nie będzie przecież czekał na gościa. Lepiej poszukać gospodarza. Koło pieca stało wiadro ze szczapami na podpałkę. Na wierzchu leżała jeszcze jedna butelka, ale ta była pusta. Wziął ją za szyjkę i podniósł do nosa. Mimo kataru pomyłka była raczej wykluczona. Niedawno ktoś z niej pił. Mazin nie zdążył zastanowić się nad tym nowym elementem, usłyszał bowiem wołanie Kuszarniewa:

— Igorze Nikołajewiczu! Proszę tu do mnie...

— Idę, Aleksiej u Fomiczu!

Po pełnych napięcia, męczących rozmowach, obaj starali się szczególnie podkreślać wzajemną uprzejmość.

— Niech pan się przyjrzy!

Kusznariew wyciągnął rękę w kierunku rzeki. Na wąskim pasie łąki widniały ślady stóp prowadzące od chaty nad sam brzeg.

— A to odkrycie!— wykrzyknął Mazin.

— Wydaje się panu ciekawe? — spytał z powątpiewaniem architekt.

W samych śladach nie było nic sensacyjnego, ani kropel krwi obok, ani oznak, że właściciel ryflowanych podeszew włókł jakiś podejrzany przedmiot. Mazina zdumiał ich kierunek. Nie prowadziły ku ścieżce ani obok jeziorka w stronę drogi, lecz prosto tam, gdzie łąka kończyła się wysokim, nadrzecznym urwiskiem. Igor Nikołajewicz ruszył naprzód starając się nie zatrzeć śladów. Daleki był od pochopnych wniosków, ale czuł, jak budzi się w nim niepokój, czmera głęboko w piersi. Zatrzymał się nad skarpą. Siady urywały się, jakby człowiek nagle poszybował w powietrzu. Poszybować jednak nie mógł, mógł tylko spaść.

Mazin schylił się nad urwiskiem. W dole płynęła woda, pieniała się wpadając na wygięty półkolisty brzeg, skręcała i biegła przez las, wąwozem w dół. Nie kotłowała się, było jej znacznie mniej niż z rana, ale teraz, nocą, ciemny nurt wyglądał odstręczająco, wiało od niego grozą. Mazin zbadał wzrokiem brzeg metr po metrze. Nie dostrzegł nic oprócz wody i kamieni.

Nadszedł Kusznariew.

— Gdzież on się podział?

— Zaczynają mnie ogarniać ponure myśli. Nigdzie nie ma śladów powrotnych kroków.

— Szalony chłopak!

Sosnowski też uważał, że Walery jest zdolny do czynów desperackich. Jeżeli obaj mają rację, to trzeba szukać zwłok. Zwłok sparaliżowanego strachem, złamanego mordercy, który pozbawił się życia? Czy zwłok kolejnej ofiary?

— Musimy zejść nad wodę i tam poszukać.

— Nie za wcześnie pan go pochował, Igorze Nikołajewiczu? To młody człowiek, pełen sił. Zdziorny, nie melancholik. Tacy raczej nie są skłonni do samobójstwa.

Słowa Kusznariewa nie były pozbawione logiki. Wina Walerego nie została dowiedziona i samobójstwo jest wyłącznie hipotezą.

— Tak czy owak nie udałoby mu się przejść przez rzekę suchą nogą.

Mazin jeszcze raz objął wzrokiem „pejzaż w świetle księżyca”. Na drugim planie coś się zmieniło. Od strony lasu zbliżała się jakaś postać.

— Hej, hej! Igor!

— Borys Michajłowicz — zawołał Kusznariew.

— Szukam cię po całym osiedlu — rzekł zdyszany Sosnowski.

— A my szukamy Walerego.

— Po co?

— Żeby się dowiedzieć, w jaki sposób przekracza górskie rzeki.

Sosnowski wybałuszzył na nich oczy.

— Ależ on w tej chwili nie jest w stanie przekroczyć własnego łóżka. Spał się jak hipopotam.

— Walery?

— A któż by inny?

- Gdzie on jest?
- W domu. W sypialni.
- Jesteś pewny?
- No chyba. Obrzucił mnie stekiem wymysłów...
- To przekonujące — zauważył Kuszniariew.
- Bardziej realne niż mistyka ze śladami — przyznał z ulgą Mazin.
- Jakimi śladami?
- Widzisz? Utknęły na urwisku. A my — na nich. Co o tym powiesz?
- Nad samą wodą nie ma śniegu. Zszedł na dół i wrócił brzegiem.
- Proste jak jajko Kolumba. Aczkolwiek złączyć urwiskiem cholernie trudno i zresztą po kiego licha?
- Spytaj sam tego wariata. Ja nie chcę go na oczy oglądać.
- Tak cię zwymyślał?
- Powiedzmy...
- Przez zamknięte drzwi?
- Igorze, nie poddawaj się hipnozie księżycy. Widziałem go, mogłem nawet dotknąć, ale zanadto jechało od niego siwuchą. Tak się chłop napompował alkoholem, że niebezpiecznie zapalić przy nim papierosa. Nic, tylko wywieszać tabliczkę z napisem „No smoking”.
- Dlaczego wyszedł z chaty? Był tam niedawno.
- Wiem. Mówił mi.
- Co mówił?
- Dokładnie nie potrafię zacytować, ale, wyjąwszy niecenzuralne słówka, mniej więcej tak: wynoś się, prokuratorze, jestem zły jak pies i zalany w pestkę. Gotów bronić swej samotności nie cofając się nawet przed użyciem siły fizycznej. W chacie mi... Nie pamiętam dokładnie, co dalej... Coś

mu się nie podobało. Dlatego wrócił do domu i żadna siła nie wyciągnie go z sypialni.

— Jasne. Nie uda się z nim pogadać. Zostajemy w punkcie zamarzania. Dlaczego mnie szukałeś?

— Jeszcze się pytasz? Przepadłeś jak kamień w wodzie. Niepokoilem się o ciebie.

— Wzruszasz mnie, stary. Proponuję wracać trasą Wale-rego. Chodźmy brzegiem rzeki.

Nie był to żaden manewr ze strony Mazina. Nie wiedział, co zobaczą za ledwie o sto metrów od miejsca, gdzie urywały się ślady i nawet do głowy mu nie przyszło, kogo tam zobaczą.

Na płyciźnie pod urwiskiem, w pozycji szykującego się do startu biegacza, leżał człowiek. Głowa jego spoczywała w rzece, czapkę uniósł prąd, prawie uspokojona fala omywała łysiejącą czaszkę. Zgięta noga w nowym gumowym bucie lśniła w świetle księżyca, druga noga tylko w grubej skarpecie zaczepiała o wystający z piasku kamień.

Sekundę lub może minutę trwało głębokie milczenie.

— Demianycz? — zapytał Sosnowski.

Mazin spuścił się po śliskim zboczku, czepiając się sterczących korzeni, mokrych i zimnych. Nie zmarznięta glina, zdradziecko umykała spod nóg, udało mu się jednak zejść bez upadku. Podszedł do trupa i zajrzał mu w twarz. Na przybrzeżnej mieliźnie leżał martwy pasiecznik.

W chwilę później sturlał się Borys i stanął obok Mazina otrzepując z kolan grudy błota.

— Straszne.... Kto go tutaj?... Jak?...

Mazin nie odpowiedział. Wszystko, co z takim mozołem wyluskiwał z chaosu nie kojarzących się z sobą faktów, okazało się niepotrzebne, błędne. Doznawał uczuć człowieka zwalonego z nóg potężnym ciosem, mimo że stał i na pozór

spokojnie patrzył na oblane zimnym, szyderczym blaskiem zwłoki, przypominające przewróconą rzeźbę sportowca w rodzaju tych, jakie z upodobaniem stawiano w parkach kultury dwadzieścia lub trzydzieści lat temu.

„Zalóżmy, że przyszedł do chaty zobaczyć się z Walerym. Nie zastał go... Poszedł i rzucił się do rzeki? Absurd. Rzucić się do rzeki mógł każdy, tylko nie Demianycz. I rzucić do rzeki mogli każdego, tylko nie Demianycza! Tak przecież sądziłeś. A teraz, proszę — spojrzysz. Oto leży na piasku. Martwy!”

Nabrał głęboko powietrza w płuca. Trzeba się pozbierać, otrząsnąć z nokautu. Raz! Dwa!... Pięć... Siedem... Wstawać!

— Zdejmij mu but, Borysie. Musimy przede wszystkim zidentyfikować ślady. Znikną wraz ze śniegiem, jak tylko pokaże się słońce. A trup zostanie na miejscu. Woda opada, zresztą i tak bez ekspertyzy niczego się nie dowiemy. Nacieki mogły powstać od uderzeń o kamienie, niosło go z prądem.

Na bladej, skostniałej w lodowatej wodzie twarzy widniały sine plamy. Taki sam ślad był również widoczny na karku, ale co spowodowało zgon — uderzenia czymś tępym, przedostanie się wody do płuc, jedno i drugie razem czy może jeszcze coś trzeciego — mogła ustalić jedynie ekspertyza, wszelkie domysły były stratą czasu. Należało zająć się konkretami.

Sosnowski schylił się i pociągnął za obcas. Poczul, że but lekko zsuwa się z nogi. Odwrócił go i wylał wodę. Wyjaśniło się, czemu tylko jedna noga była obuta.

— Drugi but zmyło. Są przynajmniej o dwa numery za duże.



— Widzę. Nieudany prezent. Stary od razu to spostrzegł i nie chciał wkładać przy tobie. Pamiętasz?

— To świadczy o jego delikatności.

Weszli z powrotem na łąkę. Na niebie ukazały się lekkie przejrzyste chmurki. Wiatr pędził je w stronę tarczy księżyca, równocześnie jednak księżyc sam jak gdyby zaczął się spieszyć, przedzierając się przez nie i roztrącając, aby skryć się za najbliższą górą.

Mazin wybrał jeden szczególnie wyraźny odcisk i przyłożył do niego but zaczynając od czubka. Podeszwa równo legła w zagłębieniu. Przycisnął mocniej but do ziemi, potem odjął. Odcisk nie był ani trochę zdeformowany. Wszystkie wyłobienia pasowały idealnie.

— Jak w aptece — ucieszył się Borys. — To on szedł od chaty w stronę urwiska.

Kusznariew stał ze skrzyżowanymi na piersiach rękami i przyglądał się ich czynnościom.

— A co dalej?

— Dalej znalazł się w rzece.

— Otóż właśnie — znalazł się.

— Przyczyna śmierci zostanie ustalona, ja na razie przyjmuję hipotezę samobójstwa. On szedł sam.

— Demianycz jeszcze mniej niż Walery wyglądał na człowieka o skłonnościach samobójczych — powiedział Mazin, któremu powoli wracał zdrowy rozsądek i logika myślenia.

— Ale widzisz...

— Widzę jedno. Jeśli mamy tu do czynienia z samobójstwem, to ono dziwnie przypomina dziewiętnastowieczny dramat miłosny.

— Także coś!

— Popatrz tylko. „Hrabina z twarzą zmienioną biegnie

nad staw”. Weź pod uwagę wzrost Demianycza i porównaj ze śladami. To przecież ślady stóp biegnącego człowieka! Bardzo charakterystyczny nacisk na palce.

— Spróbujmy znaleźć przyczynę?

— Zalany w trupa nie wiedział, co robi?

— Do ust nie brał wódki, nawet w czasie świąt.

— I w chacie została pełna butelka. Widocznie pił tylko Walery. Drugi wariant — zwariował. Nagła utrata zmysłów.

— Teoretycznie nie wykluczone. Ale dlaczego? Przyznaj się, przychodziło ci na myśl, że Demianycz jest mordercą?

— Owszem — przyznał krótko Mazin.

— Ale odrzuciłeś taką możliwość? On nie wygląda na mordercę.

— Na oszalałą z miłości hrabinę jeszcze mniej.

— Masz ćwieka z tą hrabiną! Jeżeli nie samobójstwo, to jak został zabity? Ktoś zawołał go z brzegu, stary pobiegł tam i dostał kamieniem w łeb.

— Nie i jeszcze raz nie! Jakim cudem morderca mógł dotrzeć na brzeg nie zostawiając śladów? Jak musiałyby krzyczeć, by usłyszano go w chacie! Skąd wiedział, że stary jest sam?

— Nie pomyśleliśmy o nieszczęśliwym wypadku.

— Radziłbym panom pomyśleć o wypoczynku — wmie-szał się Kuszniariew. — Nie lekceważcie starej mądrości ludowej. Najlepsze myśli przychodzą z rana.

— A zbłądzić najłatwiej w nocy — zgodził się Mazin.

— Co potwierdza statystyka przestępstw — dodał Borys.

— Kolektyw zawsze ma rację. Fajrant do świtu?

— Ja chyba tu zostanę — rzekł Mazin.

— Tu?!

— Prześpię się w chacie. Pomyślę.

— Zamknij się przynajmniej.

Igor Nikołajewicz pomachał im ręką. Księżyc zaszedł, zrobiło się ciemniej i dwie sylwetki szybko zatarły się na tle lasu i gór. Pozostał sam. Tylko tego właściwie pragnął, ponieważ w dalszym ciągu żadna konstruktywna koncepcja nie przychodziła mu do głowy. Dwóch ludzi toczyło w nim walkę. Jeden zmęczony, w nie najlepszym nastroju po doznanej porażce, marzący o odpoczynku... Ambicja drugiego nie mogła się pogodzić z klęską. A może nie tyle ambicja, ile instykt zawodowy, który podszeptował mu, że zwycięstwo nierzadko przychodzi w najtrudniejszym momencie, że lada chwila złapie drugi oddech i w nieznośnym, absurdalnym chaosie dojrzy zarysy jedynej możliwej konstrukcji. Ale gdzie jest ten punkt krytyczny?

Trzeba się położyć, uspokoić, zebrać myśli lub ostatecznie — zasnąć. Tymczasem zamiast tego ruszył z powrotem nad rzekę.

Trup Demianycza, chudego, niepozornego człowieczka ze skłonnościami do domorosłej filozofii, w mokrych skarpetach z dziurami na piętach leżał teraz w odległości pół metra od wody. Rzeka nie mogła już i nawet nie próbowała dosięgnąć pasiecznika, odstępując go całkowicie ludziom i prawu. Mazin zwrócił uwagę na jego kurczowo zaciśnięte pięści. Jedną zaślaniała poła rozpiętej kurtki. Uniósł ją i spostrzegł między zgiętymi palcami kawałek białej tkaniny. Była to ta sama poplamiona farbami chustka Michała Kaługina, którą Mazin przez nieuwagę zabrał z chaty i wieczorem zwrócił Waleremu.

„Gdybym był przesądny, powinienem natychmiast wyrzucić tę szmatę. To nie chusteczka, lecz sztafeta śmierci! Kaługin wycierał nią farby, ja po oddanym do mnie strzale wsunąłem ją do kieszeni, Demianycz ścisnął ją w agonii. Pozostaje

Walery... Co za diabelstwo! Temat dla Szekspira! A może dla mnie? Stop, Igorze! Na dziś wystarczy”.

Tym razem decyzja była nieodwołalna. Spać! Uchylił drzwi do chaty i wstrząsnął nim dreszcz. Z izby ulotniły się resztki ciepła. Zapalił lampę i przykucnął pod piecem. Rozpalenie ognia nie nastęczało trudności. Drzazgi i drwa były zawnazsu przygotowane.

„Mogą, oczywiście, wyjść na jaw jeszcze różne interesujące rzeczy. Jeśli milicja z całą swoją aparaturą przyjedzie jutro i obejrzy chatę przy świetle dziennym, a nie przy tej mrugającej kopcilce, w której dopalają się ostatnie krople nafty, to...”

Aparatura okazała się niepotrzebna. Jak również światło dzienne. Między szczapami, tuż pod popielnikiem, leżała papierośnica. Stara, pusta, z pękniętą sprężyną. Gdy Mazin podniósł ją, otworzyła mu się w ręce. Była niedawno czyszczona, jednak w zagłębieniach pozostał ciemny nalot, jaki tworzy się wskutek długiego leżenia w wilgotnym miejscu. Na srebrnej matowej powierzchni Igor Nikołajewicz przeczytał napis:

*Kostia! Czekam wiernie!  
Najmilsze miasto czule cię powita  
I dom znajomy, i wzrok kochający!*

*Twoja Klaudia 14.X.39 .*

Nieco niżej wydrapane były litery i cyfry. Czynność tę powtarzano kilka razy. Widocznie piszący chciał je pogłębić, nadać im wyraźny kształt.

„W — 137 NNO  
KS — 54 SSO”

Mazin zamknął papierošnicę. Cyfry mogły oznaczać stopnie, o ile „NNO” oznacza „nord-nord-ost”, a „SSO” — „Süd-süd-ost”. Ale co to jest W i SK? Wódka i stary koniak? Uśmiechnął się przytulając głowę do poduszki.

## 5. TĘCZA

Śniła mu się wojna i coraz głośniejszy terkot karabinów maszynowych. Terkot wzrastał się przechodząc w huk dział i motorów. „Już!” — pomyślał Mazin gotując się do ataku i otworzył oczy. Leżał w ubraniu na łóżku, piec dawno wygasł, w izbie panował chłód, za to przez okno wdzierał się oślepiający potok obmytego deszczem porannego słońca. Nad wąwozem nie było ani jednej chmurki, szczyty gór dumnie iskrzyły się na tle błękitu, a w pobliżu chaty buczała zielona metalowa wałka, wymachując świszczącym śmigłem niby Tatarzyn szablą. Wreszcie śmigłowiec podskoczył niezgrabnie i zaczął się zniżać kierując się ku łące, na której zamiast śniegu znów zieleniała mokra trawa. Drzwi się otwały, ukazał się w nich nieznajomy mężczyzna w skórzanej kurtce, a za nim oficer milicji w wysokiej czapce.

— Igor Nikołajewicz! — wykrzyknął z radosnym zdziwieniem i podbiegł do Mazina.

— Wołokow! Dmitrij Iwanowicz! To naprawdę ty? Jak się masz, mój drogi!

— Bardzo się cieszę, towarzyszu...

— Podpułkownik — dokończył za niego Mazin. — Po dawnemu oczko wyżej. Nie spodziewałem się, że spotkam tu ciebie.

— Dzwonili do nas, do Trigorska, z rejonu. Kaługin to znana osobistość, poza tym nie mają śmigłowca. Przedstawię wam kolegów... Kapitan z oddziału rejonowego. A to jest Gleb, nasz medyk. Pamiętacie, jak chwytałyśmy „pajaka”?...

Mazin uściśnił dłonie przybyłych.

— Zakłóciłem wasz uzdrowiskowy tryb życia. Nawet przestępcy przyjeżdżają do was na kurację, popijają narzan, nie pracują. No trudno, będziecie mieli małą rozgrzewkę.

— Po was?

— Po mnie. Przyznaję ze skruchą, że próbowałem rozgryźć ten orzeszek i nadłamałem zęby. Sytuacja, majorze, jest poważna. Zanim przyjechaliście, nastąpiło drugie morderstwo. Przypuszczalne morderstwo, bowiem niewykluczone są i inne możliwości.

Wołokow gwizdnął z cicha.

— O drugim ta młoda osoba nie wspominała.

Mazin dopiero teraz spostrzegł nauczycielkę. Stała nie opodal w sportowej kurtce i spodniach.

— Halinka! Skąd pani tutaj?

— Wyszłam w nocy. Jak trochę podmarzło. Noc jasna.

— Do rejonu dotarła nad ranem — potwierdził major. — Zadzwonili do nas, zabraliśmy ich po drodze i jesteśmy wszyscy w komplecie.

— A gdzie Matwiej?

— Tatko jest w domu — odpowiedział Kola.

Nadbiegł przed chwilą i z zachwytem oglądał śmigłowiec.

— Ładny myśliwiec!

— Kogo jeszcze zamordowano, Igorze Nikołajewiczu?

— Chciałbym złożyć oficjalne oświadczenie. Ale nie przy osobach postronnych.

Słowa te padły nie z ust Mazina, lecz Olega. Podeszedł do rozmawiających zadyszany.

Wołokow spojrzał na Mazina, a ten zaproponował:

— Może w domku, proszę bardzo.

— Wy, oczywiście, z nami?

— Jeśli Oleg nie ma nic przeciwko temu.

— Nie mam. Doktor jest częściowo zorientowany. Niech będzie świadkiem.

— Jaki doktor? — nie zrozumiał major. — Nie jestem lekarzem, Oleg.

— Tym lepiej.

Mazin przepuścił naprzód Wołokowa i Olega, a sam zatrzymał się chwilę, by przedstawić kapitanowi Sosnowskiego, który właśnie nadszedł.

— Borys, bądź łaskaw wskazać miejsce, gdzie leży Demianycz.

Gdy wrócił do chaty, Oleg siedział bębniąc palcami w stół. Minę miał zdecydowaną, widać było, że jest pewny swojej racji.

— Będę mówił krótko, to, co najważniejsze.

— A dlaczego? — odparł Wołokow. — Proszę mówić o wszystkim, co pana trapi. A my z Igorem Nikołajewiczem sami wybierzemy najważniejsze.

— Nic mnie nie trapi. Jestem dziennikarzem. Nazywam się Pieriewozczikow. Ale to nie moje nazwisko. Jest to nazwisko kobiety, która uratowała mnie w czasie wojny. Miałem



zaledwie kilka miesięcy, gdy moją matkę ewakuowano z Leningradu. Umarła w drodze, a ja zostałem u tej wiejskiej kobiety, którą bardzo szanuję i kocham. Uratowała mnie, ale jej samej było nad wyraz ciężko. Znalazłem się w domu dziecka, ukończyłem szkołę, otrzymałem wykształcenie.

Pragnąłem koniecznie dowiedzieć się czegoś o mojej rodzinie. Dokumenty jednak zaginęły, Pieriewozczikowa pamiętała tylko, że pochodzimy z Leningradu, że mama miała na imię Tasia, a ojciec był lotnikiem. Mama mówiła, że zginął i nazywała go Konstantym.

— Konstantym? — przerwał Mazin. — A jakie było imię matki?

— Tasia. Zapewne Anastazja.

— Dziękuję. Proszę mówić dalej.

Wszedł Sosnowski i usiadł w kącie.

— Była to oczywiście sprawa niesłychanie trudna. Tysiące ludzi w Leningradzie nosi takie imiona. Drugą niewiadomą był wiek moich rodziców. Mama mogła równie dobrze mieć lat dwadzieścia, jak i ponad trzydzieści. Wygląd zewnętrzny o niczym nie świadczył, przeżyła wszakże blokadę! Z ojcem jeszcze bardziej skomplikowana historia. Dwadzieścia pięć czy czterdzieści lat? Lejtnant czy pułkownik?

Szukałem bardzo długo. Zacząłem nawet pracować w gazecie lotniczej, aby nawiązać kontakt z lotnikami. Wielu spośród nich walczyło na froncie, mieli również przyjaciół, byłych pilotów. Pytałem, czy ktoś nie znał lotnika o imieniu Konstanty, który zginął na początku wojny i pozostawił w Leningradzie żonę oraz malutkiego synka. Pewnego razu dowódca naszej grupy lotniczej powiedział do mnie: „Słuchaj, Oleg, trudno tu coś twierdzić na pewno, ale mam

przyjaciela w Batumi... Byłem u niego latem, wspominaliśmy dawne czasy. Opowiedziałem i twoją historię. A że to straszna gorączka, od razu machnął rękami i krzyczy: „Waj! Przecież to Kostia Kaługin, mój najlepszy kolega!”

— Kaługin?

Nazwisko wywarło wrażenie, lecz Oleg natychmiast wyjaśnił:

— Mój ojciec nie miał nic wspólnego z Michałem Michajłowiczem. Po prostu to samo nazwisko.

— I lotnik Kaługin rzeczywiście był pańskim ojcem?

Oleg wyczuł w jego głosie niedowierzanie.

— Jestem tego pewny.

— Nie zamierzamy przeczyć. Proszę mówić dalej.

— Teraz do sedna sprawy. Gdy zacząłem wypytywać dowódcę o ojca, zawahał się. „Zabierz się którymś samolotem do Batumi — powiedział. — Czaniuszwiłi wie lepiej”.

Poleciałem natychmiast. Znalazłem Czaniuszwiłego. Jest pułkownikiem rezerwy, przyjął mnie serdecznie. Uściskał powtarzając: „Wykapany ojciec! Od razu widać, że syn Kostii!” Z opowiadaniem się jednak nie kwapił. „Odpocznij sobie, wykąp się w morzu, skosztuj naszego gruzińskiego wina. Dokąd się spieszysz, mój drogi!” Napiliśmy się i wtedy zaczął: „Twój ojciec to był prawdziwy człowiek. Wspólnie z nim jeszcze na Chałchin-Gole z samurajów darliśmy pasy. On dostał Order Czerwonego Sztandaru, ja również. Dlatego też, proszę cię, wierz w swojego ojca, jak my wierzyliśmy, jego przyjaciele. Bywają nieszczęścia gorsze niż śmierć na polu walki...”

Oleg umilkł zbierając myśli.

— Na czym polegało to nieszczęście?

— Ojca mojego oszkalowano. Jego pamięć. Jesienią czterdziestego pierwszego roku, podczas najcięższych walk,

otrzymał nagle rozkaz natychmiastowego lotu na południe z tajnym ładunkiem. Przed startem Czaniszwili widział go po raz ostatni. Ojciec oburzał się, że jest lotnikiem bojowym, a zatrudniają go w charakterze wozaka powietrznego. I co najważniejsze, gdy Czaniszwili spytał go, jaki zabiera ładunek, ojciec odpowiedział: „Nie wiem”.

— I nie wrócił z tego lotu?

— Zaginął. Ostatni radiogram był oznaczony koordynatami tych okolic. Ojciec zgłaszał, że kontynuuje lot, ale ma defekt silnika.

— Przed kilkoma dniami Filipienko znalazł w górach szczątki rozbitego samolotu — wyjaśnił Mazin uważnie słuchającemu Wołokowowi.

— Samolot się rozbił — ciągnął Oleg. — Jednakże wówczas nie zdołano tego ustalić i zaczęto podejrzewać ojca o zdradę. O to, że poleciał do Niemców. Uznano radiogram za fałszywy, za manewr w celu odwrócenia podejrzeń. Wyznaczono komisję, która przesłuchiwała również Czaniszwilego. Powiedział to samo co mnie, że nie wierzy w zdradę ojca. Otrzymał naganę. Argumentowano w ten sposób, że jakoby ojciec uciekł do Niemców nie z pustymi rękami. Czaniszwili zaświadczył, że ojciec nie znał charakteru przesyłki. Odpowiedziano, że mógł się domyślać. Poszukiwania z powietrza nie przyniosły rezultatów. Oficjalnie ojciec znalazł się na liście zaginionych bez wieści, ale na jego pamięci pozostała plama.

— Jakie Czaniszwili miał dowody na to, że zaginiony lotnik był waszym ojcem?

— Nie mógł tego udowodnić. Ale przecież wszystko się zgadza. Pochodził z Leningradu, zostawił żonę z trzymiesięcznym dzieckiem. Czaniszwili pisał do Leningradu. Odpowiedzieli mu, że Kaługina wyjechała w ramach ewakuacji

i na miejsce zameldowania nie powróciła. To był mój ojciec!

— I postanowiliście przywrócić mu dobre imię?

— Postanowiłem odnaleźć samolot. To jedyna możliwość, by raz na zawsze dowieść niewinności ojca.

— Cel został osiągnięty. Gratuluję. Ale jaki istnieje związek między rozbitym samolotem a śmiercią malarza Kaługina?

Igor Nikołajewicz poczuł, że się denerwuje. Jaką odpowiedź usłyszy na pytanie tak go nurtujące, z którym dotychczas nie mógł się uporać?

— Kaługina zabił Matwiej Filipienko. Zabił, by przywłaszczyć sobie złoto znajdujące się w samolocie.

Oleg skończył tę kategoryczną wypowiedź i zdjął okulary, by przetrzeć szkła. Jego oczy krótkowidza utraciły błysk pewności siebie. Teraz bardziej podobał się Mazinowi.

— Złożyliście niezwykle ważne oświadczenie, towarzyszu Pieriewozczikow — rzekł Wołokow oficjalnym tonem. — Czekamy dalszych wyjaśnień.

— Jestem gotów — odpowiedział Oleg nieco wynioślej, niż pragnąłby Mazin. Okulary przywróciły mu wyraz zarozumiałości.

— Skąd ta wiadomość, że w samolocie było złoto?

— Od Czaniszwilego. Słyszał już po wojnie, że wysyłano sojusznikom złoto jako spłatę za dostawy sprzętu wojennego. Przez Kaukaz i Iran.

— I takiego ładunku nie starano się odnaleźć? — zdumiał się Wołokow.

— Jestem przekonany, że poszukiwania były formalnością. Byli pewni, że ojciec uciekł.

Sosnowski pochwycił, wzrok Mazina i mrugnął nieznacznie:

„Popatrz stary, co za historia! Skądże mogliśmy na to wpaść!”

Mazin skinął głową. Ale miał wielką ochotę wziąć Olega za kurtkę i potrząsnąć mocno, żeby mu zleciały te przekłete okulary, przez które chłopak nie widzi dalej niż czubek własnego nosa.

— A wy od razu natrafiliście na właściwy ślad? — pytał major.

— Nad Czerwoną Rzeczkę skierował mnie Michał Michajłowicz. Mówiłem już o tym Igorowi Nikołajewiczowi. Poznaliśmy się przypadkowo. Robił szkice w porcie lotniczym. Zainteresowało mnie jego nazwisko, pomyślałem — a nuż to mój krewny? Okazało się, że nie, ale widocznie zyskałem jego sympatię i napisał do mnie z Moskwy. Mam ten list przy sobie.

Położył na stole kopertę.

Wołokow przeczytał na głos.

„Kochany Olegu!

Dzięki pańskiej protekcji Aeroflot dostarczył mnie do domu w całości i od razu zacząłem żyć normalnie, to znaczy włączyłem się w moskiewski rytm wiecznego pośpiechu, który często przypomina bieg w miejscu. Stołeczny zgiełk mnie rozprasza, w głębi duszy pozostałem prowincjuszem, toteż ledwie zdążywszy rozpakować walizkę, już marzę o ucieczce ze szkicownikiem do mojej chatki. W związku z tym zaświtał mi pewien pomysł. Miło mi będzie, jeśli i panu przypadnie on do gustu.

Pańska historia utkwiała mi głęboko w pamięci. Wiem, że na stu ludzi dziewięćdziesięciu wskutek lenistwa umysłu albo też nadmiernej jego trzeźwości odniesie się do pańskich zamierzeń sceptycznie, lecz ja, stary fantasja, jestem po pańskiej stronie i proponuję rzecz następującą: proszę przyjechać

na urlop do mnie, do Dagezanu! Miejsca w domu dużo, z moimi najbliższymi na pewno pan się zaprzyjaźni, będzie nam weselej, a pan zyska doskonałą bazę do poszukiwań. O ile dobrze zrozumiałem, trasa lotu wiodła gdzieś przez te okolice. Połazi pan po górach, pogada z ludźmi zasiedziały mi tu od lat. Jeżeli się nie uda, nie będzie to przegrana całkowita — góry wzmacniają energię życiową.

Ze swej strony proszę tylko o jedno — żeby pan w żadnym razie nie wspomniał nikomu (nawet moim najbliższym!), iż wiem o pańskich poszukiwaniach. Jestem dość znany, nie znoszę szumu wokół mojej osoby, zwłaszcza w prasie (ze chce pan wybaczyć!). Jeżeli czeka pana sukces — będzie to sukces pański. Tak brzmi mój jedyny warunek. O ile nie wyda się panu uciążliwy, proszę telegraficznie podać dzień przyjazdu. Przygotujemy pokój.

Oczekuję pańskiej zgody

Michał Kaługin”.

List potwierdzał wyznania Olega. Był utrzymany w tonie przyjacielskim i szczerym, odrobinę niedbałym, lecz absolutnie nie wyczuwało się w nim dwuznaczności.

— A jednak, Dmitriju Iwanowiczu — powiedział Mazin — Oleg później odniósł wrażenie...

— Nie! Przeanalizowałem tę sprawę. To pan i Kusznariew podsuwaliście mi... Kaługin nie mógł znać dokładnie miejsca, w którym rozbił się samolot. Przed rozmową ze mną nigdy nie słyszał o tym samolocie.

— On tak twierdził?

— Proszę mnie nie uważać za kretyna. Ja się opieram na faktach. Owszem, Kaługin radził mi szukać nad Czerwoną Rzeczką, ale nie posłałby tam Filipienki, gdyby wiedział o złocie.

— Jakież to do pana podobne! — zawołał Mazin. — Dlaczego pan go o tym nie poinformował?

— Postąpiłem słusznie.

— Otóż to!

— Mam nadzieję, że nie podejrzewa mnie pan o chęć przywłaszczenia sobie złota? Nie mogłem zaufać...

— On jednak zaufał panu. Ofiarował gościnę w swoim domu.

— Towarzyszu majorze — zwrócił się Oleg do Wołokowa — nie znam stanowiska ani rangi Igora Nikołajewicza, dlatego proszę was jako osobę urzędową, abyście umożliwili mi dokończenie wyjaśnień. Nie mam ochoty być gromiony i traktowany jak przestępca. Powtarzam, że nie mogłem zaufać człowiekowi postronnemu, gdy chodziło o sprawę wagi państwowej. Natomiast zaproszenie mnie do willi było sprawą czysto prywatną.

— Dziękuję. Rozumiem. — Mazin poniechał ironii. — Nie chciałem pana obrazić. I nie miałem na myśli nic uwłaczającego. Powziął pan decyzję, że syn zwróci złoto, które — jak uważano — zagarnął ojciec. To pański obowiązek i pańskie prawo?

— Tak. Jest w tym coś złego.

— Odrobina niepotrzebnej próżności, kropla pychy, trochę nieufności do ludzi... Słowem, wszystkiego po trosze, a rezultat smutny.

— Wolno panu myśleć i tak, ale ja jestem innego zdania. Nie poczuwam się do jakiegokolwiek winy.

— Według pana winowajcą jest Filipienko?

— No oczywiście. Kaługin, nie wiedząc, co się znajduje w samolocie, posłał nad jezioro Filipienkę. Chciał mi dopomóc w poszukiwaniach, chciał zbadać dokładnie teren bez

pozostawiania „białych plam”. Strażnik odnalazł samolot, lecz ani słowem nie wspomniał o złocie.

— I sądzi pan, że je przywłaszczył?

— A cóż pomyślałby pan?

— Ja między innymi wziąłbym pod uwagę i taką hipotezę.

— Między innymi?

— Złoto mógł ktoś wcześniej znaleźć i zabrać. Mogło też, gdy samolot roztrzaskał się o ziemię, upaść gdzieś dalej i Matwiej go nie zauważył. Pan jednak miał podstawy do podejrzeń.

— I miałem rację.

Oleg spojrział na Mazina już nie triumfalnie, lecz z pewną rezerwą. Mazin milczał. Wołokow czekał zaciekawiony.

— Nie było sensu ukrywać dalej prawdy przed Kaługinem. Podzieliłem się z nim moimi obawami. Trudno wyrazić, jak był zdumiony usłyszawszy o złocie, oczywiście, nie miał pojęcia, gdzie znajduje się samolot, to czysty przypadek, że jego rady okazały się trafne. Jednakże, tak samo jak pan, nie chciał uwierzyć w winę Filipienki. I to właśnie go zgubiło.

— W jaki sposób?

— Opowiedział wszystko Matwiejowi.

— Wszystko, to znaczy — co?

— Szczegóły nie są mi znane, ale gdy przyszedłem wieczorem na chwilę przed zgaśnięciem światła i zabójstwem, Michał Michajłowicz szepnął mi: „Matwiej niczego nie znalazł. Pogadamy później, jak goście się rozejdą”.

— Pański wniosek?

— Jedyne możliwe. Kaługin zapytał strażnika, czy znalazł złoto. Tamten wyparł się i korzystając z pierwszej okazji zabił Kaługina.



- A dlaczego nie pana?
- No, dajmy spokój...
- Może jednak spróbuje pan wytłumaczyć.
- To nie takie trudne. Kaługin nie wymienił mego nazwiska i Matwiej wyobrażał sobie, że tylko on wie o złocie.
- Słuszne przypuszczenie. Nożem też ugodził Matwiej?
- A cóż mu innego zostało?
- Nie zastanawiał się pan, w jaki sposób nóż trafił do rąk mordercy?

— Niestety, nie wiem. Towarzyszu majorze!...

— Jeszcze chwilę, Oleg — przerwał Mazin. — Zostawmy na razie Matwieja, jeśli Dmitrij Iwanowicz pozwoli. Dla czego strzelano do mnie i kto, pańskim zdaniem, strzelał?

Oleg zamrugął oczami, ale Mazin nie czekał na odpowiedź.

— Nie wie pan? A co się stało z Demianyczem?

— Pasiecznikiem?

— Tak. Dlaczego nie żyje?

— Pierwszy raz słyszę!

— Chętnie wierzę. Wierzę we wszystko, co pan mówił. Proszę nie patrzeć na mnie jak na wroga. Powiedział pan dużo interesujących rzeczy. Aczkolwiek trochę się pan pośpieszył. Dmitrij Iwanowicz jeszcze nie rozpatrzył się w sytuacji. Musi zapoznać się z faktami, a wówczas z całą pewnością zechce porozmawiać z „panem bardziej wyczerpująco.

— Ignoruje pan jednak moje zarzuty przeciwko Filipiencie?

— Wręcz odwrotnie. Wziąłem pod uwagę fakt, że wczoraj udało się panu dotrzeć nad Czerwoną Rzeczkę i to

potwierdziło pańskie podejrzenia. Istnieją jeszcze inne podstawy zatrzymania Matwieja — rzekł Mazin bez bliższych wyjaśnień, ponieważ miał na myśli nie tylko zamianę kuli.

— Bez wątpienia — włączył się Sosnowski. — Między innymi Matwiej przechowuje nielegalnie karabin niemiecki.

— Może stawiać opór? — zapytał Wołokow.

— O ile się nie spózniliśmy — odpowiedział Mazin. — Widziałem koło domu jego syna i okno jest otwartej A chłopak bystry...

Nie mylił się. Matwiej nie stawiał oporu. W domu zastali szlochającą żonę.

— Mówiłam temu draniowi — krzyczała zanosząc się łkaniem — do niczego dobrego to twoje chojraństwo nie doprowadzi! No i dostrzelał się hycel! Na jaką ty dolę skazałeś mnie z dzieckiem!

— Gdzie mąż? — spytał Mazin możliwie najłagodniejszym tonem.

— Uciekł w góry. Jak przyleciał śmigłowiec, jak zobaczył milicję, zaczął się cały trząść, a tu Kolka pędzi: „Tatku, po ciebie!” Matwiej w trzy migi złapał waciak, suszonej sarniny napchał w torbę i hajda za rzekę.

Mazin spojrział na porośnięte leszczyną zbocza nad rzeką. Wyżej, podobnie jak w dniu jego przyjazdu, kłębiły się, ciemniały, gromadząc się w chmurę, nie wiadomo skąd napływające obłoki.

— A gdzie jest Nikołaj?

— Beczy w szopie. Boi się pokazać.

— Dobrze. Proszę nie rozpaczać przed czasem. Borys, oddaj kulę Dmitrijowi Iwanowiczowi i opowiedz o naszych przgodach. A ja chciałbym pogadać z malcem.

I ruszył przez podwórko w kierunku szopy.

Kłapouchy pies myśliwski o zasmuconych pełnych niepokoju oczach dotknął ręki Mazina zimnym szorstkim nosem i odszedł od drzwi wpuszczając go do środka. W głębi na brzo-zowym pniaku siedział Kola i rozmazywał na policzkach łzy.

Igor Nikołajewicz przesunął palcami po zwichrzonych kędziorach.

— Beczysz?

— Zabiję...

— Kogo?

— Okularnika. Upilnuję w lesie i zabiję.

— W ten sposób nie pomożesz ojcu. Będzie jeszcze gorzej. Aresztują cię.

— A niech tam!

— Nie wolno, pionierze!

— Niech tam!

— Powiedziałem, że nie wolno. Jest robota!

Kola podniósł na niego błękitne oczy, raz po raz napełniające się łzami.

— Jakie ty masz niebieściutkie ślepka! Wytrzymaj je, weź chusteczkę. Dwie osoby mogą pomóc twojemu ojcu — ja i ty. Jeżeli ciebie zatrzymają, mnie będzie podwójnie trudno. Dlatego krwawą zemstę odłożymy do lepszych czasów. A teraz do roboty. Jak myślisz, czy ojciec uciekł dalej, czy ukrywa się gdzieś w pobliżu?

Kola zasępił się, widać było, że się waha.

— Musisz mi zaufać. Inaczej nie może być. A ja — tobie. Daleko jest ojciec?

— On nie odejdzie...

— Wobec tego umawiamy się, a raczej dostajesz zadanie. Nie tracąc ani chwili ruszasz na poszukiwanie ojca. Gdy go

znajdziesz, powiesz mu, żeby nie wpadał w panikę. Za to, co sam narobił, odpowiadać musi. Ale za nic więcej. Niech dzień lub dwa posiedzi w lesie. Ważne, abyś wiedział, gdzie. I bądź stale pod ręką na wypadek, gdybym musiał skontaktować się z ojcem. Zapamiętałeś wszystko?

— Tak.

— Wierzysz mi? Bo jeśli nie, możesz odmówić.

Mazin dotknął prymitywnie postawionej letniej kuchni.

— W nocy był mróz, a tu u was ciepło.

— Tatko rozpałił. Coś robił w szopie.

— Aha... jeszcze jedno. Weź to i oddaj ojcu. Podał chłopcu wystrzeloną łuskę.

— To... jest tamta?

— Ta sama. Oddaj na dowód zaufania. I wracaj migiem!

Odprowadził wzrokiem malca, który puścił się pędem przez polanę ku rzece, a potem skręcił w kierunku osiedla.

— Igorze Nikołajewiczu!

Zobaczył Halę idącą w mokrych granatowych trampkach po nie obeschłej trawie.

— Pięknie pani dziś wygląda, Halinko.

— Dziękuję, towarzyszu podpułkowniku!

— Woli pani traktować mnie oficjalnie? Szkoda, tak marzyłem, że połączymy po górach, poszukamy szarotek.

Hala wyjęła zwiędły kwiatek z kieszeni pikowanej kurtki.

— Proszę.

— Co to jest?

— Szarotka.

— Taka niepozorna?

— Ja też wydam się panu niepozorna, gdy mi się pan przyjrzy. Dlatego proszę się wstawić za mną u swego kolegi majora, żeby mnie puścił do domu. Mama z pewnością się

niepokoi. Miałam zaraz wracać, tymczasem ugrzęzłam.

— Możliwe, że będzie pani jeszcze potrzebował.

— Do czego? Żeby schwytać Matwieja?

— Już pani wie?

— No ba! Mówią, że złoto pomieszało mu rozum. Wiadocznie, skoro zabił dwóch ludzi! Nieszczęsny psychopata!

— Wierzy pani w tę historię?

— Uciekł przecież. Gdyby był niewinny, po co miałby uciekać?

— Pani rozumowanie tylko pozornie wydaje się logiczne.

— Czyżby było inaczej?

— Nie wiem. Dziwna sprawa..

— Wie pan, co jest dziwne? Patrzy pan na człowieka i nawet przez myśl panu nie przejdzie, że widzi go pan po raz ostatni. Michał Michajłowicz powiedział: „Idę po lampę!” I już nie wrócił... To straszne! A wczoraj szłam z Olegiem, ciemno już było, śnieg lekko prószył, patrzymy — Demianycz. „Dobry wieczór — powiedziałam. — Dokąd pan się tak na noc wybrał?” Odpowiedział mi bardzo życzliwie i grzecznie: „Idę odwiedzić Matwieja, mam dla niego prezent”. Pod pachą trzymał jakąś paczkę. I odszedł... Na zawsze...

— Demianycz szedł do Filipienki? Co było w paczce?

Hala pokiwała głową.

— Ja mówię o moich odczuciach, a pan od razu robi z tego urzędowe przesłuchanie. Jest pan wyprany z wrażliwości. Dlatego i szarotka pana nie zachwycała. Nie wiem, co było w paczce.

— Proszę się nie gniewać, Halinko, przykro mi, że tyle straciłem w pani oczach. Chyba znów się zbiera na burzę.

Popatrzył na chmury gromadzące się tym razem nie nad doliną, lecz z boku, w kotlinie między górami.

— Nie. Tu nie dojdzie. Nad Czerwoną Rzeczką będzie ulewa.

Minęli jeziorko. Na polanie stał śmigłowiec, ale w chacie nie było nikogo. Na skarpie nadrzecznej majaczyła wysoka postać.

— Walery ogląda miejsce wypadku. Malarz zauważył ich i biegł ku nim przez łąkę.

— Halo, doktorze! Szukał mnie pan wczoraj.

— Dzień dobry, Walery. Nie jestem doktorem.

— Jeżeli pan mnie potrzebuje...

— Teraz już sprawą zajmuje się milicja.

— Bimbam na formalistykę! Jeżeli jestem panu potrzebny...

— A może to ja jestem potrzebny panu, Walery?

— Do diabła! Zawsze pan wszystko przekręci na swoje kopyto.

— Spokojnie. To tylko żart. Ja też chciałbym pogadać z panem, ale jestem w dwuznacznej sytuacji. Wchodzenie w zakres cudzych kompetencji...

— Niechże pan przestanie z tą służbistością! — przerwał malarz. — Wiem, że pan nie jest lekarzem, ale jakoś nie wyobrażam sobie pana w mundurze.

— Dziękuję. No cóż... Pogadać warto. Niech pan zaczeka tu na mnie, hm? Odprowadzę Halinkę i wracam.

— Dobrze...

Gdy wrócił, Walery stał prawie w tym samym miejscu, tylko oparty ramieniem o sosnę.

— Znudziło się panu czekanie?

— Nie. Wiedziałem, że pan kręci. Przecież nie o nią chodziło, też mi czarodziejka! Miał pan w tym jakiś cel.

— Owszem, to również. Musiałem o coś zapytać Gleba. Zamieniłem parę słów z majorem. A co do Halinki, to nie

podzielał pańskiego lekceważenia. Pójdziemy do chaty?

— Nie. Nie chcę tam... Lepiej na powietrzu. O co pan chciał mnie zapytać?

— Obawiam się, że teraz po śmierci Demianycza ma to już mniejsze znaczenie. Ważniejsze jest to, co pan pragnie mi powiedzieć.

— Wcale nie pragnę. Sam siebie ciągnę za włosy! Tylko niech pan nie robi mądrej miny, nie nadyma się i nie udaje genialnego detektywa, który wie wszystko! Guzik pan wie i nie będzie pan wiedział, jeżeli ja panu nie powiem. Ale ja to zrobię, bo jestem idiota!

— Czemu tak ostro, Walery?

— Inaczej nie mogę. Tyle lat uważać, że się ma olej w głowie i nagle przekonać się o swojej beznadziejnej głupocie! Takie numery nie przechodzą gładko.

— Czemu pana tak oburza własna uczciwość?

— Uczciwość? Cha-cha-cha! Zresztą, normalka, tak się traktuje idiotów. Prymitywnie! Bez rękawiczek! Jestem rozczarowany, doktorze. W ten sposób nie dam się kupić! Ja sam, rozumie pan, sam!

— Powiedziałem to, co myślę, Walery.

— Tym gorzej. Chociaż to racja, głupi i uczciwy oznacza prawie to samo. Zwłaszcza w moim przypadku. Uczciwy głupiec! Nieprzeciętny.

— Nie wolno mieszać tych dwu pojęć.

— A istnieje jakaś różnica? Drobnie niuansy?

— Uczciwość wymaga odwagi.

— Aha, tędy droga do kupienia mnie!,— powtórzył Walery. — Proszę jeszcze dodać, że pan mnie lubi jak najbliższego krewnego i ma wyłącznie moje dobro na względzie.

— To byłoby kłamstwo. Krewnych bardziej lubię.

— A jednak pan kłamie! Bawi się mną jak kot myszą i czeka, czeka z upragnieniem, kiedy wreszcie pękne, wygadam się. Chce pan, bym się przyznał.

— To jeszcze za mało, by ustalić prawdę.

— Jeśli ktoś łże. A jeśli mówi szczerze?

— O jaką szczerłość chodzi?

— O taką, że nie mogę, nie zniosę tego, by zamiast mnie wsadził pan za kratki tego prymitywnego dzikusa, nędznego hycła Filipienkę.

— Filipienko uciekł.

— Bo idiota. Jeszcze gorszy niż ja. I na pewno zwiął z karabinem. Zanim go złapiecie, połowę was wszystkich wystrzela — i koniec z nim! Czapa! Tak się to chyba określa w waszym języku?

Mazin nie odpowiedział.

— Milczy pan? Jak boa dusiciel polujący na królika? Czekaj pan na odpowiedni moment. Przecież to widać, że nerwy mi wysiadły!

— Należy pan do ludzi, którzy po wytrzeźwieniu ulegają napadom skruchy i samobiczowania. Radziłbym strzelić jednego na kaca. W chacie została pełna butelka.

— Nie pójdę tam! I dość już tego udawania! Przecież pań drży z niecierpliwości.

— Drzę ze strachu.

Malarz otworzył szeroko oczy.

— Boję się, że pan napiecie głupstw. Już lepiej mnie niż tam do protokołu.

— Niechże pan wreszcie przestanie odgrywać dobrego wujaszka! I połknie królika razem z flakami, uszkami i puszystym ogonkiem. Niechaj prawda zatriumfuje na Ziemi. To ja zabiłem tego podleca pasiecznika, a nie Filipienko.

— Proszę to udowodnić! — westchnął Mazin.



— Udo-wod-nić? — Walery zacisnął pięści. — Nie za wiele tego dobrego, towarzyszu podpułkowniku?

— Nie rozumiem pańskiego oburzenia, Walery. Czego pan się spodziewał — owacji, bukietów? Co za tytuł do chwały? Gdzież te pańskie zasługi? Wysłanie kogoś na tamten świat? Chyba nie. Przyznanie się do winy? Też, między nami mówiąc, wątpliwe bohaterstwo. Major Wołokow to świetny fachowiec. Jeśli pan zawinił, sam to odkryje. A zatem przyznanie się jest potrzebne tylko panu. Bądź co bądź, są to okoliczności łagodzące.

Grymas wykrzywił twarz Walerego.

— Więc pan z tej beczki! Z tej beczki!... Zresztą, mogłem się tego spodziewać.

— Nieprawda. Przywykł pan, że wszyscy cackają się z panem.

— Obywatelu podpułkowniku — spytał z napięciem Walery — a jeśli teraz ucieknę? Będzie pan strzelał?

— Mój pistolet został w kasie pancерnej w biurze. Nie sądzę zresztą, by się na coś przydał. Nie ucieknie pan. Bo i dokąd? Proszę mi raczej opowiedzieć, co zaszło między panem a Demianyszem?

— Zaszło! (Gwizdnąłem go w mordę i koniec. Zabijać nie chciałem.

— A on upadł do rzeki?

— Dlaczego do rzeki? Na podłogę.

— Więc gdzież pan go bił?

— W chacie. I nie biłem. Raz mu przyfasowałem.

— Za co?

— Zarobił sobie. Należało mu się — to fakt. Ale poza tym...

— Reszty pan nie jest pewny?

— Nie.

— Więc, pańskim zdaniem, zamordowany sam dobrnął nad rzekę?

— Zamordowany? Żartuje pan?...

— Kto żartuje, Walery? — Mazin przeszedł nagle na „ty”. — Jedno z dwojga, albo ty zabiłeś starego i wówczas nie mógł iść nad rzekę, albo kręcisz i zwracasz mi głowę. Mów dokładnie — uderzyłeś Demianycza i co było dalej?

— Splunąłem i wyszedłem.

— I więcej go nie widziałeś?

— Dzisiaj. W białych skarpetach.

— Jakim więc cudem znalazł się w rzece?

— Doprawdy pan nie rozumie? Oprzytomniał, chciał sobie zrobić zimny kompres. Polazł na brzeg, ale kręciło mu się w głowie. Zatoczył się...

— I wpadł do wody?

— Był podchmielony.

— To znaczy, że sam sobie winien?

— Nie wiem, co o tym sądzi wasz kodeks.

— A ty co sądzisz?

— Gdybym go nie uderzył, żyłby teraz. I Filipienko by nie uciekł.

— Filipienkę oskarżono o zabójstwo twego ojca.

— Niemożliwe! On nie zabił ojca.

— To również weźmiesz na siebie?

— Co? Ależ...

— Nie wytrzeszczaj tak oczu, Walery, i nie rób z siebie ani ofiary, ani bohatera. Nie mam dla ciebie takich uczuć, jak dla najbliższego krewnego, ale chcę ci pomóc. O ile można pomóc takiemu rozpaskudzonemu szaleńcowi.

— Czyżby pan mi współczuł, pułkowniku?

— Nazywaj mnie Igorem Nikołajewiczem.

— Moja uwaga wydała się panu impertynencka?

- Była nie na miejscu.
- Zgoda. Już nie będę. Ale co do starego, wierzy mi pan? Uderzyłem go i wyszedłem.
- Wierzę.
- To dobrze, po ludzku. Służbista miałby wątpliwości. Pomyślałby: ukatrupił, powlókł na brzeg i zepchnął — płyn z falami, dziś tu, jutro tam, aż do siniego morza...
- Powlókł? — zainteresował się Mazin.
- No proszę, znów się pan uczepli.
- Nie obawiaj się. Odciski stóp należą do niego, nie do ciebie. Jednakże ekspertyza stwierdziła, że pasiecznik nie utonął. Był martwy, nim znalazł się w rzece.
- Głaszcze mnie pan łapką, ale pazurki w pogotowiu?
- A ciebie tylko głaskać wolno? Pewnie już żałujesz, żeś prawdę powiedział?
- Tego nawet pańscy eksperci nie stwierdzą. Ale rzeczywiście, po kiego diabła tyle panu nagadałem? Żal mi było Filipienki? A któż to jest ten cały Filipienko?
- Człowiek. I ma synka.
- Homo pół-sapiens. Pal go diabli! Niech pan spojrzy, Igorze Nikołajewiczu, jaka ulewa nad Czerwoną Rzeczką! A u nas słońce.
- U nas gęsta mgła, Walery. Jak w twojej głowie. Czegoż ty żałujesz? Czemu się szamoczesz? Walczysz ze sobą. Wstydzisz się tego, co jest w tobie dobre. Paradujesz w masce. Ledwie jej uchylisz, już cię strach ogarnął! I czego się boisz? Nawet nie sądu, lecz tego, że cię wezmą za głupca. Czemu? Każda podłość, choćby ją człowiek popełnił zupełnie przypadkowo, wskutek zbiegu okoliczności, musi go nękać, nie dawać spokoju. Któż może być dla nas surowszym sędzią niż my sami? Po cóż, rolę naszego sumienia ma spełniać sąd, prokurator, wydział kryminalny. Jeśli zbłądziłeś, nie bój się

kary, lecz nowych błędów! Kara jest do zniesienia. Nie tyle więzienie ci grozi, ile ty sam sobie szkodzisz, lekceważysz najlepsze cechy swej natury, błądzisz po omacku jak ślepiec, byle z fasonem z różnymi sztuczkami! Jak tylko odezwała się w tobie uczciwość, zwymyślałeś sam siebie od durniów! Niebezpieczeństwo minęło — natychmiast fanfaronada!

Postępujesz głupio. Straciłeś głowę, dowiedziawszy się, że podejrzenie padło na strażnika. Nie jemu rzuciłeś się na ratunek. Uczciwość stanowi tu fundament, nad nim dopiero wznosi się wielki gmach, istny labirynt pełen korytarzy, przejść wiodących w górę, w dół, ale wszystko wewnątrz, w głębi, na zewnątrz nie widać wyjścia. Nagle błysnęło światło gdzieś na trzecim piętrze. Pobiegłeś tam zdecydowany skakać na łeb na szyję, a tu ci naraz podsuwają schodki, jak do transkontynentalnego odrzutowca. Może pan będzie łaskaw! Nawet się ucieszyłeś. Chciałeś udzielić wywiadu. A na cóż mi wywiad, potrzebuję faktów. Muszę poznać fakty... Coś niecoś powiedziałeś, coś się wyjaśniło, dobre i to. Ale najgorszy wrzód pozostał. Nie pękł. Kto zabił twego ojca? Twierdzisz, że nie strażnik. Dlaczego? Oleg jest przekonany, że właśnie on.

- Oleg! Zarozumiały bałwan.
- Wszystkim przypiąłeś łatkę. A co o sobie?
- O mnie pan już powiedział.
- I trafiłem?
- Prawie. Szczególnie o tym gmachu. Wewnątrz, w głębi — zgadza się! Filipienko jest niewinny, to fakt.
- Któż więc?...
- Kuznariew zamordował ojca.
- Mazin położył rękę na ramieniu Walerego.
- Zdajesz sobie sprawę, co oznacza takie oskarżenie?

— Zdaję.

Walery odpowiedział poważnie, ale wzrok jego śledził, chmurę, która odchodziła na południe, pozostawiając nad Czerwoną Rzeczką czyste, obmyte niebo.

— Masz na to dowody?

— To już pan... zbierze po cegiełce... Dlaczego pan szukał mnie wczoraj?

— Rozmawiałem długo z Kuznariewem.

— Rozzalił pańskie serce? Puścił łezkę? Opowiedział, jak cierpiał niewinnie?

— O tym usłyszałem od Maryny Wiktorowny.

— A co mówił o ojcu?

— Że Michał Michajłowicz siedział w więzieniu.

— Łajdak!

— Wiedziałeś o tym?

— Dowiedziałem się tuż przed śmiercią ojca. I wtedy pojąłem wiele rzeczy.

— Co ojciec zdążył ci powiedzieć?

— Wszystko.

— O ucieczce również?

— I o tym pan wie? Od Kuznariewa?

— Tak.

— No to sam sobie grób wykopał. Rozumie pan, co mnie powstrzymywało?

— Domyślam się.

— Byłem w rozterce. Biłem się z myślami, jak postąpić, co robić. A on doszedł do wniosku, że nic mu nie grozi, nikt o niczym nie wie... Co on jeszcze panu mówił?

— Michał Michajłowicz ukrywał ten fakt, że był karany. Próbował ucieczki, ale się nie powiodła. Podwyższono mu karę. W czasie wojny zwolniono go na front, walczył, był

ranny, wstydził się jednak przeszłości, więc zmienił nazwisko.

— Nie rozumiem, z jakiego powodu wybrał taki wariant.

— Wariant?

— Złagodzony.

— Wiesz co, Walery, siądźmy na tym powalonym drzewie.

— Nogi zabołały od myślenia?

Słońce stopniowo nagrzewało las, obsuszając mokre gałęzie. Powietrze napełniało się zapachem igliwia. Mazin wyjął z kieszeni papierośnicę, bawił się nią przez chwilę, postukał palcem w wieczko.

— Sądziłem, że pan nie pali — zauważył Walery.

— Nie palę. Przypadkiem trafiła do moich rąk. Jest pusta.

I na potwierdzenie tych słów otworzył papierośnicę, pokazał malarzowi i znów schował do kieszeni.

— Jeszcze jeden chwyt?

— Coś koło tego.

— Zwalnia pan tempo?

— Jeżeli chcesz... Głównie dla siebie. Żeby się rozluźnić wewnętrznie przed wysłuchaniem tego, co mi powiesz.

— Mogę nic nie powiedzieć.

Mazin popatrzył na niego łagodnie, z troską.

— Lepiej powiedz.

— Zgoda. Otóż ucieczka się powiodła. Nałgał panu ten drań. Ale oby się nie była powiodła...

— Raczej tak.

— Nie zrozumiał pan! Nie o sam fakt ucieczki tu chodzi. I nie to jest straszne. Zamordowano człowieka — tu leży cała tajemnica.

Duży, niezdarly komar usiłował przekłuć kurtkę Walerego,

lecz daremnie natęzał się przebijając cieniutkimi łapkami.

— Kto zamordował?

— Ten niegodziwiec. Nie sposób jednak dowieść, że ojciec nie maczał w tym rąk! Rozumie pan? Było ich tylko dwóch, żadnych świadków nie ma.

Walery machnął ręką, komar oderwał się od kurtki i zaczął krążyć nad nim wybierając nowe miejsce.

— Kogo zamordowano?

— Nie wiem. Nie spytałem, a ojciec nie zdążył... Wszystko odbywało się jak w malignie. Trudno sobie wyobrazić. Tak się między nami układały stosunki. Nie było zgrania. Z mojej winy. Uważałem go za konserwatystę, miałem za złe i tak dalej. Dowiedziałem się, że nie jestem rodzonym synem. Dziecinne kompleksy... Poza tym... Ale tego nie będę poruszał: Nie ma nic do rzeczy. Niech pan to jedno zrozumie — uważałem, że on jest egoistą, ma wysokie mniemanie o sobie, dopisuje mu szczęście, powodzenie. Pieniądze, willa, dytyramby w prasie, młoda żona... A w rzeczywistości jego życie wyglądało zupełnie inaczej. I czy pan wie, czy pan sobie wyobraża?! — Walery chwycił Mazina za rękaw i targał przyciągając do siebie to znów odpychając. — On przecież mnie kochał! Cenił mnie, szanował, a ja niczego nie dostrzegałem. Dlaczego to panu mówię? Bo przede wszystkim mnie postanowił się zwierzyć. Zaufać mi! Moje zdanie było dla niego najważniejsze! A więc uważał mnie za prawdziwego syna, nie za pasierba, nie za wychowanka, nie za obcego! Tymczasem ja...

— Spokojnie, Walery. Dobrze o tobie świadczy, że tak mówisz, ale opanuj się. Musisz się opanować!

— Tak, tak. Ojciec poprosił mnie na rozmowę. No, byłem przekonany, że nowa reprimenda... I nagle jak obuchem w

łeb. „Synu! Pragnę, żebyś ty był moim sędzią. Mam obciążone sumienie. Popełniłem błąd, skazano mnie sprawiedliwie, nie wytrzymałem jednak, młodość mnie zawiodła. Uciekłem. Myślałem, że los mi sprzyja, ale okazało się... Uciekało nas dwóch. I zdarzyło się, że zginął przy tym człowiek. Przysięgam, że nie ja zabiłem. Tamten drugi. Zapamiętaj to sobie i uwierz mi! Nie ja. Ale i na mnie ciąży wina. Nie przeszkodziłem temu! Nie zapobiegłem. Nie uratowałem od śmierci. Przez całe życie starałem się zmyć tę winę. Szczególnie w twoich oczach. Zrobiłem wszystko, co mogłem. Ale nie ma wyjścia. Morderca żyje i znów... Wszystko się wyda. Nie to jest straszne. Boję się jedynie tego, abyś ty mnie nie potępił”.

Walery spuścił nisko głowę. Mazin nie widział jego twarzy, tylko zarośnięty kark.

— Michał Michajłowicz wymienił nazwisko Kuszniariewa?

— Tak.

— Niech pan postara się powtórzyć jego słowa dokładnie.

— Pamiętam je doskonale. Spytałem. „Grozi ci?” — Ojciec skinął głową. — „Gdzie on jest” — „Tu”. Kogóż więc miał na myśli? Kuszniariew znał ojca od bardzo dawna. Był w więzieniu. Mieszkał u nas, jadł, spał, przyjmował pieniądze... Zwyczajny szantaż.

— Czegóż chciał jeszcze?

— Nie wiem. Może nic. Może to wyczerpała się cierpliwość ojca. Lata cierpliwości.

— Ale nazwisko Kuszniariewa nie padło?

— Jak to! Nie skończyłem jeszcze. Coś mnie tknęło wtedy i zapytałem: — „Czy to Kuszniariew?” Ojciec zawahał się sekundę, spojrzał na mnie i odpowiedział... Powtarzam słowo



w słowo, rękę za to: „Kusznariew? Nie Kusznariew, lecz Pataszon”. Rozumie pan?

— A pan?

— Przecież to jasne! Kusznariew nie nazywa się Kusznariew, lecz Pataszon. To przestępca Pataszon. Morderca.

— Ma jednak przekonujący życiorys.

— Legendę nie życiorys. Od A do Z szyty grubymi nićmi. Nigdy, nigdy nie widziałem ani nie słyszałem, by interesował się architekturą lub przynajmniej wypowiadał się na ten temat. Taki z niego architekt, jak z pana pediatra.

— Kimże więc jest?

— Zawodowym aferzystą.

Teraz już krążyła wokół nich cała chmara komarów. Mazin odłamał gałązkę i zaczął się opędzać.

— Aferzyści zazwyczaj unikają kolizji z paragrafem sto dwa oraz innymi o zbliżonej treści.

— To znaczy morderstwa?

— Tak.

— Nie wiadomo przecież, kto został zamordowany i w jakich okolicznościach. Ojciec nie powiedział mi, nie zdążył. Weszła Maryna, potem pański przyjaciel.

— Tak. Wszystko, co pan powiedział, jest prawdziwe.

— Proszę mówić mi po imieniu.

— Można? Dziękuję. Widzisz, mój drogi, tobie obraz tych wydarzeń wydaje się przejrzystszy niż mnie. Ty nie troszczysz się o szczegóły, jak malarz nowoczesny narzuca szerszymi pociągnięciami kontury, a ja jestem realistą, chcę, by na twarzy widoczna była każda zmarszczka. Nawet naturalista. Dla ciebie Picasso, dla mnie Łaktionow. Rozumiesz różnicę?

— Ale nie na pańską korzyść.

— Korzyść będzie wspólna, gdy znikną pewne zdradliwe luki. Kuznariem nie mógł zamordować Demianycza. Był przez cały czas ze mną. Zresztą, w jakim celu?

— O Demianyczu już panu mówiłem.

— A ekspert? Zapomniałeś? Demianycz był martwy, nim znalazł się w rzece.

— Ekspert coś poplątał, rąbnął się.

— I to się zdarza, niestety. Powiedz wreszcie, za co uderzyłeś Demianycza?

— Nie wytrzymałem nerwowo.

— Proszę o konkrety.

— To sprawa osobista.

— Domyślam się. Przedtem wytłumacz mi jeszcze coś innego. Pamiętasz, jak ci zwróciłem chusteczkę do nosa?

— Znów time-out? Zwalnia pan tempo?

— Ależ nie, z tempa jestem zadowolony. Skąd wziąłeś tę chustkę?

— I mnie to dziwi, skąd się wzięła w mojej kieszeni. Wydawało mi się, że to chustka ojca, z pracowni. Powalana farbami.

— Ojca? Nie ty ją powalałeś?

— Nie. Pewnie zabrałem ją przypadkiem z pracowni. Ale żeby mnie kto zabił, nie pamiętam kiedy! Takie głupstwo! Na co to panu?

— Przypomnij sobie, kiedy po raz pierwszy miałeś ją w ręku.

— Jakie to ma znaczenie?

— Będzie miało, gdy sobie przypomnisz.

— Pierwszy raz... gdy pan i Sosnowski poszliście na górę do ojca. Z pasiecznikiem. Wyszedłem z pokoju i mijając wieszak, wyjąłem ją z kieszeni kurtki. Ale skąd się tam znalazła?

- Nie pamiętasz? A potem?
  - Potem nic szczególnego. Stwierdziłem, że jest brudna i zostawiłem w chacie. Stamtąd zabrał ją pan. I zwrócił mnie.
  - I co?
  - Nic. Gdzieś pewnie leży.
  - Nie wycierałeś nią sadzy?
  - Co takiego?!
  - To wszystko. Dziękuję.
- Walery pokręcił głową.
- Na zdrowie. Czegóż więc pan się domyśla?
  - Pasiecznik zaczął z tobą rozmawiać o Marynie Wiktorównie?
  - Igorze Nikołajewiczu!... Skąd...
  - To nie tajemnica, Walery. Demianycz mówił mi o tym, co was łączyło.
  - Łączyło? Nic nas nie łączyło, nic absolutnie! Och, za mało dostał po pysku! Po kogo sięgnął tą swoją brudną łapą!
  - Kocha ją pan?
  - Można to tak nazwać.
  - Nie przypuszczałem.
  - Ato dlaczego?
  - Słyszysz się, że młodzież uprościła te sprawy.
  - Uprościła? Przez dziesięć tysięcy lat nikt nie zdołał ich uprościć, a my sobie leciutko, w waszych oczach wszystko załatwiliśmy? Gigantyczna bzdura! Różni podłamańcy tumania siebie i innych. Ja sam, zresztą, taki byłem. Dopóki się nie sparzyłem.
  - Bardzo się sparzyłeś?
  - Piekielnie... I cóż na to poradzić? No, niech pan coś poradzi! Pan przecież wszystko wie! A tu nabrał pan wody

w usta. Nie ma na to mądrych. Ona mnie nie kocha. To nawet dobrze. Gdyby mnie kochała, uwikłalibyśmy się bez wyjścia. Za życia ojca — byłoby ohydne, teraz niemożliwe. Tylko że to wcale nie przynosi mi ulgi. Błądnowałem, wyglupiałem się jak ostatni pajac. I kropka. Nic więcej nie było. I nie mogło być. Nie zna pan Maryny.

— Trudno poznać człowieka w ciągu dwóch dni.

— To jest chyba w ogóle niemożliwe. Nigdy. Do końca. Szczególnie teraz. Mało jest takich, którzy sami siebie dobrze nie znają?

— Jeżeli człowiek przeszedł próby...

— O właśnie, właśnie! Co nam starsi wbijają do głów? Wywalczyliśmy dla was szczęśliwe życie! Czy życie może być szczęśliwe lub nieszczęśliwe? To ludzie bywają nieszczęśliwi lub szczęśliwi. Podczas wojny domowej i podczas rewolucji więcej było szczęśliwych, niż obecnie! Cel był porywająco rozległy. Marzenie, a nie plan naukowo opracowany! Z naukowego punktu widzenia czołg jest silniejszy od konia. Ale człowiek na koniu nie zastanawiał się nad tym, tylko pędził czołgi, gdzie pieprz rośnie! Od tajgi po zlewisko atlantyckie.

— Zazdrościsz tamtym z Pierwszej Konnej?

— Zazdroszczę. Ale nie o mnie mowa. O Marynie. Ona jest produktem epoki. Wyhodowanym w cieplarni. Ze stałą temperaturą, wilgotnością, sztucznymi nawozami... Cóż ona wie o sobie? Skąd może wiedzieć? Kisła w dobrobycie. Nie ona jedna. W ogóle młodzi.

— Młodzi? Wszyscy? Wątpię.

— Zaraz pan powie o budowach? Tajmyr, Mangyszłak, Karakum? Przecież pustyni dla wszystkich nie starczy! Tam też stumetróweczki pociągną, zaasfaltują, obcasikami zaczną szorować. Nowa cieplarnia. Kino „Młodość”, kawiarnia

„Młodzieżowa”, zespół estradowy „Romantycy”. Wszystko za szkłem mruga równym neonowym światłem. To nie sztandar nad pułkami mknącymi jak wicher po ziemskim globie, to szyld. Jak przy takim trybie życia rozeznaczyć się w sobie!

— Wielu się rozeznaje i to całkiem nieźle. Wystrzegaj się uogólnień.

— Ja nie o tamtych mówię. O Marynie. Myśli pan, że wyszła za ojca z wyrachowania? Ona kochała go po swojemu, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Maryna jest człowiekiem. Rozumiała mnie doskonale, widziała, że za moim nie-normalnym zachowaniem, błazeństwami, kryje się coś prawdziwego, ale była również świadoma, że nie wolno i mnie zmusiła, bym to pojął. Jak Tatiana, jeżeli moje porównanie nie wyda się panu śmieszne.

— Bynajmniej.

— To dobrze. Wszystko; co pan mówił, było słuszne. Tylko że my niczego nie uprościliśmy. Nieważne, że dziś łatwo się przespać z dziewczyną... Też zresztą nie z każdą... O, niech pan popatrzy! Co za widok!

Mazin spojrział w kierunku wyciągniętej ręki Walerego i zobaczył między drzewami tęczę nad wąwozem. Żywe kolory słonecznego widma, harmonijnie ze sobą złączone, rozpinały się łukiem od grzbietu do grzbietu gór nad rzeką, nad lasem, lodowymi szczytami, sięgając wysoko w przestworza, gdzie wiodły trasy samolotów, a na dole znajdując punkt oparcia w widocznych gołym okiem rozpadlinach.

— Dobry znak — powiedział.

— Niech pan patrzy jeszcze, niech pan patrzy...

I Walery uśmiechnął się do Mazina, zapominając na chwilę o swych obawach, rozterkach, niewesołych myślach.

„Jeżeli on potrafi się tak uśmiechać, chyba zasługuje, aby mu uwierzyć” — myślał Mazin czekając, by Walery powrócił z obłoków na ziemię.

— Co jeszcze chciałby pan wiedzieć? — rzekł wreszcie Walery.

I oto Mazin pod wpływem wewnętrznego impulsu zadał pytanie, które zaskoczyło nie tylko malarza, ale i jego samego.

— Masz przy sobie dowód osobisty?

— Dowód?

— Może być jakikolwiek dokument potwierdzający twoją tożsamość.

Walery, jak zahipnotyzowany, wyjął zniszczoną książeczkę.

— Mam legitymację. Wprawdzie fotografia się odkleiła...

— Fotografia mi niepotrzebna. Dziękuję.

Mazin zwrócił mu legitymację i roześmiał się.

— Mówiłem, że tęcza to dobry znak. A teraz powiedz mi wreszcie, za co uderzyłeś pasiecznika?

Walery, zbity z tropu „sprawdzaniem dokumentów”, nie stawał się tym razem.

— Wyobraża pan sobie, w jakim byłem stanie. Ojciec. Maryna. Pataszon. Wszystko zasupłane. A tu zjawia się ten duchoborca z siwuchą.

— Demianycz przyniósł wódkę?

— I szklaneczki.

— Po co on przyszedł? Z wódką. Przecież był niepijący.

— Nie wiem. Miał w tym jakiś cel. Zaproponował, żebyśmy się napili. Odmówiłem. Byłem już po paru głębszych i uważałem, że dosyć. Chciałem się trochę otumanić, ale nigdy schlać się jak bydlę. A przede wszystkim on mi się nie podobał. Zachowywał się arogancko.

— Arogancko? — zdziwił się Mazin, któremu ten obraz »nie pasował do pełnego delikatności pasiecznika.

— Nie tak otwarcie, rzecz jasna, ale była w nim jakaś bezczelność. Rozwalił się na krześle, zdeptał podłogę brudnymi butami.

— Jakie miał buty?

— Wstrętne, ubłocone buciory.

— Na pewno nie uroiło ci się po pijanemu? — Mazin wstał opędzając się od komarów. — Nieboszczyk miał na nogach gumowe buty, które mu przywiózł Borys Michajłowicz.

— Nie byłem, przecież taki zalany! Mam doskonałą pamięć szczegółów.

— Zostawmy to na razie... A więc stary cię drażnił?

— Działał mi na nerwy. Wyciągnął flachę przekonany, że będę pił. Im dalej, tym gorzej. Słucham i uszom własnym nie wierzę. Zaczyna o Marynie.

Walery umilkł.

— Co takiego powiedział?

— Jakąś nikiemnością, chociaż słodziutkim tonem. No i strzeliłem go w pysk. Zęby mu zgrzytnęły — i... i koniec!

— Koniec albo nie koniec. Od jednego uderzenia w głowę nie mógł paść trupem. No i co dalej zamierzasz, Walery?

— Odejdę na pustynię. Na podobieństwo biblijnych anachoretów. O ile nie wsadzi mnie pan do ciupy.

— Boisz się?

— Tak. Gdy postanowiłem wyznać panu prawdę, nie bałem się. A teraz nie mam ochoty tam iść.

— A jutro na pustynię też ci się odechce.

— Z pustynią nie ma wyjścia. Nie orientuje się pan, jak tam się przedstawia zaopatrzenie w szarańczę? Na tych budowach o znaczeniu ogólnokrajowym?

— Tylko dla przodowników pracy — uśmiechnął się Mazin.

— Dobra jest. Będę ich malował, pożywił się z nimi. A jak smakuje szarańcza?

— Nie wiem. Wielu rzeczy jeszcze nie wiem, Walery. Dlatego zachowaj rezerwę. W stosunku do Kusznariewa również.

— Pan sam się tym zajmie? Proszę oszczędzić pamięć ojca. Badzie to możliwe?

— Mam nadzieję. No, przyjacielu, podziwiał sobie daleką tęczę, bo widzę, że na mnie czeka pewien młody człowiek z pilną informacją.

I Mazin pośpieszył do Koli, który stał, niecierpliwie przepijając z nogi na nogę.

— Znalazłeś ojca?

— Znalazłem. On panu wierzy, Igorze Nikołajewiczu.

— A ty mi wierzysz?

— Aha...

— Wobec tego odpowiadaj mi uczciwie, bardzo uczciwie, Kola! Co twój ojciec znalazł w pobliżu rozbitego samolotu? Byliście tam przecież razem, prawda?

— Nic nie znaleźliśmy, Igorze Nikołajewiczu. Wujek Misza też mnie o to pytał. O jakąś skrzynkę. Powiedziałem, że prócz papierośnicy nie było nic więcej. Słowo pionierskie!

— Tej papierośnicy?

— Aha... Tato oddał ją wujkowi Miszy. Zaraz jak przyszliśmy.

— Czy ojca Kaługin też pytał?

— Nie... Tylko mnie. I zapowiedział: „Nie wspominaj ojcu o naszej rozmowie! Byłoby mu przykro”.

Tęcza nad wąwozem blakła roztapiając się w błękanie.



## 6. POŁUDNIE

Śmigłowiec nie wznosił się ponad skały. Kluczył powtarzając wiernie meandry Czerwonej Rzeczki, wspinając się coraz wyżej, podskakując tam, gdzie spadała kaskadami, chytrył, lawirował wraz z nią, pokonując dziki, zarośnięty i zavalony spróchniałymi drzewami wąwóz. Oto drogę zastąpiło jeszcze jedno lesiste zbocze. Ale nie były to już strzeliste świerki sięgające nieba spiczastymi czubami. Ktoś ciężką dłonią przesunął po wierzchołkach przyginając gałęzie ku ziemi. Krępe czerwonawe pnie niby słupy graniczne stały rzędem na skraju płaskowyżu oddzielając las od wysokich gór, od zielonych i różnobarwnych łąk alpejskich poprzecinanych niżej językami śnieżników. Lot stał się swobodniejszy, rzeczka przestała być prętem, na który nanizywał się krajobraz ściśnięty skalnymi ścianami. To rozlewała się po kępiastych moczarach, to znów znikąca pod ciężką wilgotną szrenią. Wszędzie iskrzyła się w słońcu, migotała woda, Mazin żałował, że nie wolno mu otworzyć zakurzonego iluminatora, jak zdejmuje się na wiosnę niepotrzebne już podwójne okna.

Poprzedniego dnia późnym wieczorem wstąpił do Wołokowa i zapytał o dotychczasowe wyniki śledztwa, po czym rzekł:

— Możliwe, że będę mógł wam pomóc, Dmitriju Iwanowiczu. Najpierw jednak musimy dostać się nad Czerwoną Rzeczkę.

— A morderca nie wymknie się korzystając z okazji, Igorze Nikołajewiczu?

— Nie. Powiedz swoim chłopcom, że mogą spać spokojnie. Dla Gleba specjalne podziękowanie. Bardzo mi pomógł.

Po powrocie do domu, Mazin długo jeszcze rozmawiał z Sosnowskim.

— To chyba jedyne rozwiązanie, Borys? Czy też sugerowałem się?

— Nie. Jestem pewny, że masz rację.

Mimo to Mazin do rana nie mógł zmrzyć oka...

... Czarny cień mknący przed śmigłowcem stał się krótszy. Lotnik wzbił się wyżej, by przelecieć nad płaskim szczytem jednej z dwóch gór, których pionowe osypujące się zbocza wyrastały nad doliną. Obok śmigłowca pojawił się rozpłaszczony w strumieniu powietrza orzeł. Obserwował podejrzliwym, złym okiem to hałaśliwe, brzuchate ptaszysko ze sztywnym ogonem. Przez pewien czas leciał obok, potem przechylił się na jedno skrzydło i lotem ślizgowym poszybował w dół, w kierunku jeziora, na którym, jak opowiadał Mazinowi Kola, niebieszczycy się pośród lodów roztajałe okna. Cień śmigłowca przemknął nad jeziorem i zaszamotał się w żlebie. Śmigłowiec zaciął się zniżać. Z jednej strony Mazin zobaczył wąziutką, rozbryzgującą się na skalnych występach wstążkę wodospadu, z drugiej brunatnoczerwone głazy. Domyślił się, że ma przed oczami Czerwone Skąły.

Na dole czekał mężczyzna w bluzie wojskowej. Na szyi miał przewieszony karabin. Uznał, że najważniejszą osobą wśród przybyłych jest Wołokow, i podszedłszy do niego zdjął karabin z szyi.

— Oddaję się dobrowolnie w ręce sprawiedliwości — wygłosił, widocznie z góry przygotowane zdanie i obejrzawszy się na Mazina, dodał: — Nie poczuwam się do żadnej winy!

Złożył karabin na ziemi.

— Wy jesteście Filipienko?

— Tak jest, towarzyszu majorze. Pozwolicie zameldować, że tu nie ma nawet śladu złota. Samolot leży, o, tam, a prochy lotnika, czyli to, co z niego zostało, trochę dalej. Wszystko jest, jak było, nie tknąłem niczego.

— Zobaczymy.

Poszli szeregiem — Matwiej i Oleg, za nimi sędzia śledczy z prokuratury, potem Wołokow i na końcu kapitan z Glebem. Walery został z Mazinem.

— Dlaczego nie aresztowano Pataszona?

— Śledztwo nie jest jeszcze zamknięte.

— Czego tu szukacie? I po co pan mnie przywiózł? Oleg zabił panu ćwieka tym nie istniejącym złotem. Niepotrzebna strata paliwa!

— Milicja ma obowiązek sprawdzać tego rodzaju doniesienia.

— Ale po co ja?

— Zaraz mi pomożesz. Borys, daj mu kompas.

Sosnowski wyjął okrągłe pudełeczko. Walery obejrzał je, nie rozumiejąc, co to wszystko znaczy.

— Potrafisz określić kierunek nord-nord-ost?

Malarz trzymał przez chwilę pudełeczko na dłoni czekając, aż igła przestanie drgać.

— Tu?

— Tak. Idź do wodospadu i zaczynając od podnóża odlicz dokładnie sto trzydzieści siedem kroków w kierunku, jaki ci podałem.

— Chętnie. Tym bardziej że to absurd.

Gdy odliczył kroki na dnie żlebu, Sosnowski zauważył:

— Jeżeli to nie kroki, lecz metry, może być różnica.

Wątpię, by, miał przy sobie taśmówkę.

— Halo! — zawołał malarz. — Co dalej?

— Stój w miejscu.

Mazin podszedł do niego, wziął kompas i skierował się ku Czerwonym Skałom. Odliczywszy stamtąd pięćdziesiąt cztery kroki, wrócił prawie na to samo miejsce, gdzie czekał Walery. Rzeczka spadając tu z występu skalnego tworzyła niewielką siklawę, pod nią widniało wgłębienie, do którego woda nie przenikała. Leżały tam omszałe kamienie.

Mazin przykucnął na piętach.

— Czyżby pan sądził, że tam na dole jest złoto? — spytał Walery już innym, spokojniejszym tonem.

— Nie jestem pewny.

— Ja zejść tam.

— Tylko ostrożnie. Możesz się ześliznąć.

Malarz dwoma susami zeskoczył na dół i posuwając się przy skale pod siklawą wcisnął się w zagłębienie. Z góry widać było jego plecy i tył potarganej czupryny.

— Jest!

Odwrócił się podniecony i woda obryzgała mu twarz.

— Co?!

— Żelazna skrzynka, jak te, w których wozi się taśmy filmowe.

— Możesz ją wydostać?

— Spróbuję.

Walery szarpnął skrzynkę i odskoczył, gdyż ponownie oblał go strumień wody.

— Jest lekka. Tam nie ma złota.

— Zostaw skrzynkę i wyłaź. Otworzyć ją może tylko sędzia śledczy. Taki jest przepis prawny.

Walery rozcierał na twarzy bryzgi wody.

— Co to za historia, Igorze Nikołajewiczu?

— Postaram się ją zrekonstruować...

Siedzieli na szerokiej brezentowej płachcie, którą pilot wyjął ze śmigłowca. Pośrodku Mazin ułożył kolejno: poplamioną farbami chustkę do, nosa, papierośnicę oraz szerniałe, nadpalone w ogniu podkówki butów.

— Przekazuję to wam, Dmitriju Iwanowiczu — oświadczył.

— Jeszcze to — mruknął Filipienko kładąc na brezencie łuskę. — Kula jest w stawie, Igorze Nikołajewiczu.

— Nóż oddałem wczoraj — uzupełnił Sosnowski wykaz dowodów rzeczowych.

Mazin odsunął łuskę nieco dalej.

— Nie wiem, od czego zacząć... Spróbuję to ująć nie tylko w płaszczyźnie śledztwa, lecz szerzej. Otóż wydarzyła się tragedia, której reperkusje odezwały się po wielu latach. Przypadek nadał jej formę dramatyczną i dlatego rozplatanie samej intrygi wysunęło się na pierwszy plan. Wcześniej czy później jednak wszystkie tajemnice zostają odkryte, sylogizmy ustępują miejsca rozważaniom, problemy kryminalistyczne zamieniają się w moralne, ludzkie... Po tym wstępie będę już trzymał się faktów.

Był młody chłopiec. Natura dała mu talent. Ale nie wiedział jeszcze o tym. Często tak się zdarza, szczególnie w

młodości. Ludzie skłonni są przeceniać, własne możliwości, lecz bywa też odwrotnie. Chłopiec ów popełnił błąd i zapłacił za niego srodze. Prawo traktuje wszystkich jednakowo, ale my jesteśmy zróżnicowani i w różny sposób odczuwamy bieg czasu, zwłaszcza za kratkami. Dla siedemnastoletniego chłopca może się wlec nieskończenie. Trzy lata dla zatwardziałego recydywisty to pestka, Michałowi Kaługinowi (będę go tak nazywał) wydawały się wiecznością.

Próbował ucieczki, za co podwyższono mu karę. Tak, Wallery, Michał Michajłowicz został schwytany — Igor zwrócił się do pragnącego zaprotestować malarza. — Kuszniariew mnie nie okłamał. I tobie również ojciec powiedział prawdę. Z tym, że Kuszniariew mówił o pierwszej ucieczce, a Michał Michajłowicz miał na myśli drugą. Spieszył się i mówił tylko o najważniejszym.

Termin kary przedłużony... Teraz już nie widać było końca. Chłopiec wpadł w rozpacz. Postawcie siebie na jego miejscu — i zrozumiecie! Nie usprawiedliwiam Kaługina. Popełnił już dwa błędy i oba z punktu widzenia prawa były przestępstwem. Prawo działało nieodwołalnie, lecz sprawiedliwie. Jemu jednak, człowiekowi wyjątkowo wrażliwemu, sytuacja wydawała się beznadziejna...

Popełnia więc trzeci błąd. I za ten przyjdzie mu zapłacić życiem... Nieprędko. Ma jeszcze przed sobą ćwierć wieku. Tymczasem zaczyna myśleć o nowej ucieczce. Na szczęście, jak zdawało się Michałowi, a w rzeczywistości ku wielkiemu nieszczęściu, znajduje się człowiek, który przychodzi mu z pomocą. Posiada on, mimo stosunkowo młodego wieku, już wiele imion, najpopularniejsze spośród nich brzmi Pataszon.

Niewinne żartobliwe przezwisko... Nie Rekin ani Szkał.

Kojarzy się z małym człowieczkiem, skłonnym do kawałów, lubiącym rozśmieszać. Podówczas pamiętano jeszcze tego komika z niemych filmów. Ja jednak nieraz miałem okazję zaobserwować, że z takich niepozornych błaznów wyrastają perfidne i groźne „szakale” oraz „rekiny” nie tylko z nazwy, lecz w istotnym znaczeniu tego słowa. Być może tędy prowadzi droga do „wyższych kręgów” świata przestępczego.

Od czego zwykle zaczyna „rekin”? Jest prowodyrem w swojej dzielnicy, wszyscy czują przed nim mores, dziewczyny go kochają, ma szeroki gest, na swój sposób jest wspaniałomyślny. Początkowo narusza prawo przez chuligańskie wybryki, bezkarność, głupotę, nasze niedopatrzenie, a później odkrywa, że zaszedł zbyt daleko i trudno zawrócić z tej drogi. Nie przywykł przecież do trudności. Rodzi się w nim złość. Nie na siebie, niestety, lecz na otoczenie, na życie, które go wystawiło do wiatru. Zaczęło się tak fajnie, wesoło, no i co z tego wyszło? I oto znika pozbawiony hamulców łobuz. Na jego miejsce zjawia się rekin. Ten nie chuligani na ulicy. Załatwia tam ważne sprawy. Dobiera potrzebny materiał ludzki. Spośród młodszych. Można bowiem nimi pomiatać, wciągać ich i nabijać się: „Rozwiąż mi buty, Pataszon. Postój na świecy, Pataszon. Przeleż przez to okienko, dla takiego chudziaka to pestka!”

Dlaczego Pataszon zdejmuje im buty, biega po papierosy i wreszcie przełazi przez okno? Bo mu z tym wygodnie.

Chłopak nie rwie się do nauki, lubi natomiast się wygłupiać, stroić miny, małpować podpatrzywszy czyjąś słabostkę. Śmieją się z jego wygłupów, ale do grona kumpli się nie zalicza. Przy okazji obrywa po łbie, to niegroźne, takie chuchro nie odważy się oddać. Jest samotny wśród szkolnych

rówieśników. W domu także niesłodko — przeważnie brak ojca, niekulturalna, wiecznie zajęta i rozdrażniona matka.

I nagle sytuacja się zmienia. Chuchrak staje się nietykalny, mało — można za niego dostać w zęby. Grożą poważniejsze przykrości. On sam jest zaskoczony. Ci, dla których wczoraj był przedmiotem kpinek, dziś się go boją. Nie jego, oczywiście, lecz „szakala” czy „rekina”. W pewnym sensie jednak i jego. Cząstka potęgi przypadła mu w udziale. Zobaczył, że prowodyrowie szkolnych rozróbek to tacy sami tchórze jak on. Tego typu odkrycia, pomijając inne przyczyny, nie sprzyjają kształtowaniu się właściwych postaw. Wytwarza się złudny wzorzec mający cechy prawdopodobieństwa. Kto silniejszy, ten górą. To zapada w duszę. Na całe życie. A ponieważ Pataszonowi brakuje siły fizycznej, wyrabia w sobie niesłychany spryt. Nigdy nie darowuje urazy, mści się na tych, którzy uważają się za silniejszych. On nie bywa wspaniałomyślny. W razie czego gotów się upokorzyć, ale niczego nie zapomina. To niebezpieczny przestępca.

Przypuszczam, że taki właśnie człowiek zetknął się w kolonii z Kaługinem. Przebywał tam nie pierwszy raz, zdobył już edukację więzienną i kara pozbawienia wolności szczególnie go przeraża. Uczniak-słabeusz należy do przeszłości. Obecny Pataszon to nie byle kto — to zawodowiec. Teraz jego obsługują, jemu dogadzają. Boją się. Teraz już jego osobiście. I nie bez podstaw. Mimo że z pozoru nie jest groźny. Fizycznie wątły, po dawnemu lubi kawały. Niektórzy krótkowzroczni pracownicy więziennictwa uważają nawet Pataszona za całkiem znośnego więźnia. Nie awanturuje się, nie kaleczy brzytwą, nie urządza demonstracji. Nie pracuje wprawdzie, ale to zawodowiec, ma swoje przywileje w tym



światku. Tymczasem Pataszonowi znudziło się odsiadanie kary. Wybuchła wojna, armia się cofa, marzy mu się anarchia, okrutna wolnica, bezrząd, marzą mu się „jego czasy”. I tak oto łączą się sprzeczne interesy nie tylko różnych, lecz biegunowo odmiennych ludzi. Powstaje krótkotrwały tragiczny sojusz. Los im sprzyja.

Szczegółów ucieczki można się tylko domyślać. Nie są jednak istotne. Przypuśćmy, że Pataszon, który miał powiązania ze środowiskiem przestępczym na Zakaukaziu, wysunął plan przedostania się na południe. Strony tu bezludne, przełęcz górskie możliwe do pokonania. Co skusiło Kaługina, nie wiem. Prawdopodobnie Pataszon obiecał mu zdobyć dokumenty, bez których zgłoszenie się na front byłoby niemożliwe, a właśnie tam, jak pokazała przyszłość, Michał Kaługin pragnął zmyć swą winę.

A teraz o samolocie. Lotnik Konstanty Kaługin wypełniał odpowiedzialne zadanie. Powierzono mu ważny ładunek. Ale nie złoto.

Oleg zerwał się.

— To również hipoteza? .

— Nie. To fakt. Ładunek, który wiozł Konstanty Kaługin, znajduje się niedaleko pana. W niszy pod wodospadem.

Z zapartym tchem wydobyli metalową skrzynkę i postawili na brezencie. Niełatwo dała się otworzyć. Każdy pragnął jak najprędzej spojrzeć na jej zawartość. Wreszcie Wołokow podniósł wieko.

— Papiery. — I oddzieliwszy kawałek zlepionego, niemal do szczętu zniszczonego działaniem czasu i warunków atmosferycznych arkusza, dodał: — Nie do odczytania gołym okiem.

— Może dokumentacja techniczna ewakuowanej fabryki?

Lub akta sztabowe? Plany obiektu obronnego czy też sprzętu wojskowego? — zastanawiał się Sosnowski.

— Przychodziło mi na myśl coś takiego — rzekł Mazin. — Jeżeli nawet wysyłano złoto do Iranu, o czym nigdy nie słyszałem, to nie ze strefy przyfrontowej i na pewno nie w ten sposób. Nie wiem, skąd powstała ta legenda i nie w tym rzecz.

Oleg wyglądał na wypartego z pozycji, ale nie na całkiem pokonanego.

— Któż pańskim zdaniem ukrył skrzynkę? Skąd pan się dowiedział o schowku?

Mazin podsunął mu papierośnicę.

— Papiery ukrył Konstanty Kaługin. Teraz wiadomo, że w ostatniej chwili przed katastrofą wyskoczył ze spadochronem. Miał nadzieję, że doskonale zabezpieczona metalowa skrzynka nie rozbije się podczas upadku. Wydobył ją spod szczątków samolotu i ukrył w miejscu całkowicie pewnym. Zrobił wszystko, co mógł. Nie mógł bowiem zabrać jej z sobą. Mimo że nie zawierała złota, była zbyt ciężka, aby z nią wędrować po górskich ścieżkach. Po jej ukryciu Konstanty Kaługin wydrapał na papierośnicy koordynaty. Bał się zaufać tak niepewnemu materiałowi jak papier. Miał wszakże przed sobą wędrówkę przez rzeki, śniegi i nie wiadomo, co jeszcze go czekało!

— Jakim sposobem trafiła do pana papierośnica? — zapytał Oleg.

— Powiem o tym nieco później. Obejrzał ją pan? Przykro mi rozczarować pana, ale lotnik Kaługin nie był pańskim ojcem.

— Nie uważam tego za dowiedzione. Imię jego żony...

— Nie zgadza się. To była Klaudia, nie Anastazja.

— Kobieta, która mnie ocaliła, mogła się pomylić.

— Ale pańska matka zmarła i została pochowana na wsi. A żona lotnika Kaługina przeżyła jeszcze dwadzieścia pięć lat.

Mazin patrzył teraz nie na Olega, lecz na Walerego. On też nie odrywał oczu od podpułkownika.

— Dlaczego pan sprawdzał moją legitymację? — spytał ze ściśniętą krtanią.

— Domyśliłeś się. Musiałem poznać imię twego ojca. Co wiesz o ojcu?

— Sądziłem, że porzucił mamę.

— Nie. Zamordował go Pataszon., Konstanty Kaługin padł ofiarą zbrodni, do której przyznał się Michał Michajłowicz w rozmowie z tobą. Mówię „przyznał się”, gdyż uważał się za współwinnego tej śmierci. W mniemaniu twjej matki mąż jej zaginął bez wieści, a może jeszcze gorzej — zdezerterował, uciekł. Nie potępiaj jej za słabość, Walery. Młoda kobieta z dzieckiem pozostała sama, trudne lata wojny zdają się nie mieć końca. I oto przypadkiem (jak sądziła) Klaudia Fiodorowna poznaje zdemobilizowanego żołnierza, studenta. Studiuje w Moskwie, zamierza zostać malarzem, do Kazania przyjechał na krótko, ale najwyraźniej nią zainteresowany, pisuje do niej, stara się przyjść z pomocą. Któża kobieta pozostanie na to obojętna, zwłaszcza wtedy, gdy — bądźmy szczerzy — mężczyzn jest tak niewielu!

Tymczasem młody malarz proponuje jej małżeństwo. Cóż mogło skłonić go do tego, jak nie prawdziwa miłość? I miłość ta znajduje oddźwięk. Wszakże od zniknięcia Kaługina minęło pięć lat. Wojna się skończyła, rozwiały się nadzieje na jego powrót... chętnie darzymy ludzi wiarą, boleśnie przeżywamy zawody, ale byłoby niesprawiedliwością żądać od Klauдії Fiodorownej, by pozostała bezgranicznie wierna pamięci

męża i dla niej wyrzekła się życia. Tym bardziej że nie mogła wiedzieć, co przywiodło do niej Michała. Jeszcze nie Kaługina...

Na każdy ludzki postępek składa się cały kompleks motywów. Myślę, że i w przypadku Michała Michajłowicza było ich bardzo wiele. Wydaje mi się jednak, że głównym motywem jego decyzji było pragnienie odkupienia winy. „Jakiej?” — zapytacie wszyscy, a zwłaszcza ty, Walery. Jestem na równi z tobą przekonany, że malarz Kaługin nie zabił lotnika Kaługina. Wierzę i w jego słowa, i w całe życie, jakie przeżył od tego dnia. Ale istnieje poza tym wiedza kryminalistyczna, która, mam nadzieję, udowodni to w sposób niepodważalny.

Poczucie winy gnębiące Michała Michajłowicza wynikało z głębszego podłoża niż sama świadomość, że nie ocalał lotnika, że stał się mimowolnym współnikiem zbrodni. Wydaje mi się, że ten wypadek zamknął, przypieczętował szereg błędów, które zaczęły się od owego strasznego dnia, gdy zgodził się ochraniać swych koleżków rabujących kiosk. Wtedy, gdy podejmował pierwszą decyzję ucieczki, był już winowajcą. Był nim również, gdy próbował rzucić się pod pociąg i gdy uciekał tym razem „szczęśliwie”.

Są to oczywiście postęпки różne i w różny sposób należy je rozpatrywać, mają jednak pewną cechę wspólną — z każdym błędem rosło poczucie winy wobec życia, wobec ludzi, wobec siebie samego, zwężała się droga, coraz ciemniej było przed nim, coraz posępniej. I nagle jak piorun — śmierć lotnika! Morderstwo...

Dlaczego Pataszon go zabił? Aby zdobyć pistolet czy pozbyć się niepotrzebnego świadka, na którego niespodzianie natknęli się w drodze? W każdym razie nie w celu zagarnięcia skrzynki. Lotnik ukrył ją wcześniej. Zbiegowie nawet nie

podejrzewali jej istnienia... Była to z całą pewnością nikczemna, bestialska zbrodnia. I musiała do głębi duszy wstrząsnąć młodym chłopcem. Zrozumiał wreszcie, dokąd prowadzą takie błędne szlaki.

Nie wiem, jak się rozstali z Pataszonem. Dalsze przygody tego ostatniego wykryje śledztwo, wiadomo jednak, że drogi jego i Michała rozeszły się nagle. Niestety, nie na zawsze.

O późniejszych wydarzeniach sądzić już łatwiej. Młody człowiek, po tym straszliwym wstrząsie, dostaje się na front i tam nie szczędzi swego życia. Na jego mundurze pojawiły się baretki odznaczeń. Przelewał własną krew, miał więc podstawy uważać, że wyrównał całkowicie rachunek za niewielkie w gruncie rzeczy wykroczenie, popełnione przez chłopięcą nierozwagę. Nie zdobył się jednak na to, by przyjść i powiedzieć całą prawdę.

Pozornie nie było nawet takiej potrzeby. Po długim okresie klęsk nadeszła dobra passa. A jak się zaczyna powodzić, to zwykle pod każdym względem. Nawet tam, gdzie się nie od razu to zauważa. Michał Michajłowicz żył i walczył pod przypadkowo uzyskanym nazwiskiem. Niezbyt pięknie brzmiącym. Znasz je, Walery?

— Tak.

— Maryna również je znała. Zachowało się w dokumentach. Trudno pomyśleć, by wybrał je świadomie. I nie tylko ze względów estetycznych. Drażni bowiem słuch, zwraca uwagę i pozostaje w pamięci. A zatem nie było wyboru, musiał skorzystać z tego, co się nawinęło pod rękę. Jak się to stało, na razie nie wiadomo, wiem natomiast, w jaki sposób Michał Michajłowicz uwolnił się od tego nazwiska, które było nieprzyjemne i stale mu zagrażało zdemaskowaniem

przeszłości. Wiedzieli również wszyscy w jego rodzinie, nie podejrzewając prawdziwej przyczyny tej zmiany.

Czy dużo mężczyzn przyjmuje nazwiska swych żon? Są to przypadki sporadyczne. Jeżeli ktoś się na to decyduje, to nie z byle powodu. Muszą istnieć przekonujące podstawy, by taka rzecz wydała się otoczeniu usprawiedliwiona, nie wzbudziła podejrzeń. Cóż może być naturalniejszego nad fakt, że młody malarz pragnie zmienić nazwisko Durakow? Nie do pomyslenia taki afisz: „Wystawa Durakowa”! Świetny pretekst do kpin! A ludzie sztuki są bardzo drażliwi. Żona to rozumie. Wprawdzie nazwisko Kaługin należy do jej pierwszego męża, ale przecież i do syna! A więc to niemal równoznaczne z usynowieniem.

W ten oto sposób pojawia się Michał Kaługin. Więcej w tym szczęśliwego zbiegu okoliczności niż wyrachowania. A jeśliby nawet, to nie z pobudek egoistycznych. Poczucie winy wobec zamordowanego, wobec jego syna, pragnienie, by odpokutować własne błędy, rozpocząć nowe prawdziwe życie wraz z rodziną — wszystko to widać najwyraźniej.

Wydaje mi się, że rozumiem tego człowieka i jego postępowanie. Nawet to, że mimo wielkiego przywiązania do ciebie, Walery, wzdragał się przed formalnym usynowieniem. Uważał na pewno, że nie ma prawa odebrać ci ojca, wykreślić go z twego życia. Tylko on jeden z rodziny znał prawdę, wiedział, że Konstanty Kaługin padł ofiarą okoliczności i złej woli. I nie mógł okraść zamordowanego i oszkalowanego człowieka. Mam podstawy przypuszczaj, że Michał Michajłowicz od początku zamierzał wyznać ci prawdę.

Kłamstwo gnębiło go, zatruwało radości i sukcesy. Godził się z nim w nadziei, że przyjdzie chwila, gdy będzie mógł zwierzyć się tobie i sprawiedliwości stanie się zadość. Jakież

to było trudne! Czy Klaudia uwierzy mu bez reszty, czy nie zacznie podejrzewać o morderstwo męża? A ty, jak to przyjmiesz, Walery?

Kaługin nieodwołalnie potępił pierwszą część swego życia, W drugiej jednak miał się czym chlubić. Talentem i pracą zdobył zasłużoną sławę. Wobec rodziny postępował w sposób, jak mu się zdawało, jedynie słuszny. Z latami rosta pewność, życie nabierało sensu. I wszystko to trzeba było poddać twojemu sądowi, Walery, sądowi człowieka niedojrzałego, który nie przeżył znikomej części tego, co przeżył on, i wielu rzeczy nie był w stanie pojąć. Jednakże Kaługin nie widział innej drogi. Uniknął sądu formalnego, ale nie mógł też całkowicie polegać na własnym. Tylko ty, jego zdaniem, miałeś prawo go sądzić. Ponieważ byłeś synem Konstantego Kaługina.

Powróćmy jednak do faktów. Słusznie się mówi, że świat jest mały. Pracując nad obrazem o lotnikach (chyba nie przypadkowo!), Kaługin poznał Olega Pieriewozczikowa poszukującego ojca, który miał zginąć w wiadomych nam okolicznościach. Chciałbym, by Oleg jeszcze raz potwierdził ten szczegół. Nie wspominał pan o złocie?

— Nie.

— To leży w pańskim charakterze, sądzę jednak, że znajdą się w nim i piękniejsze rysy.

Oleg przesunął palcami po bródce.

— Na pierwszy rzut oka zdawałoby się, że los znów sprzyjał Michałowi Michajłowiczowi. Pomyślcie tylko! Zapewne rozumował następująco: Oleg jest na, mylnym tropie, niech więc znajdzie ten samolot. Prawda o lotniku Kaługinie wyjdzie na jaw, hańbiące piętno zostanie starte.

Walery dowie się o ojcu wszystkiego... poza tym jednym, że ojczym był niegodnym świadkiem jego ostatnich chwil...

W ten sposób odkryje się tylko prawda niezbędna. Rachunek zostanie wyrównany, a tajemnica pogrzebana raz na zawsze. I oto po krótkich wahaniach Michał Michajłowicz nie osobiście, lecz listownie zaprasza Olega do Dagezanu, wysuwając warunek...

— Dość chytrze pomyślane — zauważył Oleg.

— Nie. Kaługin nie był spryciarzem. Raczej człowiekiem słabej woli, skłonny do rozwiązań, które niejako same się napraszały, leżały na powierzchni. Nigdy nie umiał stawić czoła okolicznościom. Nawet podczas ucieczki... Ciężko mu kłamstwo, wołał jednak pozostać na granicy półprawdy. Konsekwencją tej półprawdy była jego śmierć. Ale pan nie ma prawa stawiać mu zarzutów, Oleg! Pan również ukrył to, co uważał za prawdę! A dwie półprawdy to już całe kłamstwo i właśnie ono zdeterminowało przebieg tragicznych wydarzeń.

Oleg poskubał brodę, lecz nic nie powiedział.

— Kaługin stara się, by pan nie tracił czasu na próżno. Gdy się wyjaśniło, że dotarcie do rozpadliny jest dla pana zbyt trudne, posyła tam Matwieja — najlepszy dowód, że nie wiedział nic o ładunku. Natomiast pan zdenerwował się niesłychanie.

— Zależało mi na tym, by odnaleźć złoto i zwrócić je państwu.

— Wiem. Dlatego zdecydował się pan z dużym opóźnieniem zaufać Kaługinowi. Jak on zareagował na pańską informację?

— Był zdumiony.

— Z pewnością nie tylko zdumiony, ale i ucieszony. Pomagając panu nie zakładał, że poza sprawą osobistą działa w interesie państwa. Uwierzył panu, lecz uwierzył również Matwiejowi, że nie znalazł złota. Wiedział, że lotnik nie



zginął w samolocie, wyskoczył ze spadochronem i jakiś czas przebywał na miejscu katastrofy. A zatem mógł ukryć ładunek. Gdzie? Klucz od tej zagadki spoczywał w kieszeni Kaługina. Dowiedziałem się o tym od Koli.

Strażnik przysunął się bliżej.

— Mówi pan o papierośnicy, Igorze Nikołajewiczu?

— Tak. Kiedy oddałeś ją Kaługinowi?

— Od razu, jak wróciliśmy z Kolą, zaszedłem do Michała Michajłowicza. Mówię, że tak i tak, lawina jak most się położyła i przejść można, chociaż z trudem, jest tam samolot, to znaczy tutaj, i leży szkielet, a w kieszeni, czyli tam, gdzie była kieszeń — ta papierośnica. Trochę ją podczyściłem.

— Przeczytałeś napis?

— A jakżeby! Klaudia mu podarowała. I jeszcze jakieś listery... Myślałem, że to dane lotnicze, skąd mogłem wiedzieć, że tu...

— Tak, tak. Co ci powiedział Michał Michajłowicz?

— Powiedział, zostaw mi to na razie, Matwieju, ten młodzieniec z brodą szuka tu pewnych rzeczy i chce napisać do gazety o tobie i o mnie, tylko trochę później, jeszcze nie wszystko znalezione, więc nie trzeba nikomu o tym mówić, żeby nie przeszkodzić w zbieraniu materiałów czy jakoś tam...

— I nikomu więcej nie wspominałeś o papierośnicy?

— Później nie.

— Pozwoli mi pan zadać pytanie — wmieszał się Oleg.

— Kiedy Kaługin powiedział ci o złocie?

— Nigdy w życiu! Żebym się z tego miejsca nie ruszył!

Mazin przeciął kłótnię w zarodku.

— Proszę o spokój! Kaługin pytał Kolę, który był tam wraz z ojcem. Przecież nie mówił panu, że rozmawiał z

Matwiejem. Powiedział tylko, że Filipienko nie przywłaszczył złota. Wątpliwe, czy oddałby papierośnicę, gdyby się orientował, co oznaczają wy drapane na niej cyfry.

— To naiwne! Nie pojmuję, czemu pan z takim uporem broni Filipienki? Powiedzmy, że oddał papierośnicę. Ale przecież była rozmowa z chłopcem! Czyżby pan sądził, że, syn niczego...

— Nonsens, Oleg! — podniósł się zniecierpliwiony Walery. — Zostaw Matwieja w spokoju. Dosyć namędrkowałeś. Przetrzyj okulary i siedź cicho.

— Nie unoś się, Walery — ostrzegł go Mazin.

— Przepraszam, Igorze Nikołajewiczu! Dziękuję, że rozplątał pan ten węzeł. Mnie jest najtrudniej... Nie mieści mi się w głowie, że obok leży mój ojciec. Strach podejść i spojrzeć. Nie wątpię jednak, że intencje i życie Michała Michajłowicza były takie, jak pan mówił. Widziałem to wszystko, czułem, ale skąd... Pan przecież wie... On też był mi ojcem. I nigdy się go nie wyrzeknę. Ale dlaczego milczy pan o człowieku, który dwukrotnie zabił ojca? Domyślam się... macie swoje metody... Jednakże ten łotr może umknąć!

— Nie, Walery, on nie żyje.

— Nie żyje?! Przecież go widziałem, jak wsiadał do śmigłowca.

— Widziałeś Kuszniariewa a nie Pataszona. A to dwaj różni ludzie. To samo powiedział ci Michał Michajłowicz. Pataszon to Demianycz. Pozostałe jego imiona ustali Dmitrij Iwanowicz.

— Ale on został zabity. Czyżbym ja...

— Nie. Możesz jednak uważać, żeś się z nim skwitował. Co więcej, uratowałeś chyba własne życie. Postaram się uzasadnić mój punkt widzenia. Michał Michajłowicz, jak wiemy,

usłyszał o złocie od Olega. Ale skąd dowiedział się Pataszon?

W rozmowie ze mną wspomniał, że spotkali się na bazarze w Trigorsku. Malarz Kaługin i... pasiecznik Demianycz. Trzeba tu dodać, że najzuchwalsi, pozbawieni skrupułów przestępcy na starość niesłychanie troszczą się o swe zdrowie. Może zdają sobie sprawę, że cudem udało im się dożyć późnego wieku i pragną ten cud za wszelką cenę przedłużyć. Stąd też stosunek Pataszona do przyrody nie stanowi zbyt wielkiej zagadki. Zrozumiała jest również skłonność do domoroślej filozofii. Próbował po swojemu zastanowić się nad minionym życiem, choć nie dostrzegł w nim niczego poza „mądrą bezwzględnością”, jak mi szczerze oświadczył. Tak czy owak, nadeszła starość, sił ubywało. Możliwe, iż doszedł do wniosku, że z dawnym życiem trzeba skończyć, zajął się pszczołami, nie bez korzyści — bo i dochód z tego, i miód dla zdrowia dobry...

Złudny spokój! Człowiek tego typu nie jest zdolny się zmienić, nawet gdyby tego pragnął. Pół wieku bez mała przestępczego żywota to nie błąd młodzięńczy. Wątpliwe zresztą, by Pataszon żałował przeszłości. Nie zmienił się, stracił tylko zębę. Niestety — nie wszystkie...

Kaługin zapewne nie poznał Pataszona. Nic dziwnego. Nie widzieli się dziesiątki lat, znali zaś niedługo i wyglądali w owym czasie inaczej. „Demianycz”, jak się okazało, miał lepszą pamięć. Odezwała się wilcza natura, wiecznie w biegu, nie ma czasu do namysłu, trzeba w lot rozróżnić, kto wróg, a kto swój, inaczej nie ujdzie się cało. Ale i on nie był całkiem pewny. I gdyby Kaługin z życzliwości serca nie zaprosił pasiecznika do Dagezanu, możliwe, że nie doszłoby do tragedii.

Ale kontakty już zostały nawiązane, był czas, żeby się przyjrzeć. I Pataszon zdobywa pewność. Cóż robić? Najrozsądniej byłoby uciec stąd jak najdalej. Nie! To nie taka natura. Tu można się obłowić i nie tylko obłowić, lecz jeszcze poznać się, doznać sadystycznej rozkoszy pastwić się nad bezradnym, złapanym w potrzask człowiekiem. Taktykę wybrał równie nikczemną, nie ujawniał się otwarcie, lecz stopniowo, aluzjami — domyśl się sam, czy to ja jestem, ale i tak nie licz na spokój ani litość.

Jak sobie przypominasz, Walery, Kaługin był coraz bardziej zgnębiony, lecz — zwyczajem ludzi znajdujących się w rozpaczliwej sytuacji — nie tracił jeszcze nadziei. I nagle — złoto. Rozumiecie, co dla Pataszona oznaczało to słowo? To już nie pieniądze, papierki, które zamierzał wyłudzić szantażem. To sama esencja jego życia, symbol, można powiedzieć. Tak powstały sprężyny działania. Pomnóżcie ten złoty miraż przez złość, nienawiść do Kaługina, którego w mniemaniu Pataszona niesłusznie życie obsypało łaskami, przez strach ogarniający go w miarę, jak wyświetlała się historia rozbitego samolotu, wyobraźcie sobie psychologię i doświadczenie zawodowego przestępcy, a staną się zrozumiałe i determinacja tego na pozór cherlawego staruszka, i jego niespodziewana energia i, powiedzmy szczerze, nieprzeciętna bystrość, która długo zbijała mnie z tropu. Inna sprawa, że na każde zręczne posunięcie przypadał też jeden błąd, mało zauważalny, ale nieunikniony. To prawidłowość.

Skąd się dowiedział o złocie? Nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie bez pańskiej pomocy, Oleg.

Zachowanie Olega wyraźnie się zmieniło. Nie zareagował już na słowa Mazina jak na kolejną napaść pod swoim adresem.

— Niewykluczone, że podsłuchał moją rozmowę z Michałem

Michajłowiczem. Pamięta pan, gdy jechaliśmy samochodem, dowiedziałem się od Hali, że samolot został znaleziony. Wstąpiłem z nią do Matwieja.

— Tak było — skinął głową strażnik.

— Prosto od ciebie poszedłem do Kaługina. Otworzył mi osobiście. Powiedziałem, że muszę zamienić z nim parę słów w ważnej sprawie. Zaproponował, byśmy porozmawiali na dworze.

— Nie zaprosił pana do środka?

— Nie. Teraz rozumiem. Przed domem stał przywiązany do drzewa osioł. I Kaługin mówił ściszym głosem. Był zdenerwowany. Chyba staliśmy niedaleko otwartego okna. Ale koło garażu.

— W garażu jest przejście wewnętrzne — rzekł Sosnowski.

— Tak, rzeczywiście. Pataszon, spostrzegłszy mnie, mógł zejść do garażu i podsłuchiwać stojąc przy oknie. Ale kto by przypuszczał?

— Istotnie, trudno było przypuszczać — zgodził się Mazin. — Dobrze, że wyjaśniliśmy ten fakt. Dziękuję, Oleg. W ostatnich dniach Pataszon z pewnością śledził każdy krok Kaługina. Nie spuszczał go z oka i równocześnie węszył za wszystkimi, którzy w ten lub inny sposób stykali się ze sprawą samolotu. Nie wyłączając ciebie, Matwieju.

— Moja wina, Igorze Nikołajewiczu.

— Powiedz już wszystko. Kto się przyznaje, temu głowy nie utną.

— Przyłapał mnie, drań, jak wróciłem znad Czerwonej Rzeczki. Idę do Michała Michajłowicza, a ta zaraza truchta na swoim ośle. „Jak się masz, Matwieju — gęga słodziutko. — Skąd idziesz, dokąd?” No i wypaplałem mu wszystko, pokazałem papierośnicę. Macał ją, macał i oddał.

— To było przed rozmową z Kaługinem?

— Tak. A potem jeszcze gorsze głupstwo zrobiłem. Poszedłem do niego i prosiłem, żeby póki co nie gadał o tej papierośnicy. I że ją dałem Michałowi Michajłowiczowi.

— To ważny szczegół, Matwieju — rzekł z zadowoleniem Mazin. — Nowy dla mnie. A więc Pataszon, śledząc całą sprawę, zebrał sporo informacji wprawiających go w coraz większy niepokój. Wyprowadził w pole prawie wszystkich. Niestety ja i Borys Michajłowicz nie stanowimy wyjątku. Będąc u nas, dowiedział się, że Kaługin zamierza porozmawiać z Sosnowskim, z prawnikiem. Wprawdzie rozmowa się nie odbyła, jednakże dłużej zwlekać nie można, Kaługin się zdecydował...

I Pataszon się zdecydował. Huknął strzał. Zuchwały, niespodziewany i na nieszczęście — celny. Szczegóły nie są zbyt ważne. Możliwe, że idąc do mansardy Pataszon nie miał jeszcze spreycyzowanego planu. Może próbował nastraszyć Kaługina, zmusić go, by odstąpił od swego zamiaru. Michał Michajłowicz z pewnością nie dał się ugiąć, nie przypuszczał, że grzmot zagłuszy huk strzału, zresztą w ogóle trudno mu było uwierzyć w coś takiego, tyle lat przeżył w zupełnie innym świecie...

Zwodnicze szczęście towarzyszyło Pataszonowi. Wyśliznął się z pokoju i wrócił niepostrzeżenie. Potem, na prośbę Maryny Wiktorowny, udał się do pracowni, „odkrył” trupa i zawołał Sosnowskiego i mnie. Wtedy, gdy podejrzenie de facto padało na wszystkich, Demianycz był w sytuacji lepszej niż inni. Ale przestępca czuje się zagrożony. Skłonny jest przeceniać, wyolbrzymiać owo zagrożenie i wszelkimi środkami stara się zapewnić sobie, poszerzyć niejako rzeczywiste czy też pozorne bezpieczeństwo.

I oto nadarza się Pataszonowi wyjątkowa okazja zdobycia

doskonałego psychologicznego alibi. Usłyszawszy, że Borys Michajłowicz zamierza oznajmić zebranym, iż Kaługin żyje, dokonuje posunięcia, które nazwałbym nieprzeciętnym. „Zabija” malarza powtórnie! Któż będzie o to podejrzewał człowieka znajdującego rzeczywisty stan rzeczy? Pataszon użył w tym celu noża, który uważał za twój, Walery. Nowa możliwość odwrócenia podejrzeń, rozszerzenie strefy bezpieczeństwa! Ale jak on zdobył ten nóż?

— Zdaje się, że rozumiem — powiedział dziennikarz i wysunął palec przez dziurę w kieszeni dzinsów. — Walery otworzył butelkę, zwrócił mi nóż, ja zaś włożyłem go nie do specjalnej wąskiej kieszonki, lecz do tej dziurawej. W zamieszaniu, jakie wywołała wiadomość o wypadku, nie zauważyłem, że nóż wysunął się i upadł na skórę niedźwiedzią, na której stało moje krzesło. Przy słabym świetle świec można było z łatwością podnieść nóż nie zwracając niczyjej uwagi.

Mazin kiwnął głową.

— Słusznie, powinienem się być tego domyślić. Dokładniej obejrzeć pańskie ubranie i przypomnieć sobie, gdzie kto siedział. Pataszon, gdy obaj z Borysem byliśmy na poczcie, raz jeszcze wśliznął się do mansardy. Ten ostatni manewr wprowadził mnie w błąd, aczkolwiek czuło się w nim jakąś sztuczność, mistyfikację. Było to jednak dość niejasne wrażenie. Do chwili swej śmierci Demianycz majaczył mi gdzieś na drugim planie. Dopiero jego śmierć, choć brzmi to paradoksalnie, przetrząsnęła chaotycznie nagromadzone fakty, grupując je w pewien system. Zdawałoby się, że właśnie śmierć powinna stać się dla skromnego pasiecznika najważniejszym alibi wpisując go bez wątpliwości w rubrykę „ofiara”, a nie „przestępca”. Tymczasem Pataszon jeszcze przed śmiercią

nagromadził tyle dowodów swej niewinności i braku jakichkolwiek powiązań z całą sprawą, że zabójstwo „Demianczyca” byłoby absolutnie niewytłumaczalne, gdyby nie postawić pod znakiem zapytania wszystkich tych „dowodów”.

Poszedłem więc wstecz. Analizowałem nie poszlaki, lecz alibi oraz inne towarzyszące okoliczności. Powoli i nie bez porażek przedzierałem się przez fakty. Tak było na przykład ze śladami na śniegu. Pierwsze wrażenie — pasiecznik biegł w pośpiechu. Ta wersja prowadziła w ślepą uliczkę. Walery przyszedł mi z pomocą. Wspomniał o butach, jakie miał na nogach Demianczyca...

— Ale któż go zabił, Igorze Nikołajewiczu?

— Zaraz się dowiemy. Wyjaśnijmy najpierw, jakim sposobem znalazł się w rzece, gdyż orzeczenie Gleba, że śmierć nastąpiła wcześniej, jest bezsporne. Gdy mi powiedziałeś, że przyszedł w skórzanych butach, przypomniałem sobie, co mi mówił o gumowcach. Że są na niego za duże i chce je odstąpić Matwiejowi...

— Igorze Nikołajewiczu! — przerwał Filipienko.

— Cierpliwości, Matwieju. Po kolei. To całkowicie zmieniło obraz. Nie były to już odciski stóp małego biegnącego człowieka. Zostawił je wysoki, idący normalnym krokiem mężczyzna, który niósł jakiś ciężar i stąd większy nacisk na palce.

— Tak jest, Igorze Nikołajewiczu, ale nie ja...

— Nie ty. A czyje są te podkówki? — Mazin wskazał szerniałe kawałki żelaza na brezencie. — Skąd się wzięły?

— Znalazł je pan w letniej kuchni?

— Tak. Dzięki twemu synowi. Kiedy ci przyszło do głowy zamienić buty?

— Doniosłem go do rzeczki, oglądam się, a tu ślady jakby kto specjalnie wytłoczył. No, ładne rzeczki, myślę. Pozacieram,



to i tak zauważą. I nagle mi wpadło na myśl, że przecież nikt nie widział, jak on mi te przekłete gumowce przytargał. A na nim widzieli. Rozsznurowałem mu buty i zamiast nich wsadziłem gumowe.

— Bez onuc?

— Gdzie mi to w głowie było.

— A jakim cudem wlaży na twoją nogę buty o dwa numery mniejsze?

— Po kiego diabła miałem je wpychać?

Mazin wybuchnął śmiechem.

— Byłem o tym przekonany. Jesteś jedynym człowiekiem, który mógłby bosą nogą przejść w bród lodowatą rzekę. Walery by się na to nie zdobył.

— Ja tam zwyczajny.

— Czy jednak zauważyłeś, Matwieju, że te fakty świadczą na twoją niekorzyść?

— No jakżeby! Dlatego uciekłem. Ale pan przecież wie, jak było.

— Jeszcze niezupełnie. Co zrobisz, gdy wszedłeś do chaty?

— Otworzyłem szyber.

— Świetnie! — ucieszył się Mazin.

— Są tam odciski jego palców — potwierdził Gleb.

— Co to znaczy? — zapytał Walery.

— To znaczy, że Pataszon zmarł wskutek zaccadzenia. A Filipienko, wszedłszy do chaty, zobaczył, co się stało, i otworzył szyber.

— Tak jest, Igorze Nikołajewiczu. Otworzyłem drzwi, a tu czad bucha. Ta gadzina leży na podłodze skurczony, oko ma podbite. Ruszyłem go, ale gdzie tam, murowany nieboszczyk. A to nieszczęście! — myślę. — Jeżeli mnie kto widział, jak tu szedłem, a księżyc akurat świecił, pamięta pan, znów

na mnie zwałą. Kula, karabin i jeszcze to — choćbym na łbie stanął, nie dowiodę swojej niewinności. Aż mi się płakać chciało. Tylko wiadomo, że łzy nic nie pomogą. Jedyne wyjście — wrzucić trupa do rzeczki. Nikt się nie domyśli, gdzie się podział. Wysunąłem głowę, rozglądałem się, cisza. Zarzuciłem go na plecy — matko jedyna! Ślady zostają. Ale o tym już było. Cisnąłem go do rzeki, a sam polazłem z butami w rękę. Myślałem, że prąd zniesie, a tego zaraz wyrzuciło.

— Buty spaliłeś w piecu?

— A co miałem robić? Podrzucić gdzie, to znajdą. Zakopać też mi się nie chciało, a w piecu akurat się paliło.

— Kto mógł zasunąć szyber? — przypomniał Walery.

— Zaraz się dowiesz. Po co przyszedłeś do chaty, Matwieju?

— Chciałem się zobaczyć z Walerym.

— Po rozmowie z Demianyczem?

— Aha. Jak mi przyniósł gumowce. Nie kapowałem, o co mu chodzi. Strasznie mętnie gadał. Niby straszył, niby coś obiecywał.

— Wytłumaczę, Matwieju, czego chciał. I jak znalazł własną śmierć... Mówiłem już, że śmierć pasiecznika stała się punktem przełomowym w moim rozumowaniu. Przedtem skupiałem niemal całą uwagę na osobie Kaługina. Udało mi się zdobyć sporo informacji od Maryny Wiktorowny i od Kuznariewa. Coraz bardziej utwierdzałem się w przekonaniu, że korzenie tego konfliktu sięgają głęboko w przeszłość, że odkrycie samolotu poruszyło jakieś nieznanne moce działające dynamicznie i bezpardonowo. Łuska, którą tu widzicie, była wymownym świadectwem, że siły te nie zostały poskromione. I oto nagle ugodziły jak grom w poczciwego pasiecznika!

Zamordowano staruszkę... Pierwszą moją myślą było: dlaczego, skoro nie był w nic zamieszany? Ale czy rzeczywiście nie był? Przyniósł do chaty butelkę wódki, mimo że sam nie pił. Przyszedł w nocy. Widocznie chciał załatwić jakieś pilne, niezbyt jasne, wymagające „naoliwienia”, kłopotliwe sprawy. Tak nie postępuje człowiek niezainteresowany, trzymający się na uboczu. Wszystko wskazuje na to, że szedł do Walerego, a podejrzenia, padają na Matwieja. I to jakie! W zestawieniu z niewinnym poczciewcem, jakim wydawał się pasiecznik, Filipienko przedstawiał się w coraz czarniejszych kolorach. Tak czarnych, że zaczynały budzić wątpliwości. Cóż za potworna nikczemność! Zamordować Kaługina, godzić na moje życie, utopić pasiecznika! Tymczasem w tej historii z kulą Matwiej bynajmniej nie wydał mi się człowiekiem chłodnym i przebiegłym, lecz prostolinijnym i naiwnym.

W dokonywanej retrospekcji było jedno szczególnie przykre ogniwo: nie mogłem zrozumieć, w jakim celu strzelano do mnie. Wspólnie z Borysem daliśmy się zwieść śmiałej, aczkolwiek niezbyt dla nas pochlebnej hipotezie, mianowicie, że ja coś przegapiłem, przeciwnik zaś sądzi, że jest odwrotnie i że go mam w ręku. Hipoteza się sprawdziła. Przeciwnik istotnie uganiał się za pewną decydującą poszlaką, ale nie za mną, choć przedmiot ten był w moich rękach, tuż pod nosem. *Sensu stricto*, to wcale nie przenośnia.

Oto chusteczka, którą wycierałem nos krzywiąc się z powodu jej dziwnego zapachu. W wodzie i na mrozie zapach stracił ostrość, prawie się ulotnił, niemniej jego pochodzenie nie ulega kwestii. Michał Michajłowicz miał zwyczaj wycierać chusteczką farby, jeśli mu chwilowo zabrakło szmat. Czy wiesz, Walery, że ta chustka mogła nas obu kosztować życie? Niewiele brakowało.

Nie mogłeś sobie przypomnieć, skąd się u ciebie wzięła. Powiedziałeś, że chyba przypadkiem, z pracowni. Nie. Z pracowni zabrał ją Pataszon, nie przypuszczając, że stanie się ona przyczyną panicznego strachu, który nie opuści go do ostatnich chwil życia, popchnie do nowych zbrodniczych czynów i w rezultacie doprowadzi do jego śmierci.

Mazin rozpostarł chustkę.

— Popatrzcie, tu są ślady farb, plamy sadzy i mniej widoczne oleiste smugi. Smar od dubeltówki. Pataszon wycierał chusteczką odciski palców. Kaługin, jak wiadomo, rzadko używał strzelby, była więc dobrze naoliwiona. Wytarłszy po strzale lufę oraz kolbę, morderca wsunął chustkę do kieszeni kurtki. Po zejściu na dół albo o tym zapomniał, albo całkiem słusznie zakładał, że nie będą przecież grzebać po kieszeniach. W każdym razie powiesił kurtkę w przedpokoju, ale pewien drobny szczegół uszedł jego uwagi.

— Wiem, Igorze Nikołajewiczu! — przerwał Walery. — Jego kurtka wisiała obok mojej. Podobne są jak dwie krople wody. Sięgnąłem po chustkę, wyjąłem ją i zapomniałem...

— Wyjąłeś ją z całą pewnością! A Pataszon to widział. Nietrudno wyobrazić sobie jego stan. Wiedział, że ojciec rozmawiał z Walerym. Co mu zdążył powiedzieć? Walery wyciągnął z kieszeni Pataszona obciążający dowód. Czy można to nazwać przypadkiem? Wreszcie Walery nie ukrywał antypatii do pasiecznika. Instynktownej. Tamten jednak nie mógł o tym wiedzieć. Walery wprawdzie zwleka, nie zdradza się z niczym. Ale co kombinuje ten niezrównoważony chłopak? I jak się zachowa, gdy przyjedzie milicja? Nie, nie wolno czekać do przyjazdu milicji. Trzeba działać natychmiast! Nowe morderstwo jest również chytrze zaplanowane. Jednakże chytre pomysły nie zawsze dają się łatwo

zrealizować, tym bardziej dwa razy z rzędu. Pataszon postanowił zastrzelić Walerego z karabinu Filipienki, zostawić łuskę i odsunąć niebezpieczeństwo jeszcze dalej, wplątując nowego człowieka. Powiedziałem: zastrzelić Walerego — i to właśnie było rozwiązanie, którego tak długo nie mogłem znaleźć. Pataszon nie na mnie polował! Chata, w której miałem zwyczaj przesiadywać, osłabiony na starość wzrok i pomyłka gotowa.

Matwiej, rzecz jasna, był zaskoczony. Najpierw stary z najniewinniejszą miną przyniósł mu karabin. A potrafił świetnie odgrywać pocziwca, starość i cherlawy wygląd wykorzystywał jak dobry aktor. Potem przylatuje Kola: ktoś strzela! Twoje nerwy, Matwieju, nie wytrzymały. Zrobiłeś głupstwo z tą kulą.

— Tak jest, Igorze Nikołajewiczu — przyznał strażnik.

— Ale syn i tu ci pomógł. Co prawda w niezbyt przyjemnej dla mnie formie. Oświadczył kategorycznie: „Mój tatko by nie spudłował!”

— Chyba nie, Igorze Nikołajewiczu.

Wszyscy parsknęli śmiechem.

— Jaką to sieć na mnie zarzucił ten gad! On będzie zabić, a mnie, znaczy się, do ciupy.

— Możliwe, że groziło ci nawet coś gorszego. Plany Pataszona co do ciebie były szersze, bardziej przebiegłe. Jak to sobie kombinował? Otóż w samolocie było złoto, ale go nie znaleźli. I nie znajdują, ponieważ Kaługin nie żyje, a papierosnicę ma Pataszon. Trzeba więc przeczekać, aż minie cały zamęt i spokojniutko wszystko sprzątnąć. Tylko jak? Na osłe tam nie zajedzie, piechotą nawet Oleg nie dał rady. Nie dla Pataszona takie wycieczki. Ale Matwiejowi się uda. Więc dalejże — raz mu baty, raz kwiaty. Nastraszył go, potem daje

gumowce. Wiedz, z jakim człowiekiem masz do czynienia! Byłeś mu potrzebny, Matwieju, tylko ty mogłeś tam dotrzeć po złoto.

— Wprost nie mówił, Igorze Nikołajewiczu, ale tak ogródkiem: „Mam dobry interes na oku. Trzymaj się mnie, a nie zginiesz...” Tak plół...

— No, a co cię czekało, nietrudno odgadnąć. Dzielić się i zostawiać świadka, to już byłoby wbrew zasadom Pataszona. Wróćmy jednak do Walerego. Plan mordercy się nie powiódł. Przecenił swoje możliwości — już nie te oczy i nie te ręce. We mnie też nie trafił jak należy. A czasu było już niewiele. Pogoda się poprawiła. I choć Pataszon przy każdej okazji napomynał o twojej winie, Walery, potwierdzić ją mogło tylko „samobójstwo” lub przynajmniej nieszczęśliwy wypadek wyglądający na samobójstwo uwikłanego, dręczonego wyrzutami sumienia, pijanego człowieka. I oto z butelką w kieszeni Pataszon idzie do ciebie. Po drodze znosi buty Matwiejowi — podbudował rozpoczętą intrygę, zyskał jeszcze jedno półtalib. Jeśli nawet ktoś zwróci uwagę na jego nocne spacerki, to był u Filipienki. Spotkał Olega z Haliną: „Dokąd to?” — „Do Matwieja”. Wszystko gra! Nie wiedział tylko, że daremnie się trzodzi, że złoto nie istnieje, że tymi fortelami oszukuje przede wszystkim siebie, że beznadziejnie i bez wyjścia zabłąkał się w swoim nierealnym świecie, zrodzonym z obłąkańczego splotu chciwości i strachu. Nie, nie uważam go za wariata. Był na swój sposób normalny i gdyby żył, sąd nie mógłby zastosować złagodzonego wymiaru kary. Jednakże z ludzkiego, humanitarnego punktu widzenia nie można postępowania Pataszona nazwać normalnym.

Można się go jedynie obawiać. Ale ty chyba daleki byłeś od tej myśli, Walery? Mimo że nie chciałeś pić samogonu.

— Samogonu?

— Tak. W butelce zamiast wódki był samogon. Sześćdziesiąt procent z hakiem. Miałeś już w czubie i szklaneczka takiego napoju na pewno zwałiby cię z nóg. O to właśnie chodziło. Pełen żaru piec dogasał...

Walery uderzył się dłonią w czoło.

— Wiem, kiedy on zasunął szyber. Wyszedłem na chwilę...

— Teraz wszystko jasne. Gdyby go w twojej obecności zasunął, mogłoby to być ryzykowne.

— Wyszedłem. Aż mną zatrzęsło, jak zobaczyłem tę wstrętną mordę, chciałem jednak wiedzieć, po co przylazł. Wyszedłem i przetarłem twarz śniegiem.

— A on tymczasem zasunął szyber. I wziął chustkę do nosa.

— Chustka rzeczywiście tam leżała.

— Pataszon użył jej po raz ostatni. To był praktyczny człowiek. Nie chciał zostawiać na szybrze odcisków palców. Stąd chustka powalana sadzą. Nie zdążył jej schować, ponieważ wróciłeś, tylko ścisnął w ręce.

— I zaczął mi basować: „Zostawiam ci wódeczkę, Walery, sam jestem niepijący. Pójdę, jeśli się gniewasz”. Kazałem mu zabrać butelkę. „Jak chcesz, ale dlaczego gardzisz starym”. No i wtedy powiedział to świństwo... Wie pan. Dałem mu w pysk. Ale nie chciałem go zabić.

— Nie zabiłeś go. Padając, uderzył się w tył głowy i stracił przytomność. Nie na długo. To jednak wystarczyło. Czad zaczął działać.

I tak oto wspólnymi siłami rozwiązaliśmy zagadkę. Będę zadowolony, jeśli moje obserwacje przydadzą się w śledztwie.

## Spis rzeczy

1. Burza	5
2. Mgła	42
3. Śnieg	82
4. Księżyc	116
5. Tęcza	150
6. Południe	185